II 2.214.135

Amelia Hertzówna



DRAMATY ZEBRANE

DRAMATY ZEBRANE

KATOLICKI UNIWERSYTET LUBELSKI
Katedra Dramatu i Teatru

KUL

Amelia Hertzówna

DRAMATY ZEBRANE

OPRACOWANIE I WSTĘP
ks. Marian Lewko

UZUPEŁNIŁ I DO DRUKU PRZYGOTOWAŁ
Wojciech Kaczmarek

Wydawnictwo KUL
Lublin 2003

Projekt okładki i stron tytułowych
Agnieszka SMRECZYŃSKA-GĄBKA

Opracowanie komputerowe
Jan SŁOWIŃSKI

Biblioteka Narodowa
Warszawa

30001000853988

Na okładce
Ruiny teatru rzymskiego w Cezarei Nadmorskiej

BIBLIOTEKA NARODOWA BN II 2.214.135

© Copyright by Wydawnictwo KUL, Lublin 2003

A

ISBN 83-7363-134-8

WYDAWNICTWO KUL
ul. Zbożowa 61, 20-827 Lublin
tel. (081) 740-93-40, fax (081) 740-93-50
e-mail: wydawnictwo@kul.lublin.pl

Druk i oprawa:
Wydawnictwo Archidiecezji Lubelskiej
„GAUDIUM"
20-075 Lublin, ul. Ogrodowa 12
tel. (0-81) 532-27-60; fax (0-81) 743-73-16

2004 eo 19577

Wstęp

Historycy literatury i teatru niewiele uwagi poświęcili dotąd Amelii Hertzównie. Kazimierz Czachowski pisał o niej w 1932 r. jako o „nieznanej poetce dramatycznej"[1]. Urodziła się 15 października 1878 r. w Warszawie[2]. Była córką Pauliny, z domu Lande, i Maksymiliana, doktora medycyny (internisty), który pomagał Januszowi Korczakowi przy zakładaniu sierocińca *Nasz Dom*[3]. Starsze jej rodzeństwo to: Dorota (nazwisko po mężu Toeplitz), Mieczysław, Cecylia (nazwisko po mężu Oderfeldowa). Młodszy od niej był tylko brat Leon[4].

Późniejsza dramatopisarka odebrała tzw. wychowanie domowe. W 1896 r. zdała egzamin z 7-klasowego żeńskiego gimnazjum. Dwa lata później rozpoczęła w Bernie i Berlinie naukę w zakresie chemii, fizyki i matematyki. W Berlinie w 1901 r. zdała maturę, i tu również, w 1904 r., uzyskała doktorat z chemii na podstawie rozprawy *Über die Wanderung der Jonen des Kalium und des Ammonicumchlorides unter dem Einfluss verschiedener Temperaturen.*

Prawdopodobnie w 1905 r. wróciła do kraju. W „Chimerze" ukazał się jej pierwszy dramat *Yseult o Białych Dłoniach*[5], a w 1906 r. w Krakowie, nakładem Warszawskiego Koła Wydawniczego, wydano *Zburzenie Tyru*[6].

---

[1] K. Czachowski, *Nieznana poetka dramatyczna*, „Gazeta Polska" 1932, nr 231.

[2] M. Hulewiczowa, *Hertzówna Amelia*, w: *Polski słownik biograficzny*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1960-1961, s. 472. Zob. też *Wielka ilustrowana encyklopedia powszechna*, t. XX (uzupełnienia), Kraków 1933-1934, s. 16. Hulewiczowa podaje błędnie rok 1879 jako datę urodzenia Hertzówny.

[3] Sierociniec działał w Pruszkowie w latach 1919-1926.

[4] Leon Hertz był ojcem Janiny Hertz, współczesnej pisarki, której zawdzięczam informacje o rodzinie Hertzówny.

[5] „Chimera" 1905, t. 9, z. 27, s. 401-413. Rkps znajduje się w Bibliotece Narodowej.

[6] A. Hertz, *Zburzenie Tyru*, Kraków–Warszawa 1906, wznow. 1908.

W 1908 r. pisarka podjęła studia uniwersyteckie w zakresie historii, archeologii i języków starożytnego Wschodu. „Nowa Gazeta" informowała, że studia z historii kultury i literatury odbywała w Heidelbergu, Berlinie, Monachium i Lipsku[7]. Można przypuszczać, że już w 1908 r. była w Paryżu, tu bowiem w „Panteonie"[8] ukazała się recenzja *Zburzenia Tyru*[9] i trzeci jej dramat – *Fleur-de-Lys*[10]. Karta wstępna tej sztuki podaje również tytuły dramatów przygotowywanych przez autorkę do druku: *Pastorale* i *Po drodze*. Tekst *Pastorale* rzeczywiście ukazał się w 1909 r. w „Sfinksie"[11], natomiast o dramacie *Po drodze* nie mamy żadnych wiadomości. Prawdopodobnie w 1908 r. Hertzówna rozpoczęła studia w L'École Archéologique du Louvre w Paryżu[12].

Czy Hertzówna wracała w tym czasie do Polski? W 1910 r. (lub 1911) jej kolejny dramat *Wielki król*[13] został odznaczony na konkursie Warszawskich Teatrów Rządowych. „Nowa Gazeta" donosiła, że autorka „obecnie" (tj. 1911 r.) przebywa w Paryżu[14]. Po ukończeniu paryskiej szkoły w 1913 r. pisarka została na Zachodzie. Pobyt w Niemczech i Francji przedzielony był wielokrotnymi (na pewno w 1912 r.) przyjazdami do kraju. Na stałe do Polski wróciła przed rokiem 1917. Podjęła tu pracę nauczycielki. Maria Hulewiczowa odnotowała: „Z zamiłowania pedagog, uczyła jeszcze za rządów carskich wraz ze swoją

[7] *Laureaci Konkursu. Amelia Hertz*, „Nowa Gazeta" 1911, nr 40.

[8] „Panteon" – miesięcznik naukowo-społeczno-literacki, wydawany w Paryżu w latach 1907-1908. Redaktorem i wydawcą był J. Wasercug (Wasowski).

[9] P. Brodzic, *O nowym dramacie*, „Panteon" [Paryż] 1908, nr 5, s. 252-254.

[10] A. Hertz, *Fleur-de-Lys*, „Panteon" [Paryż] 1908, nr 2, s. 143-160; osobno nakładem „Panteonu" 1908.

[11] A. Hertz, *Pastorale*, „Sfinks" 1909, t. 5, s. 444-453; t. 6, s. 60-70 i 298-313.

[12] L'École Archéologique du Louvre została założona w 1882 r. Zadaniem szkoły było kształcenie konserwatorów sztuki, uczestników wypraw archeologicznych, badaczy i krytyków sztuki. Początkowo miała tylko dwa wydziały: języka demotycznego oraz epigrafii asyryjskiej, fenickiej i aramejskiej. Jej program był stopniowo rozszerzany przez dołączanie innych kursów: archeologii egipskiej, orientalnej, francuskiej, historii malarstwa, historii rzeźby średniowiecznej i renesansowej, a także historii sztuk użytkowych. Regulamin szkoły zakładał dwie kategorie uczniów: studiujących kilka nauk lub wszystkie wykładane w szkole. Studia trwały trzy lata (informacje według *La grande encyclopédie*, Paris 1885-1901, t. XIV).

[13] Druk nastąpi kilka lat później: *Wielki król*, dramat w 3 aktach, „Zdrój" 2 (1918), t. 5, nr 3-6; 3(1919), t. 6, nr 1.

[14] *Laureaci Konkursu. Amelia Hertz*, „Nowa Gazeta" 1911, nr 40.

siostrą Oderfeldową na kompletach tajnego nauczania w Warszawie"[15]. W latach międzywojennych Hertzówna uczyła języka niemieckiego w warszawskich gimnazjach.

Milczenie i niechęć krytyków do dramatów Hertzówny, mimo rozpowszechnianej opinii o ich dużych wartościach literackich, skłoniły ją do zainteresowania się prozą. W latach międzywojennych powstały nowele i książki dla młodzieży, w tym bajka sceniczna *Przygoda Kasi*[16]. W znajdującym się w zbiorach Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego liście z 15 maja 1922 r. do prof. Stanisława Kota zaproponowała m.in. przetłumaczenie wyboru egipskich bajek lub pieśni miłosnych. Odmówiła natomiast tłumaczenia poematu *Gilgamesz*, pisząc, że „[...] ta przereklamowana epopeja zupełnie mi się nie podoba [...] W literaturze babilońsko-asyryjskiej jeden tylko rodzaj utworów jest naprawdę piękny i ciekawy: są to opisy królów asyryjskich"[17]. Zaproponowała opublikowanie z nich przynajmniej wyjątków. Rozbieżność opinii sprawiła, że do żadnego z tych tłumaczeń nie doszło. W liście do Czachowskiego z 15 września 1932 r. Hertzówna podała, że ogłosiła w latach 1917-1931 w rozmaitych czasopismach 9 nowel[18]. Ponadto w 1933 r. ukazało się drugie (tym razem książkowe) wydanie *Wielkiego króla*.

W 1936 r. Hertzówna zgłosiła na konkurs I.K.C. (hasło: Wczoraj i dziś) swoją powieść *Tajemnica Sfinksa*, w której – jak pisała Czachowskiemu (list z 22 kwietnia 1936 r.) – „[...] staram się wyrazić swoje poglądy na czasy dzisiejsze". Komisja nie dopuściła powieści nawet do wspólnego czytania. Hertzówna, jak wynika z jej listów do Czachowskiego, ciągle darzyła krakowskiego krytyka zaufaniem, liczyła na jego zrozumienie, a może i pomoc[19]. Pisała: „Wobec ewentualnej możli-

[15] Hulewiczowa, *Hertzówna Amelia*.

[16] *Przygoda Kasi*, „W słońcu" 1920, nr 1-4, 6-11, 18-21; 1921, nr 12-13, 15-20; 1922, nr 1-2.

[17] Zob. S. Kot, rkps, Bibl. UJ, t. XII, (H-Hof), poz. 153/83.

[18] Zapewne chodziło o utwory: *Spotkanie* („Sfinks" 1917, nr 100-101), *Poliksena* („Świat" 1918, nr 23-26), *Aszurbanapil* („Świat" 1918, nr 42-44), *W Krakowie* („Świat"1918, nr 51-52), *Prorok* („Nowe Życie" 1924, z. 2-3), *Książki i Janowa* („Naokoło świata" 1927, nr 33), *Anna i Maria* („Naokoło świata" 1928, nr 49), *Na dworze Króla Słońca* („Naokoło świata" 1929, nr 61), *Wielki cesarz Czien-Lung i mała Czau-sien* („Naokoło świata" 1931, nr 88). Podana przez K. Gajdę (*Twórczość dramatyczna Amelii Hertzówny*, „Rocznik Naukowo-Dydaktyczny" [WSP Kraków] 1980, z. 72, s. 70) informacja, jakoby tych nowel było tylko 6, rozmija się z prawdą.

[19] K. Czachowski (1890-1948), krytyk literacki, historyk literatury, ukończył wyższe studia rolnicze i przez dłuższy czas pracował w swoim zawodzie. Działalnością literacką zajmował się systematycznie od 1929 r., współpracując

wości dalszej mojej pracy literackiej byłabym Sz. Panu niezmiernie wdzięczna, gdyby zechciał mi napisać swoje zdanie o mojej powieści". Listy świadczą o dziwnej, trudno zrozumiałej determinacji, z jaką walczyła Hertzówna o swoją twórczość literacką. Nie potrzebowała uznania, bo to dawały jej prace naukowe drukowane w znakomitych zagranicznych czasopismach; nie była próżna, skoro potrafiła uniżyć się przed Czachowskim i z pokorą szukać jego rady. Wydaje się, że Hertzówna walczyła o swoją twórczość w imię... logiki. Chciała zrozumieć, dlaczego jej pisarstwo jest niedocenione, kiedy jednak w krytykach nie znajdowała intelektualnych partnerów, pisała dalej – bo logika mówiła, że to oni powinni ustąpić, a nie ona. W 1938 r. wydrukowana została powieść dla młodzieży autorstwa Hertzówny i J. Przeworskiej *Od Wisły do Nilu*[20]. Hertzówna, która przesłała powieść Czachowskiemu, wyjaśniała w liście: „[...] jestem współautorką, a raczej autorką, gdyż po stanowczym odrzuceniu przez komisję przy ministerstwie WRiOP części I musiałam ją całkowicie przerobić, a nawet w pewnej mierze napisać na nowo [...]. Książki nie dedykuję. Zanadto mnie gniewa, że na karcie tytułowej porządek alfabetyczny nazwisk został zmieniony bez mojej wiedzy i wbrew mojej woli. Postawiono mnie przed faktem dokonanym, a żadne moje protesty nie odnosiły skutku. Nie muszę chyba dodawać, że nie było żadnej podstawy do tego rodzaju postępowania".

---

jako krytyk głównie z „Czasem", „Gazetą Polską" i „Tygodnikiem Ilustrowanym". W 1937 r. otrzymał Złoty Wawrzyn PAL. Jako historyk literatury pisał głównie monografie i syntezy. Wśród tych pierwszych wymienić trzeba portrety literackie Rodziewiczówny (1935), Sieroszewskiego (1938) Dygasińskiego (1939) oraz prace materiałowo-dokumentacyjne (*Jan Kasprowicz. Próba bibliografii*, 1929; *H. Sienkiewicz. Obraz twórczości*, 1931). W drugim nurcie powstawały szkice syntetyczne i zarysy: *Literatura współczesna 1863-1930*, w: *Wielka ilustrowana encyklopedia powszechna* (1931) oraz *Obraz współczesnej literatury polskiej 1884-1933*, t. I-III (1934-1936), obszerne kompendium podręcznikowe zaopatrzone w sumienną bibliografię i dopełnione później zbiorem szkiców (także o pisarzach obcych) i wydane pod tytułem: *Najnowsza polska twórczość literacka 1935-1937* (1938). Epokę wcześniejszą objął zbiór *Między romantyzmem a realizmem*, powstały w latach 1937-1939, a wydany dopiero w 1967 r., gromadzący studia poświęcone głównie powieściopisarzom, m.in. Kraszewskiemu, którego twórczość Czachowski wysoko cenił i uwydatniał jej wartości aktualne. Wybrane artykuły i recenzje Czachowskiego opublikowane zostały w tomie *Pod piórem* (1947).

[20] J. Przeworska, A. Hertz, *Od Wisły do Nilu*, Warszawa 1938. Janina Przeworska zajmowała się historią kultury materialnej dawnych społeczeństw, głównie Celtów (ikonografia wschodnioceltycka, religie Celtów, spadek po Celtach).

Hertzówna współpracowała z redagowanym przez A. Chorowiczową czasopismem encyklopedycznym „Świat i Życie" (wydawanym w latach 1933-1938); zamieszczała tam artykuły z zakresu egiptologii. Była docentem Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie[21], gdzie w latach 1937-1939 wykładała historię pisma w Studium Pracy Społeczno-Oświatowej Wydziału Nauk Humanistycznych. W 1941 r. została aresztowana przez gestapo, zginęła na Pawiaku w 1942 r.

A. Hertzówna chciała uchodzić przede wszystkim za dramatopisarkę. Na progu jej twórczości scenicznej krytyka wypowiadała się ostrożnie, ale już wówczas dostrzegano jej niewątpliwy talent. O pierwszym dramacie Hertzówny *Yseult o Białych Dłoniach*[22] zaledwie jednym zdaniem wspominał Wilhelm Feldman we *Współczesnej literaturze polskiej*, oceniając jednak jej utwory jako „wyjątkowo świetne"[23]. Drugi dramat, *Zburzenie Tyru*[24], w kilku tylko zdaniach zrecenzował Wacław Grubiński w „Książce" z 1907 r.[25], akt II dramatu, napisany wierszem, wyróżniony przez pisarkę specjalnym krojem czcionki, nazwał po prostu „epilogiem poetyckim" I aktu. Szersze omówienie znalazł dramat w artykule Piotra Brodzica, *O nowym dramacie*, zamieszczonym w „Panteonie"[26] w 1908 r. Krytyk ten nazywa *Zburzenie Tyru* „dramatyczną próbą rozwinięcia koncepcji metafizycznej: Piękno a Fatum", przy czym postać Baltis to według niego alegoria Tyru – Piękna, utożsamianego z pięknem „egoistycznym [...] chcącym trwać i po śmierci bodaj w formie posągowej", zaś Babilończycy to Fatum: „[...] wisząca w czasie, nieubłaganie runąć mająca klęska"[27]. *Fleur-de-Lys*[28] oraz *Pa-*

[21] Wolna Wszechnica Polska – prywatna wyższa szkoła utworzona w Warszawie w latach 1918-1919 z Towarzystwa Kursów Naukowych; obejmowała 4 wydziały (matematyczno-przyrodniczy, humanistyczny, nauk politycznych i społecznych, pedagogiczny) oraz Collegium Publicum (cykl publicznych wykładów niedzielnych – od 1919 r.) i Studium Pracy Społeczno-Oświatowej (2-4 kursy kształcące i dokształcające pracowników społeczno-oświatowych – od 1925 r.). W okresie okupacji niemieckiej 1941-1944 niektóre wydziały prowadziły tajne nauczanie; po wojnie nie podjęła dawnej działalności, formalnie przestała istnieć w 1952 r.

[22] „Chimera" 1905, t. 9, z. 27, s. 401-413. Rkps znajduje się w BN.

[23] W. Feldman, *Współczesna literatura polska*, t. III (1907-1918), Warszawa 1919, s. 140.

[24] *Zburzenie Tyru*, Kraków 1906, wznow. 1908.

[25] W. Grubiński, „Książka" 7(1907), nr 1, s. 17-18; zob. też J. Kotarbiński, „Świat" 1907, nr 10.

[26] Zob. przyp. 9, s. 252-254.

[27] Zob. Gajda, *Twórczość dramatyczna Amelii Hertzówny*, s. 70.

[28] „Panteon" [Paryż] 1908, nr 2, s. 143-160; osobno nakładem „Panteonu" 1908.

storale[29] współcześnie w ogóle nie zostały zauważone. O najważniejszym jej dramacie *Wielki król*, powstałym w 1910 r. (lub w 1911)[30], odznaczonym na konkursie Warszawskich Teatrów Rządowych, króciutką wzmiankę zamieściła tylko „Nowa Gazeta"[31].

Na 20 kwietnia 1912 r. prasa zapowiedziała prapremierę w Teatrze Zjednoczonym[32] w Warszawie nowego dramatu Hertzówny *Siostra*, w reżyserii Janusza Orlińskiego[33]. Przedstawienie w ostatniej chwili zostało odwołane z powodu zakazu cenzury[34]. Do prapremiery doszło pół roku później, 14 listopada 1912 r. w Łodzi w Teatrze Polskim. Łódzki dziennik „Rozwój" donosił: „Pełne próby odbywają się pod reżyserią J. Orlińskiego przy współudziale autorki, która umyślnie przy-

[29] „Sfinks" 1909, t. 5, s. 444-453; t. 6, s. 60-70 i 298-313.

[30] *Bibliografia dramatu polskiego 1765-1964* podaje rok 1910, M. Hulewiczowa w *Polskim słowniku biograficznym* rok 1911.

[31] *Laureaci Konkursu. Amelia Hertzówna*, „Nowa Gazeta" 1911, nr 40.

[32] Teatr Zjednoczony, otwarty 19 grudnia 1911 r., był następną, po upadku Teatru Artystycznego, kierowanego przez B. Leśmiana, K. Wroczyńskiego i J. Orlińskiego, próbą stworzenia w Warszawie teatru prywatnego o wysokich ambicjach artystycznych. Początkowo łączył dramat i operę, stąd nazwa teatru. W skład teatru weszła grupa aktorów związanych z Orlińskim w Teatrze Artystycznym oraz część aktorów Teatru Polskiego w Łodzi, przybyłych do Warszawy po pożarze sceny łódzkiej. Dyrektorem został F. Rychłowski, głównym reżyserem A. Zelwerowicz, scenografem F. Siedlecki. W repertuarze teatru znalazły się m.in. *Dziady* Mickiewicza, *Wesele* Wyspiańskiego (grane w Warszawie po raz pierwszy), *Poskromienie złośnicy* Szekspira, *Irydion* Krasińskiego, *Chluba naszego miasta* Wieda, *Nadzieja* Heijemansa. Zob. R. Taborski, *Warszawskie teatry prywatne w okresie Młodej Polski*, Warszawa 1980, s. 108-123.

[33] Janusz Orliński, właśc. Busiacki (1868-1917), jeden ze zdolniejszych ówczesnych reżyserów, początkowo występował w teatrze krakowskim, głównie w rolach epizodycznych. Później był związany z różnymi teatrami prowincjonalnymi. W latach 1908-1911 występował i był głównym reżyserem w warszawskim Teatrze Małym, następnie w Teatrze Artystycznym i był, obok Wroczyńskiego i Leśmiana, jego współdyrektorem. Jego długoletnia praca w teatrze przyczyniła się do powodzenia wprowadzonej nowoczesnej techniki inscenizacyjnej i ambitnego repertuaru. W sez. 1911/1912 był aktorem i reżyserem w Teatrze Zjednoczonym (zob. przyp. 32), potem należał do zespołu Rychłowskiego w Kijowie (zob. *Słownik biograficzny teatru polskiego 1765-1965*, red. Z. Raszewski i in., Warszawa 1973, s. 509-510).

[34] R. Taborski prostuje błędną wiadomość, jaka znalazła się w szkicu M. Ślusarskiej: *O Teatrze Zjednoczonym w Warszawie*, „Kronika Warszawy" 1971, nr 1. Taborski zauważa: „M. Ślusarska [...] nie tylko błędnie poinformowała, że premiera *Siostry* w Teatrze Zjednoczonym miała miejsce, ale jeszcze napisała, że odbyły się aż 3 przedstawienia" (*Warszawskie teatry prywatne*, s. 121).

była do Łodzi dla udzielenia artystom wskazówek [...]. Tytułową rolę odegra J. Czachowska, dalszą obsadę tworzą panie: Sokolicz, Smochowska, Nowakowska, Grzelska oraz pp. Folta, Darczyński, Topolski, Choberski i Orliński. Za parę tygodni sztuka będzie grana na berlińskiej scenie Neue Freie Bühne"[35].

Przedstawienie omówił na łamach „Rozwoju" Stanisław Łapiński[36], z niewielkimi zmianami przedrukowując następnie swoją recenzję w „Scenie i Sztuce"[37]. Dramat nie został wydrukowany. Rękopis prawdopodobnie zaginął, być może zniszczony ręką samej autorki po niezbyt przychylnych głosach ze strony widowni i samych krytyków, którzy wytknęli sztuce zbyt silny wpływ Ibsenowskich *Upiorów*. Dzięki zachowanym recenzjom możemy jednak, przynajmniej w przybliżeniu, odtworzyć zarys przebiegu zdarzeń. Rzecz dzieje się w rodzinie lekarza Karola, jego żony Heleny i dwojga dzieci, piętnastoletniej Madzi i starszego od niej dwa lata Janka. Karol był dobrym, zapobiegliwym ojcem, dobrze zarabiał. W momencie rozpoczęcia akcji dowiadujemy się, że jest on chory na paraliż postępowy i świadomy tego, że czeka go śmierć poprzedzona długim konaniem i coraz większym niedołęstwem. To stanowi powód, że staje się coraz bardziej cierpki, zgryźliwy dla otoczenia, zwłaszcza że zebrane oszczędności są na wyczerpaniu i rodzinie grozi nędza, jeśli taki stan trwać będzie dłużej. W tej sytuacji żona Helena, niewiasta dobrego serca, ale niezaradna, po porozumieniu się z mężem, zwraca się o pomoc do rodziny, między innymi do siostry Karola Zofii, osoby zamożnej, mieszkającej od lat w Ameryce, kontrastowej w stosunku do Heleny, stanowiącej symbol realizmu życiowego w zderzeniu z uczuciowością, postaci w sztuce najlepiej opracowanej, która, zdaniem recenzenta, stanowi zarazem ucieleśnienie myśli i uczuć Karola.

Zofia przybywa. Zwołuje naradę rodzinną i proponuje, aby wszyscy złożyli się na fundusz zabezpieczający byt rodzinie Karola, ale spotyka się z niechęcią, wręcz z odmowami, dlatego sama bierze troskę o byt rodziny na siebie i postanawia zabrać ją do Stanów, Karola zaś na własny koszt umieścić w sanatorium. Lecz Karol kategorycznie odmawia, ogarnia go rozpacz na samą myśl rozłączenia z żoną i dziećmi. „Miejże litość, postaw się w moim położeniu" – mówi do Zofii, na co ta odpowiada: „Ja w twoim położeniu już dawno bym nie żyła". Jest to jedyny fragment zachowanego tekstu, ale jakże dużo mówiący. Warto zapytać,

[35] „Rozwój" 1912, nr 259-260.

[36] S. Łapiński, *Teatr Polski. Siostra A. Hertz*, „Rozwój" 1912, nr 264.

[37] S. Łapiński, *„Siostra" (dramat w 3 aktach) panny Amelii Hertzówny*, „Scena i Sztuka" 1912, nr 50, s. 12-13.

w jakim stopniu wchodzi on w relacje z cytowanymi słowami jednego z bohaterów *Wielkiego króla*: „[...] trzeba żyć byle jak i umrzeć jak się zdarzy". Zofia składa kapitał w banku na utrzymanie rodziny i postanawia wyjechać. Wcześniej jednak, w finale sztuki, rozpatrując w rozmowie z chorym brutalny realizm życia, sugeruje mu jako najlepsze rozwiązanie samobójstwo, a skoro Karol decyduje się w końcu umrzeć, bez zmrużenia oka, bez drgnięcia ręki podaje mu truciznę, działającą z gwałtownym skutkiem. Problem śmierci stanie się zresztą jednym z centralnych zagadnień twórczości autorki.

To właśnie taki sposób rozwiązania, mimo dobrej techniki scenicznej, starannej reżyserii i dobrej gry artystów, wzbudził ogromne kontrowersje. Podczas gdy dramat Ibsena jest raczej przestrogą przed życiem rozwiązłym, Hertzówna każe brutalnie usunąć przeszkodę utrudniającą życie ludziom zdrowym, co jest, zdaniem krytyka, „wysoce szkodliwym, zwłaszcza dla szerszych mas, niezdolnych wgłębiać się w istotę utworu". Tymczasem chrześcijańska postawa nakazuje zachować piękną cechę ludzkiego humanitaryzmu, zakazującą pod żadnym pozorem skracania życia, wręcz przeciwnie – z poddaniem i miłością znoszenie dopustu Bożego. Pierwotnie sztuka miała prawdopodobnie nosić tytuł *Lustra*[38], aby skonfrontować obie postawy, po jakiej stronie widz siebie umiejscawia i poddać refleksji swoje stanowisko. Z przedstawionego opisu można by nawet taki sens sztuki odczytać. Widownia jednak zareagowała inaczej. Toteż autorka wolała prawdopodobnie zniszczyć dramat. Z ogłoszenia prasowego wiemy, że zamierzała go wystawić w języku niemieckim. Trudno dziś orzec, czy do tego spektaklu doszło. Raczej sama się z niego wycofała.

W okresie międzywojennym zaznacza się wyraźne osłabienie recepcji krytycznej A. Hertzówny. Nagrodzony w 1911 r. *Wielki król* ukazał się na przełomie lat 1918/1919 w „Zdroju"[39]. 22 marca 1924 r. warszawski Teatr im. A. Fredry wystawił *Przygodę Kasi*, bajkę dla dzieci, niedawno ogłoszoną przez Hertzównę w odcinkach w pisemku „W słońcu"[40]. Mimo zmiany tematyki, utwór cechuje się rzetelną robotą artystyczną, zarazem ukazuje problemy równie dobrze obchodzące widza dorosłego.

[38] Być może jest to źle odczytany zapis z listu odręcznego Hertzówny do K. Czachowskiego i chodzi o graną w Łodzi *Siostrę*.

[39] A. Hertz, *Wielki król*, dramat w 3 aktach, „Zdrój" 2(1918), t. 5, nr 3-6; 3(1919), t. 6, nr 1.

[40] *Przygoda Kasi*, „W słońcu", 1920, nr 1-4, 6-11, 18-21; 1921, nr 12-13, 15-20; 1922, nr 1-2.

Drukowane w okresie Młodej Polski dramaty Hertzówny i wystawione sztuki ani nie upowszechniły wiedzy o autorce, ani o jej dramaturgii. W okresie międzywojennym najwięcej zawdzięczać może niewielkiej, ale ważnej z punktu widzenia oceny dramaturgii, notatce K. Irzykowskiego i publikacjom K. Czachowskiego. Krakowski badacz w artykule zamieszczonym w „Nowej Gazecie" napisał o niej: „Dramaty Hertzówny, dodatnio wyróżniające się pogłębieniem ideowym i postawą psychologiczno-intelektualistyczną, są zjawiskiem wybitnym i o oryginalnych wartościach twórczych"[41]. Wreszcie mogła powiedzieć o sobie, że znalazła miejsce wśród innych, ważnych twórców swego pokolenia, zachowując własną, odrębną osobowość artystyczną. W liście dziękczynnym skierowanym do Czachowskiego z dnia 5 września 1932 napisała: „[...] nareszcie, po 25 latach (dosłownie) znalazła się osoba, która przeczytała moje utwory ze zrozumieniem i przyjemnością. Nie jest to przesadnie prędko ani oszałamiająco wiele, ale widocznie tak być musiało"[42].

Hertzówna wyraźnie liczyła na pomoc Czachowskiego w propagowaniu jej twórczości, w wysłanych do niego listach ujawnia kulisy swej działalności artystycznej, wymieniając napisane dzieła i ujawniając szczegóły życiorysu. Z odręczną dedykacją przekazała mu pominięty w jego artykule tekst dramatu *Fleur-de-Lys*, szczególnie jej drogi, aby zechciał uzupełnić jego interpretacją swoje szkice. Tak się jednak nie stało. Półtorastronicowy tekst zawierający syntezę jej twórczości w *Obrazie współczesnej literatury polskiej*[43] tylko wymienia tytuł sztuki. Warto przytoczyć, niemal w całości, ową mocno wyważoną syntezę, ponieważ książka miała spore grono czytelników. Czachowski pisze: „W dziedzinie poezji dramatycznej, ze względu na rodzaj tematyki historycznej i ogólny styl duchowy, obok Żuławskiego postawić należy niesłusznie przeoczaną Amelię Hertzównę (1878), lepiej znaną za granicą autorkę drukowanych w naukowych czasopismach francuskich i niemieckich rozpraw z historii i kultury starożytnego Wschodu, aczkolwiek jej dramat *Wielki król* w roku 1911 odznaczono na konkursie warszawskich teatrów rządowych, a sztukę *Lustra* w roku 1913 wystawiono na scenie łódzkiej. Drukowana w tomie IX „Chimery" z roku 1905 scena dramatyczna: *Yseult o Białych Dłoniach*, obok której wymienić trzeba *Fleur-de-Lys* (w paryskim „Panteonie", 1908) i dramat

[41] Czachowski, *Nieznana poetka dramatyczna*.

[42] Zob. Korespondencja K. Czachowskiego z lat 1912-1942. Rkps Bibl. UJ, sygn. 8973 III, K 174-184.

[43] K. Czachowski, *Obraz współczesnej literatury polskiej 1884-1933*, t. II, *Neoromantyzm i psychologizm*, Lwów 1934, s. 31-32.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

biblijny *Zburzenie Tyru* (wyd. 1906), pokazała od razu mistrzostwo autorki w osiąganiu wysokiego napięcia nastrojowo-wzruszeniowego, oryginalną pomysłowość i świeżość motywów dramatycznych, głęboko ujętą i sugestywnie wyrażoną symbolikę filozoficzną, wypukłość trudnej charakterystyki psychologicznej. W *Pastoralach* (druk w „Sfinksie", 1909), gdzie z groteski żartobliwej stopniowo wyrasta dramat ideowy o głębszym znaczeniu, doskonale przeprowadzono świetny pomysł zdemaskowania zakłamanego obrazu życia rokokowo-sentymentalnego. Pełnię realistycznego poczucia i odtwarzania żywej rzeczywistości, czego wybitnymi próbami były już akt I *Zburzenia Tyru* i niektóre sceny *Pastorali*, zdobywa autorka w szeroko zakrojonym dramacie ideowym z dziejów Bizancjum pt. *Wielki król* (...) Obraz dekadencji kończącego się świata znalazł tu oświetlenie wielostronne, a w rozmaitych załamaniach poprzez dusze ludzkie odsłania nędzę zabiegów ludzkich, zarówno na szczytach hierarchii społecznej, jak i w nizinach bezimiennego tłumu. Dramat tętni krwią, a człowiek występuje w nim z całym okrucieństwem naturalizmu. Gdy po udaremnionym zamachu na cesarza spiskowcy ponoszą karę, Justynian, starzec niemal stuletni, inną też mówi prawdę o sobie: «Bo ja nie czuję do was gniewu o mordercy moi, i żałuję, że czyjeś usłużne ręce zasłoniły tron mój przed wami... stary jestem i zmęczony, spragniony spokoju i ciszy, którą znaleźć można tylko w grobie». Symboliczną zaś scenę ostatnią kończą słowa: «Wieczny jest tylko Bóg!». Biorąc tematy z odległej przeszłości, którą sumiennie wystudiowała i odtwarza z wnikliwą intuicją, Hertzówna podejmuje zawsze zagadnienia ogólnoludzkie, z zawiłych sytuacji i charakterów psychicznych wydobywa prawdę o człowieku, rzutując przy tym śmiało w filozoficzną treść zdarzeń. Twórczość jej jest wybitnie intelektualistyczna, ale nie ma w niej nic abstrakcjonizmu, myśl ideowa jest ściśle skonkretyzowana w fakcie, poprzez który autorka otwiera najdalsze perspektywy metafizyczne, odsłania istotne wartości moralne. Hertzówna jest indywidualnością wyjątkowo samodzielną, przy tym o rzadko spotykanym stopniu kultury duchowej"[44].

Jak widać, tylko *Wielki król* został nieco szerzej omówiony, ale nie tego spodziewała się Hertzówna. Mała dostępność tekstów sprawiła, że nie powstała już żadna większa szczegółowa analiza choćby jednego z dramatów autorki *Fleur-de-Lys*.

W 1932 r. wspomniany już wcześniej Czachowski pisze o Hertzównie jako nieznanej dramatopisarce. Przełomem w recepcji, na który czekała pisarka, mógł być rok 1933, wtedy właśnie w osobnej edycji

[44] Tamże.

książkowej wydano *Wielkiego króla*[45]. Ukazała się jednak tylko krótka, choć rzeczowa, recenzja dramatu pióra K. Irzykowskiego (a nie – jak błędnie podają niektóre informacje – Stanisława Adamczewskiego) w „Roczniku Literackim". Warto ją tutaj w całości zacytować, ponieważ otwierała ona drogę przed tym tekstem do drzwi polskich teatrów. Irzykowski pisze: „*Wielki król* A. Hertzówny to dramat prozą, osnuty na tle Bizancjum w VI wieku. Najazd Hunów, spiski pałacowe, samowola i bezprawie, bezkarność, zdzierstwa i przekupstwa, upadek wszelkich autorytetów moralnych, nawet elementarnego poczucia godności ludzkiej – całą tę ponurą atmosferę epoki przedstawiła autorka w szeregu scen zbiorowych (pobojowisko, ulica, pałac), snując wątek w doskonale przeprowadzonych dialogach i sytuacjach. Udziela się z nich czytelnikowi potęgująca się sugestia jakiegoś koszmaru, który zawisnął nad bezsensownym życiem owych ludzi, upływającym pod dewizą: trzeba żyć byle jak i umrzeć jak się zdarzy. Jakieś powszechne znużenie i ospały cynizm sprawiają, że to ówczesne życie nie stacza się szybko ku nagłej zagładzie, że fermentuje w powolnym gniciu. I oto jedynym, co wśród otaczającej małości i lichoty zdołał zachować wielkość duszy, jest król – basileus Justynian. Tę wielkość imponującą (a tak bardzo ludzką przez swój przejmujący smutek) umiała autorka objawić w naprawdę wspaniałym akcie III dramatu. Wrażenie powiększa (a poniekąd o nim także stanowi) prostota środków ewokacyjnych autorki, daleka od tradycyjnych u nas przy tego rodzaju tematach sposobów ujęcia, od koturnowości *Irydiona* i enigmatyczności *Bazylissy Teofanu* (Miciński); mająca coś w sobie raczej z dramatów Mereżkowskiego i Rollanda. Najlepszy to – mam wrażenie – polski utwór dramatyczny z ubiegłego roku i jeden z najlepszych u nas w ostatnich latach. Dojrzałością swoją dziwiłby u debiutantki, ale p. Hertzówna nie jest nowicjuszką w dramacie; jeszcze przed wojną inny jej dramat drukowało jedno z nieistniejących dziś czasopism. Jeśli jej *Wielki król* nie zwrócił powszechnej uwagi i nie uzyskał dotąd realizacji scenicznej, stało się to zapewne wskutek faktu, że autorka trzyma się na uboczu od hałaśliwej fali współczesnego literackiego targowiska"[46].

Mimo zachęty Irzykowskiego dramat nie trafił jednak na sceny międzywojnia. Problem był bardziej złożony. Biorąc pod uwagę kryzys gospodarczy panujący w kraju, nic dziwnego więc, że aby pozyskać widownię, teatry prześcigały się w kokietowaniu publiczności repertuarem komediowym. Do tego narastają wewnątrz kraju tendencje antysemickie, a Hertzówna była przecież osobą pochodzenia żydowskiego,

[45] A. Hertz, *Wielki król. Dramat w 3-ch aktach*, Warszawa 1933.
[46] K. Irzykowski, *Dramat*, „Rocznik Literacki" 1933, s. 50.

z przekonania wolnomyślicielką, choć prawnie, przyjąwszy chrzest, przynależała do Kościoła katolickiego.

Po wojnie sytuacja w recepcji dramaturgii A. Hertzówny nie uległa poważniejszej zmianie. Wciąż była w cieniu innych pisarzy, krytyka nie zauważała jej obecności, brakowało wznowień jej tekstów. Pierwszy zwrócił uwagę na dramaty Hertzówny Lesław Eustachiewicz, pisząc z wyrzutem, że autorka jest „zapomniana nawet przez historyków literatury"[47]. Uczynił wiele, aby jej nazwisko stało się głośne, ale nie zdobył się na obszerniejszą rozprawę, która omówiłaby całokształt twórczości.

W roku 1958 Polskie Radio wyemitowało *Yseult o Białych Dłoniach*, w adaptacji Leszka Proroka. Rolę Yseult objęła Aleksandra Śląska, obok niej wystąpił Jerzy Kaliszewski. Adaptacja dramatu okazała się nie najlepszej roboty, trudna w odbiorze, do dalszych powtórzeń radiowych już nie doszło. Sytuację tę starał się zmienić Eustachiewicz, publikując w „Dialogu" esej o dramatach Hertzówny[48]. Wspominając pokrótce *Yseult o Białych Dłoniach* twierdził, że „[...] autorce udało się połączyć nastrój ballady z nietzscheanizującą dialektyką dyskusji psychologicznej", jak u Pirandella. Więcej miejsca poświęcił analizie *Zburzenia Tyru*, całą opowieść nazywając „[...] rozszerzającą się przez coraz nowe asocjacje metaforą mówiącą o okrucieństwie ślepych sił istnienia i o tragicznej samotności ludzkiej egzystencji". Wskazał na precyzję teatralnej wizji, zachęcając (bezskutecznie) do wystawienia dramatu na scenie. Upomniał się o nazwisko Hertzówny w referacie wygłoszonym na posiedzeniu komisji PAN w Krakowie[49]. W kontrowersyjnej rozprawce *Typologia dramatu Młodej Polski*[50] nie zabrakło także klasyfikacji sztuk Hertzówny. W książce *Między współczesnością a historią* fragment wywodu poświęcił *Wielkiemu królowi*, umieszczając go – za Irzykowskim – „w smudze tradycji Krasińskiego"[51]. Wreszcie w krótkim syntetycznym ujęciu, na 3 zaledwie stronach, omówił jej

[47] L. Eustachiewicz, *Elementy preegzystencjalizmu w literaturze polskiej*, „Sprawozdania Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk" 1958, nr 1, s. 19-22.

[48] L. Eustachiewicz, *„Zburzenie Tyru" Amelii Hertzówny*, „Dialog" 1960, nr 1, s. 108-111.

[49] Zob. „Sprawozdania z Posiedzeń Komisji PAN" w Krakowie (styczeń-czerwiec 1960).

[50] L. Eustachiewicz, *Typologia dramatu Młodej Polski na tle porównawczym*, w: *Z problemów literatury polskiej XX w.*, t. I, Warszawa 1965, s. 379.

[51] L. Eustachiewicz, *Między współczesnością a historią*, Warszawa 1973, s. 245.

twórczość w *Dramaturgii Młodej Polski*[52], powtarzając znane nam już uwagi.

Wiele uczyniła dla Hertzówny znana krakowska badaczka, Maria Podraza-Kwiatkowska. Po raz pierwszy bodaj nazwisko Hertzówny pojawiło się w jej artykule *U źródeł dwudziestowiecznego autotematyzmu*[53]. Wymienia tu jej dramat. Odtąd nazwisko tej autorki pojawia się coraz częściej w jej rozprawach naukowych, m.in. w książce *Symbolizm i symbolika w poezji Młodej Polski*[54]. Wskazywała tam na schodzenie do lochów pamięci bohaterki dramatu i wspólny dla epoki dekadentyzmu motyw masochizmu.

Poważniejszym przedsięwzięciem w recepcji Hertzówny miało być wystawienie 20 grudnia 1975 r. *Wielkiego króla* w Teatrze Polskim w Bydgoszczy, w reżyserii Jerzego Wróblewskiego i z dekoracjami Władysława Wigury. Niestety, realizatorzy nie potrafili wydobyć właściwych złóż filozoficzno-egzystencjalnych dramatu. Przedstawienie uznano za nieudane. Jedynie Jerzy Niesiobędzki[55] próbował bronić utwór, twierdząc, podobnie jak Irzykowski, że jest dziełem „[...] dojrzałym [...] sztuką świetnie skomponowaną, dającą świadectwo, że autorka orientowała się w inscenizacyjnych przekształceniach, jakim na przełomie XIX i XX w. podlegał europejski teatr"[56], wytykając zarazem krytykom, że grzechy inscenizatorów zbyt nieodpowiedzialnie przypisali autorce tekstu. Tymczasem niedostateczne eksponowanie głównych nurtów akcji, kiczowata dekoracja Wigury, brak wprowadzenia, według sugestii dramatopisarki, trójplanowej organizacji scenicznego ruchu a zastosowanie tylko płaskiej sceny, zamazały wielowarstwowość sztuki Hertzówny. Zaszkodziło też znaczne skrócenie finału drugiego aktu, ograniczając czytelność powiązań między najważniejszymi ogniwami dramatu. Niesiobędzki słusznie zauważa, że tematyka utworu, traktując o dziejach Bizancjum, zarazem odzwierciedla dekadenckie nastroje końca epoki, zatem czasy, w których autorka żyje i tworzy, cytując pełne goryczy powiedzenie jednego z bohaterów utworu: „trzeba żyć

[52] L. Eustachiewicz, *Dramaturgia Młodej Polski*, Warszawa 1986, s. 277-279.

[53] M. Podraza-Kwiatkowska, *U źródeł dwudziestowiecznego autotematyzmu. Ze studiów nad poezją okresu Młodej Polski*, w: *Problemy literatury polskiej lat 1890-1939*, seria II, Wrocław 1974, s. 250.

[54] M. Podraza-Kwiatkowska, *Symbolizm i symbolika w poezji Młodej Polski*, Kraków 1975.

[55] J. Niesiobędzki, *Wielki król Amelii Hertzówny w Teatrze Polskim w Bydgoszczy*, „Fakty" 1976, nr 5.

[56] Tamże.

byle jak i umrzeć jak się zdarzy", niemniej jest to tekst prekursorski i poprzedza w naszej dramaturgii katastrofizm Witkacego.

Czy tylko? Jest zarazem tekstem ponadczasowym, podsuwającym myśl, że „[...] w świecie bez wartości jedyną wartością staje się władza. Ale rodzi również pewną wątpliwość: samo sprawowanie rządów nie jest w stanie, w przeciwieństwie do innych wartości, zespalać ludzi", bowiem „[...] wartość władzy w określonym układzie społecznych odniesień staje się również pozorem"[57]. Taki wymiar ideowy zdaje się miał podsuwać widzom bydgoski spektakl, jednak rażące błędy inscenizacyjne kazały szybko zapomnieć o tym przedstawieniu.

O Hertzównie pisze się jednak częściej w nowszych pracach naukowych dotyczących Młodej Polski. Przyczyniała się do tego przede wszystkim Maria Podraza-Kwiatkowska. Wspominała Hertzównę w *Młodopolskim świecie wyobraźni*[58], akcentowała poetyckość wczesnych jej utworów w książce *Somnambulicy – dekadenci – herosi*[59], wreszcie krótko zwróciła na nią uwagę w opracowaniu podręcznikowym *Literatura Młodej Polski*[60], podkreślając związki jej dramaturgii z dekadentyzmem, symboliczno-alegorycznym podłożem tych sztuk, a także wskazując na wyrazistość elementów ekspresjonizmu i nawiązania do historii (*Wielki król*).

Pojawiły się też wzmianki na temat Hertzówny u innych autorów, choćby w pracach Jerzego Waligóry – *Młodopolski dramat historyczny. Zarys rekonstrukcji systemu gatunkowego*[61], czy *Kategoria narratora w dramacie młodopolskim*[62], w pracy Marty Wojdak o jednoaktówce z przełomu XIX i XX w.[63], w rozprawce Barbary Bulanowskiej *Między transcendencją a głębiami podświadomości. O postaci symbolicznej*

[57] Tamże.

[58] *Młodopolski świat wyobraźni*, pod red. M. Podrazy-Kwiatkowskiej, Kraków 1977.

[59] M. Podraza-Kwiatkowska, *Somnambulicy – dekadenci – herosi. Studia i eseje o literaturze Młodej Polski*, Kraków–Wrocław 1985.

[60] M. Podraza-Kwiatkowska, *Literatura Młodej Polski*, Warszawa 1992. Ciekawe, że nie wspomina wcale o Hertzównie A. Hutnikiewicz w swojej syntezie naukowej *Młoda Polska* (Warszawa 1994), ograniczając się tylko do podania krótkiego biogramu.

[61] J. Waligóra, *Młodopolski dramat historyczny. Zarys rekonstrukcji systemu gatunkowego*, w: *Dramat i teatr modernistyczny*, red. J. Błoński [i in.], Wrocław 1992.

[62] J. Waligóra, *Kategoria narratora w dramacie młodopolskim*, w: *Stulecie Młodej Polski*, pod red. M. Podrazy-Kwiatkowskiej, Kraków 1995.

[63] M. Wojdak, *Gdy zabrakło happy endu, czyli o jednoaktówce przełomu XIX i XX wieku*, w: tamże.

w młodopolskim dramacie symbolicznym[64], a ostatnio także w książce Wojciecha Kaczmarka, który zwrócił uwagę na inspiracje biblijne w jej dramaturgii[65].

Wszystkie wspomniane prace nie dają pełnego obrazu twórczości dramatopisarskiej Hertzówny, są raczej wzmiankami naprowadzającymi na konkretne zagadnienia strukturalne. Pierwszy pełniejszy zarys dramaturgii Hertzówny sporządził dopiero Kazimierz Gajda[66]. W swoim artykule podał przegląd literatury, pokusił się o szersze, choć tylko szkicowe, omówienie wszystkich dramatów pisarki. Zaczęły się także pojawiać pierwsze prace magisterskie: w 1988 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim pod kierunkiem prof. dr hab. Ewy Miodońskiej-Brookes, autorstwa Ewy Nadolskiej-Mętel[67], a w 1995 r. napisana pod moim kierunkiem w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim przez Jolantę Koziej[68]. Mimo pewnych różnic w analizie tekstów, mają tę samą konstrukcję: obie autorki najpierw dokonują interpretacji poszczególnych dramatów, potem próbują osadzić je w kontekście epoki, przy czym praca lubelska idzie bardziej w kierunku zgłębiania wspólnych literaturze epoki motywów literackich w obrębie dekadentyzmu, ekspresjonizmu i symbolizmu. Wciąż jednak brak zainteresowania teatru, z wyjątkiem bydgoskiego spektaklu *Wielkiego króla*, pozostałymi tekstami autorki *Fleur-de-Lys*.

A. Hertzówna nie była jednak tylko pisarką. Była osobą o wielorakich zainteresowaniach: chemiczką, egiptologiem, pedagogiem. W znanym liście do Kazimierza Czachowskiego z 19 września 1932 r. podała własne dane biograficzne i spis opublikowanych utworów, pisząc: „[...] od 1914, a szczególnie od 1923 ogłosiłam drukiem szereg prac z dziedziny historii i historii kultury starożytnego Wschodu w czasopismach francuskich i niemieckich". Niestety, część listu nie zachowała się i kończy się informacją o wydanej w Lipsku w 1930 r. rozprawie naukowej *Die Kultur um den Persischen Golf und ihre Ausbreitung*. Maria Hulewiczowa w *Polskim słowniku biograficznym* dodaje, na podstawie informacji uzyskanych od rodziny Hertzówny, że pu-

[64] B. Bulanowska, *Między transcendencją a głębiami podświadomości. O postaci symbolicznej w młodopolskim dramacie poetyckim*, w: *Dramat i teatr modernistyczny*, red. J. Błoński [i in.], Wrocław 1992.

[65] W. Kaczmarek, *Złamane pieczęcie Księgi. Inspiracje biblijne w dramaturgii Młodej Polski*, Lublin 1999, s. 69-73.

[66] Gajda, *Twórczość dramatyczna Amelii Hertzówny*, s. 67-78.

[67] E. Nadolska-Mętel, *Twórczość dramatyczna Amelii Hertz – próba monografii*, Kraków 1988.

[68] J. Koziej, *Twórczość dramatyczna Amelii Hertzówny*, Lublin 1995.

blikowała także w czasopismach włoskich, angielskich i kanadyjskich, jak również o nagrodzie naukowej Sorbony za odczytanie nieznanego dotąd papirusu[69]. Pierwszą znaną nam pracą było opublikowanie w Berlinie rozprawy doktorskiej w 1904 r. z dziedziny chemii, którą studiowała zresztą wbrew samej sobie na życzenie ojca. Znana jest także lista jej dzieł naukowych, którą można było zestawić na podstawie informacji samej autorki, a także zachowanych wydań i rękopisów jej prac w zbiorach Biblioteki Narodowej, UJ i KUL[70]. Wynika z niej fakt, że Hertzówna nie zaprzestała badań naukowych niemal do końca życia. Ceniła siebie jednak przede wszystkim jako autorkę dramatów i zabiegała o ich zaistnienie na scenie.

* * *

Przygotowany zbiór dramatów Hertzówny był ostatnią pracą redakcyjną śp. ks. prof. dra hab. Mariana Lewki (zm. 20 maja 2002 r.). Zebrane teksty Amelii Hertzówny pragnął poprzedzić wstępem prezen-

[69] M. Hulewiczowa, *Hertzówna Amelia*, w: *Polski słownik biograficzny*, s. 472. Zob. też *Wielka ilustrowana encyklopedia powszechna*, t. XX (uzupełnienia), Kraków 1933-1934, s. 16.

[70] Lista obejmuje szesnaście pozycji: 1. *Über die Wanderung der Jonen des Kaliumund des Ammoniumchlorides unter dem Einfluss verschiedener Temperaturen*, Berlin 1904; 2. *Historia pisma*, Warszawa 1916. Zob. Sekcja rękopisów BN. Odbitka ze „Sprawozdań z Posiedzenia Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Wydział Nauk Antropologicznych, Społecznych, Historycznych i Filozoficznych" 1916, nr 129, z. 6, s. 65-96 (z 16 VI 1916). Zawiera streszczenie angielskie; 3. *Przyczynek do metody historii kultury*, Warszawa 1918; 4. *Le nom de NJŚWT de l'Horus/Nar-inr*, Paryż 1918; 5. *L'Egypte sous les quatre premiéres dynasties et l'Amérique Centrale. Une conrtibution a la methode de l'histoire de la civilisation*, „Revue de Synthése Historique", t. 35, Nouv. Serie, Paris 1923, t. 9, s. 37-54; 6. *L'histoire de l'outil en fer a apres les documents egyptiens, hittites et assyro-babiloniens*, Paris 1927; 7. *Die Enstehung der Sinaischrift und des Phönizischen Alphabets*. Nadb. „Journal of the Society of Orientale Rese", New York 1928; 8. *Les débuts de la géométrie et les dernieres fouilles en Mésopotamie*, Paris 1929; Warszawa 1933; 9. *Le décor des vases de Suze et les écritures de l'Asie anterieure*, Paris 1929; 10. *Stammen die ägyptischen Gefässe mit Welleni venkeln aus Palästina*, bm. 1929; 11. *La Haute et la Basse Egypte a lofin des temps prehistoriques*, Paris 1930; 12. *Das Alter der Gräberfunder von Ur*, Leipzig 1930; 13. *Bronzenfiguren Babylonien und Assyrien*, Berlin 1930; 14. *Über die 88280-282 des Gesetzbuches Hammurapis*, New York 1930; 15. *Die Kultur um den Persischen Golf und ihre Ausbreitung*, Leipzig 1930; 16. *Le role de la réligion dans les civilisations prégréques*, Milano 1935.

tującym mało znaną biografię pisarki i jej dramaty. Do końca starał się dotrzeć do brakujących informacji i danych dotyczących zagadnień poruszanych we *Wstępie*. Pozostawiony materiał wymagał już niewielu korekt i uzupełnień.

W przygotowanym tu zbiorze publikujemy wszystkie ogłoszone drukiem przez Amelię Hertzównę dramaty. Jako tekst zaginiony wypada uznać maszynopis dramatu *Siostra*, wystawiony w Łodzi w 1912 r. Podstawą wydania zebranych tu dramatów stały się pierwodruki. Wyjątek stanowi *Wielki król*: przy opracowywaniu tego tekstu sięgnięto nie po pierwodruk, ogłoszony w kilku częściach w „Zdroju" w latach 1918-1919, ale po wersję książkową z 1933 r. przygotowaną w nieco zmienionej wersji przez Hertzównę, i tę wersję uznaliśmy za ostateczną.

Dramaty prezentujemy w tym tomie w porządku ich powstawania: *Yseult o Białych Dłoniach* (1905), *Zburzenie Tyru* (1906), *Fleur-de-Lys* (1908), *Pastorale* (1909), *Wielki król* (1910-1911), *Przygoda Kasi* (1920-1921). Zachowaliśmy wszystkie elementy ich kompozycji, składnię, interpunkcję i inne osobliwości językowe, jakie zaproponowała autorka. Uwspółcześniono jedynie ortografię i fleksję.

YSEULT
O BIAŁYCH DŁONIACH

OSOBY:

KSIĘŻNA YSEULT O BIAŁYCH DŁONIACH, wdowa po Tristramie z Lijones
BISKUP z Tamis
MESSIRE KAEDIN
KURWENAL

Scena przedstawia wielką salę dolną w zamku Arundel. Ściany są pokryte czarnymi chustami, drzwi zasłonięte draperiami. Koło głównego wejścia stoi zbroja Tristrama z Lijones z czaszką ludzką w hełmie i z przytwierdzonym do prawej rękawicy ciężkim toporem wojennym. Jedno z okien jest otwarte; przed nim siedzi na krześle z poręczami biskup. Messire Kaedin chodzi niespokojnie po sali.

BISKUP:
Nie znam księżny.

MESSIRE KAEDIN *(zatrzymując się)*:
Naprawdę? Przecież żeście ją chrzcili.

BISKUP (*z gniewem*):
Odpowiedź godna was. Zamknijcie okno. Br... zimno w tym przeklętym zamku.

MESSIRE KAEDIN *(zamykając okno)*:
Skąd ten nagły gniew?

BISKUP:
A na świętego Jerzego! w tym zamku czuć śmierć. Te czarne zasłony i ta zbroja w kącie, i ta cisza... Rzekłbyś, że ktoś kona w sąsiedniej izbie. Nie cierpię śmierci.

MESSIRE KAEDIN (*śmieje się*).

BISKUP:
Śmiejesz się? Dożyj lat moich, to się ze śmierci śmiać przestaniesz. Tak, lekko jest umrzeć w bitwie, w szczęku oręża, wtedy, gdy się myśli tylko o tym, żeby innym śmierć zadać. A widziałeś ty kiedy trupa pod całunem, nieruchomego trupa, na którego twarzy płachta się zagina, tworząc jakby nową białą twarz bez wyrazu? Ręczę, żeś jeszcze nigdy nie myślał o tym, iż może nadejść chwila, gdy do niego będziesz podobnym. *(Widząc, że Messire Kaedin stanął przy*

oknie i z zajęciem patrzy na podwórze – głośniej): No – i czegoście mnie tu przywlekli?

MESSIRE KAEDIN *(odwracając się)*:
Przyjechaliście dobrowolnie.

BISKUP:
Dobrowolnie, dobrowolnie... Miałem z sobą jednego pachołka z kijem, a wy pięciu rycerzy w pełnej zbroi i to nazywa się dobrowolnie.

MESSIRE KAEDIN *(wzrusza ramionami)*.

BISKUP *(ze wzrastającym gniewem)*:
Co mnie obchodzą wasze spory i kłótnie? Wy chcecie pomocy Rogera z Parmenii przy waszych gwałtach i grabieżach, a ja mam namawiać siostrę waszą do ślubów powtórnych. To nawet nie przystoi dostojnikowi Kościoła. Stan wdowi jest błogosławiony i święty, pisze, pisze... *(bardzo prędko)* św. Paweł w liście do Koryntian.

MESSIRE KAEDIN:
Dałbym szyję w zakład, że tego św. Paweł nigdy nie napisał.

BISKUP:
A może i nie, ale co to was obchodzi? *(Ogląda się ostrożnie)*. Czaszka w hełmie. I potrzebne to ludzkie kości wystawiać na pokaz innym... Czy ona mię zresztą usłucha? Ojca przecież słuchać nie chciała.

MESSIRE KAEDIN:
A widzieliście też takiego, co by starego księcia słuchał? Ja nie. Rychło patrzeć, jak go do jakiej komory zamknę, żeby nam wstydu nie robił.

BISKUP:
Jak to?

MESSIRE KAEDIN:
Pije dużo i dziewkami bawi się nad miarę. W jego wieku. I do spraw moich się wtrąca.

BISKUP:
Złym synem jesteście, Messire, wiem o tym.

MESSIRE KAEDIN *(z gniewem)*:
Ja! *(Przez zaciśnięte zęby)*: Jest też komu o złych mówić synach!

BISKUP *(prędko)*:
Pomówię chętnie z księżną; postaram się nakłonić ją do waszej woli.

MESSIRE KAEDIN:
Gdyby ona ze mną mówić chciała, nie potrzebowałbym waszej pomocy, ale nie chce. Zresztą byłem dziewosłębem Tristramowi.

BISKUP *(ironicznie)*:
Nie mieliście szczęśliwej ręki.

MESSIRE KAEDIN:
A pies, kłamca, łotr bezczelny! Zaklinał się na swoją cześć rycerską, że tamtej już nie kocha. Szkoda, że słów jego nie pamiętam, pięknie mówił, A później... Każdy giermek, każdy paź, każdy chłop wiedział, że zdradzał siostrę moją dla tej ścierki irlandzkiej, gotowej...

BISKUP:
Dość tego! Stary jestem, a stanę z wami w szrankach dla obrony jej czci.

MESSIRE KAEDIN:
Nie będę się bił z wami.

BISKUP:
Czemuście Tristrama nie wezwali na rękę? A na św. Jerzego! mimo twych pięciu rycerzy nie śmiałbyś szczekać tutaj swych oszczerstw, gdyby Tristram żył jeszcze.

KURWENAL *(wchodzi i kłania się głęboko obecnym)*:
Księżna będzie tu za chwilę.

BISKUP:
Gdzie była?

KURWENAL:
Na grobach. Modliła się.

BISKUP:
Przebaczyła więc wszystko? Przyznam się, że mi trudno temu uwierzyć; zapomnieć, tak, to możliwe, ale pamiętać i przebaczyć, to nad siły ludzkie.

KURWENAL:
Bo też księżna jest świętą. Nienawidziłem niegdyś żony pana mego, bo on jej nie kochał, a dziś całowałbym ślady stóp jej na piasku.

MESSIRE KAEDIN:
A ja bym cię żywcem ze skóry obdarł, za to, że panią swoją do coraz nowych łez i żalów pobudzasz.

KURWENAL:
Nie ja winien jestem, jeśli księżna nie godzi się na nowe śluby.

MESSIRE KAEDIN:
Nie ty! Więc kto, podstępny rajfurze?

KURWENAL:
Mimo całej czci, jaką mam...

YSEULT *(wchodząc)*:
Co to kłótnia? w moim zamku, jak w karczmie przejezdnej? Ach, to ty, mój bracie! *(Chce się cofnąć).*

MESSIRE KAEDIN *(podchodzi do niej i szybko bierze ją za rękę)*:
Pół roku cię nie widziałem. *(Przypatrując się jej. Z uśmiechem)*: Blada jesteś. Wyglądasz, jakbyś za swymi zaciśniętymi ustami kryła jakąś wielką tajemnicę. *(Nachyla się nad nią i chce ją pocałować).*

YSEULT *(usuwając się gwałtownie i starając się wyswobodzić rękę)*:
Proszę cię, odejdź. *(Do Kurwenala)*: Kurwenalu, nie mówiłeś mi wcale, że Messire Kaedin przyjechał?

KURWENAL:
Zabronił mi wspominać o sobie.

MESSIRE KAEDIN:
Musiałem użyć podstępu, żeby cię zobaczyć. A tak stęskniłem się za tobą.

YSEULT:
Czego chcesz ode mnie?

MESSIRE KAEDIN:
Przyjechałem w towarzystwie biskupa z Tamis. On ci powie o wszystkim.

YSEULT *(kłaniając się biskupowi)*:
Wybaczcie, że dotychczas was nie pozdrowiłam. To wina mego brata, nie widziałam was.

BISKUP:
Bóg z tobą, córko moja.

YSEULT *(spostrzegając, że Messire Kaedin i Kurwenal zostali w sali)*:
Kurwenalu, zaprowadź Messire'a do sali biesiadnej, niech dziewki moje mu służą. *(Messire Kaedin otwiera usta, żeby siostrze odpowiedzieć, namyśla się, macha ręką i wychodzi; za nim Kurwenal).*

YSEULT *(oddychając głęboko)*:
Nareszcie. *(Do biskupa uprzejmie)*: Czego żądacie ode mnie, jestem gotowa do wszelkich usług.

BISKUP *(prędko)*:
Przyjechałem na żądanie ojca twego.

YSEULT *(zimno)*:
Tak.

BISKUP:
Domyślasz się zapewne, czego chcę od ciebie.

YSEULT *(milczy).*

BISKUP:
Ojciec twój życzy sobie, żebyś poślubiła Rogera z Parmenii.

YSEULT *(jw.)*:
Tak.

BISKUP:
Nie jestem za tym, żeby wdowy po raz drugi wychodziły za mąż, stan wdowi jest błogosławiony i święty, ale ojciec twój stary potrzebuje opieki i miłości. Gdybyś poślubiła Rogera, stary książę znalazłby w tobie i mężu twoim podporę swej starości, obronę przeciw wrogom. Znasz swego brata, więc wiesz chyba, że on przede wszystkim ...

YSEULT:
Pozwólcie, że okno odemknę, duszno w tej sali.

BISKUP:
Rób, jak chcesz. *(Yseult otwiera okno).* Samotna jesteś, dzieci nie masz, dobre to, pókiś młoda, ale czym żyć będziesz, gdy włos twój osiwieje. Samotna starość jest podwójną starością, Yseult. Kto będzie przy tobie, gdy przyjdzie twoja ostatnia godzina? Sługi twoje? Rozbiegną się, gdy sił ci nie stanie do rozkazywania, i nie będzie komu zamknąć ci oczu, gdy skonasz. Przejdziesz przez życie, jak cień, nie zostawiając po sobie nawet wspomnień. Nikt modlić się nie będzie za ciebie, nikt nie da na mszę za twoją duszę. Kto wie, o ile lat dłużej będziesz przez to w czyśćcu?

YSEULT *(z uśmiechem)*:
A jeśli pójdę do piekła?

BISKUP *(z gniewem)*:
Gdybym nie wiedział – poznałbym po tym bezbożnym żarcie, że jesteś siostrą Messire'a Kaedina.

YSEULT:
Wybaczcie mi, mówiłam, co myślałam, a musicie mi i więcej wybaczyć: tak dawno nie widziałam ludzi, że zapomniałam, jak należy przyjąć i uczcić takiego gościa, jak wy. Muszę...

BISKUP *(niecierpliwie)*:
Zostaw to, chcę od ciebie tylko wyraźnej odpowiedzi: czy poślubisz Rogera?

YSEULT:
Nie!

BISKUP:
Namyśl się dobrze, za lat parę nikt cię za małżonkę pragnąć nie będzie.

YSEULT *(półgłosem)*:
Póki trzymam zamki i ziemie po matce mojej...

BISKUP:
Myślałby kto, że płaczesz najwierniejszego i najlepszego małżonka! Każdy truwer śpiewa o miłości Tristrama z Lijones do królowej Kornwalskiej, a ty mu dochowujesz wiary po śmierci nawet. Tristram był najpiękniejszym i najdzielniejszym z rycerzy, ale ciebie skrzywdził.

YSEULT *(ze spuszczoną głową, bardzo cicho)*:
Skrzywdził mnie!

BISKUP:
A... czujesz to sama!

YSEULT:
Skrzywdził mnie. Czemu przyszedł i zmusił mnie do miłości. Dawniej nie było istoty ludzkiej, nie było kwiatu, pieśni, chwili dnia, która by nie miała cząstki mojej miłości; ale później kochałam tylko jego i wszystko inne niczym mi było, i ja niczym byłam bez niego.

BISKUP:
I nawet po jego śmierci nie możesz zapomnieć o tym?

YSEULT:
Przecież on był życiem moim i duszą moją! Wszak lata całe siedziałam tu, przy tym oknie, patrząc na gościniec, prowadzący z północy. Serce moje i oczy moje leżały na kamieniach tej drogi, którą on miał przyjechać. A gdy ciemno było, zamykałam oczy, które nie mogłyby go zobaczyć, i drżałam przy każdym szczęku oręża straży, przy każdym wyciu psa, rżeniu koni. Rozumiesz, lata całe. A on przyjeżdżał czasami. Wtedy zamykał oczy, jak ja, całował usta moje i mówił „Yseult!" I wtedy wiedziałam, że on dlatego zniszczył życie moje, by móc małżonkę swoją nazywać tym imieniem, imieniem

tamtej. I to wszystko ma umrzeć bezpowrotnie, nie być: i ból mój straszny, i poniżenie, i miłość moja, i te długie lata, które strawiłam tutaj w zamku? Ja sama mam to wykreślić z życia mego, zapomnieć? Ależ ja zapomnieć nie mogę.

BISKUP:

Życie jest długie, Yseult, a młodość krótka. Spójrz na mnie, i ja byłem młodym niegdyś, kochałem i nienawidziłem, byłem sławnym i dzielnym, silnego ramienia i silnej myśli. A dziś? nic z tego nie pamiętam. Bo jeśli nawet wspomnienie przyniesie mi jaką chwilę minioną, to zdaje mi się, że to raczej wspomnienie z jakiejś księgi rycerskiej, którą czytałem niegdyś, niż z własnego życia mojego. O wszystkim się zapomina.

YSEULT:

Prawda, byłeś niegdyś Messirem Jerzym z Dolois. Czy miałeś wrogów, których nienawidziłeś, tak, wszystką krwią swego ciała, oddechem każdym, każdą myślą swoją, wrogów, którzy w snach stawali przed twoim łożem, i których życie kładło się kamieniem na piersi twoje? Miałeś?

BISKUP:

Nie ma człowieka bez wrogów. Miałem.

YSEULT:

Czy ich zabiłeś?

BISKUP *(niespokojnie)*:

Tak, być może.

YSEULT:

I nie zaraz, i nie prędko. Pewnie długo układałeś plan zasadzki, wysyłałeś szpiegów, żeby wiedzieć, kiedy wyjeżdżają z zamków swoich, czekałeś na nich ukryty w lesie. Albo może nagle z nieopisanym szczęściem spotkałeś ich w bitwie? Nie poznałeś ich po barwie i po zbrojach, tylko po biciu serca swego. Czy zabiłeś ich od razu, czy też przedłużyłeś im chwilę konania?

BISKUP *(z westchnieniem)*:

Byłem wielkim grzesznikiem, ale nie tobie przystoi przypominać mi grzechy moje. Ja bym tak chciał zapomnieć.

YSEULT *(twardo)*:
To są najpiękniejsze wspomnienia życia twego.

BISKUP *(krzyczy)*:
Yseult!

YSEULT:
Widzisz, a ja się zemścić nie mogłam. Musiałam czekać cierpliwie, aż Bóg zlituje się nade mną i przyśle mi go konającego do mej komnaty. Zdaje mi się, że mogłabym stać lata całe i patrzeć w jego zrozpaczone oczy, jak wtedy, gdym mu rzekła, że czarne żagle wieją z okrętu Kurwenala. Ach, gdybym jeszcze raz jeden mogła usłyszeć jej jęki nad jego ciałem. *(Uśmiechając się)*: Nigdy podobnych jęków nie słyszałam. Myślałam, że skonam ze szczęścia, jak ona z boleści.

BISKUP:
Straszna jesteś, Yseult. Nie dziwię się, że mąż twój odwrócił się od ciebie: serce twoje to gniazdo wężów.

YSEULT:
To jego wina! Serce moje było podobne niegdyś do ogrodu pełnego wonnych kwiatów. Było smutne i słodkie, jak zachodzące słońce. Czyż nie skrzywdzili mię oni?

BISKUP:
Należy przebaczać.

YSEULT:
Nie przebaczę, i w godzinie śmierci mojej nie przebaczę, i potępioną i potępioną będę po śmierci, bo przebaczyć nie mogę. Czyż nie skrzywdzili mnie oni?

BISKUP:
Tak, krzywda twoja wielka. Ale zostaw umarłych. Patrz, na grobach ich kwiaty kwitną, róże je oplotły. Zapomnij o nich. I dla ciebie jeszcze róże kwitnąć mogą, jak tym umarłym.

YSEULT:
Róże na ich grobie! Każdy truwer śpiewa o różach na grobie Tristrama z Lijones i Yseulty z Irlandii, każdy truwer śpiewa o ich

miłości Ale przysięgam, że, gdyby oni wtedy nie umarli, nie śpiewano by ani o Tristramie, ani o Królowej Kornwalskiej, tylko o zemście Yseulty o Białych Dłoniach, o mojej zemście!

BISKUP:

Choćbyś ich własną dłonią zabiła, choćbyś zamordowała ich w tak strasznych mękach, jakich jeszcze dotychczas nikt nie śmiał użyć, dziś nie żyliby już i twoja zemsta mogłaby się tylko nasycać ich grobami. Przestań więc żałować niepopełnionych grzechów.

YSEULT:

Nie żyliby, mówisz? O wy, serca barbarzyńców, zabić to się u was zemstą nazywa! *(Śmieje się)*: Zgładzić wroga? Nie, niech żyje i cierpi, i niech wie, że tylko śmierć może być końcem jego bólu. I niech się boi tej śmierci, jak tylko ludzie bardzo nieszczęśliwi bać się jej mogą. Ja się też dawniej bałam umrzeć.

BISKUP:

Nie zostanę tu ani chwili dłużej, nie chcę nic mówić z tobą. Odejdź, albo zawołaj ludzi, słyszysz, rozkazuję ci.

YSEULT:

Nie, teraz powiem, już wszystko. *(Szeptem)*: A jeśli oni wtedy nie umarli, a jeśli ja kazałam złożyć do ziemi puste trumny? Jestem panią nieograniczoną w moim zamku, jeden Kurwenal mógłby mnie zdradzić, a przecież to tak łatwo zamknąć usta ludzkie na wieki. A później...

BISKUP *(również szeptem)*:

A później?

YSEULT *(jw.)*:

Widziałeś kiedy lochy pod tym zamkiem? Są tak głębokie, że nie słyszy się uderzenia kamienia padającego na ich dno, i tak ciemne, że trzeba trzymać pochodnię przy twarzy więźnia, by ujrzeć jego oczy. Gdy schodzę do nich, taki ciężar kładzie się na piersi moje, że zdaje mi się, iż żywcem wstępuję do grobu. Ale ja często schodzę do lochów.

BISKUP:

Sama?

YSEULT *(jw.)*:

Kat idzie ze mną i ustawia tam w dole narzędzia tortur. Przysięgam, że nikogo nie ma na torturach. To ja sama jęczę, i głos mój odbija się od ścian więzienia. Nie, tam nie ma ramienia, które na próżno prężyło się pod ciężarem żelaza, chcąc zerwać więzy przykuwające je do kamieni lochu; jeśli kajdany dźwięczą, to tylko dlatego, że upadły z rąk pachołka. Tam przecież nigdy nie ma nikogo oprócz nas dwojga: mnie i kata. Tylko czasami idzie ze mną jedna z dziewek moich z kochankiem i słyszę wtedy ich urywany szept miłosny i westchnienia. Przysięgam ci, że nie wiem, kto wyje wtedy w ciemnościach nieludzkim głosem. Nie wiem... może...

BISKUP *(głośniej)*:

Nie mów szeptem.

YSEULT *(nie podnosząc głosu)*:

Tam w dole nawet szept słyszą. Czy wiesz, że lochy są pod tą salą. Często siaduję tutaj i każę przyjezdnym truwerom śpiewać pieśni, zawsze tylko o Tristramie i Yseulcie. I oni to słyszą, tam, w dole. I wtedy zdaje mi się, że palce ich skutych rąk wpijają się w mur i cały zamek drży od ich bezsilnego bólu nad przeszłością.

BISKUP *(zrywając się)*:

Dość tego! oni są tu w zamku.

YSEULT:

Cóż znowu, przecież w kaplicy leżeli z odkrytymi twarzami. Gdyby żyli, czyż są tortury, które wymogłyby na mnie zdradzenie tej tajemnicy? Czyż nie znaleźliby oswobodzicieli? Jak sądzisz, kochałyby się jeszcze te dwa ohydne kościotrupy, gdyby ujrzały się teraz? Może byłoby to największą karą dla nich ujrzeć się teraz? Zresztą gotowam zejść z tobą do lochów, przekonasz się, że tam nie ma nikogo.

BISKUP *(po namyśle)*:

Nie, nie chcę, niech Messire Kaedin idzie z tobą.

YSEULT:

Byłaby to za wielka pokusa dla mnie, być może, iż zatrzymałabym go tam na dole.

BISKUP:
Brata twego!

YSEULT:
Czemu nie umiał bronić praw moich przyjaciel Tristramowy! Dlaczego nie pomścił mnie, gdy był czas po temu, dlaczego nie zabił go w jej ramionach? Zdaje mi się, że nic by mi już do szczęścia nie brakowało gdyby on był w lochach razem z nimi.

BISKUP:
Mówisz tak, jakby oni żyli jeszcze.

YSEULT:
Krwią mego serca żyli po śmierci, upiory, ale teraz umarli. Gdy mówiłam do was, zaczęli blednąć i konać. Znikli i już nie wrócą, ale może być, że ja odejdę z nimi. Pozwólcie mi się oddalić, nie mogę dłużej...

BISKUP *(niecierpliwie)*:
Idź, idź.

YSEULT *(odchodzi chwiejąc się. Przechodząc koło zbroi Tristrama opiera się na niej. Topór urywa się i spada na podłogę, która wydaje głęboki ton, jakby zakończony jękiem).*

BISKUP *(zrywa się krzycząc)*:
Oni są tu w zamku!

YSEULT *(odwraca się i mówi zimno i spokojnie)*:
Cóż znowu, przecież to Kurwenal przyjmował was na moście zwodzonym. Jeżeli on żyje, to pan jego nie może być w lochach mego zamku.

BISKUP:
To prawda, nie myślałem o nim.

YSEULT:
Co się tyczy Kurwenala... A wiecie, że mieliście rację mówiąc, iż starość zapomina. Mimo czułej swej rozpaczy Kurwenal zapomniałby o Tristramie, zniósłby nawet czaszkę w tym hełmie. Ale ja jestem przy nim i co dzień słowami rozkrwawiam ranę jego serca, co dzień przypominam mu o panu jego i sama płacząc patrzę, jak łzy

płyną po jego starczej twarzy, jak z oczu jego wyziera wielka rozpacz beznadziejna — i niezmierna radość zalewa mi serce. *(Wychodzi).*

MESSIRE KAEDIN *(który, widoczny przy drugim wejściu, oczekiwał końca rozmowy, wbiega pośpiesznie)*:

No i cóż, mówiliście z siostrą moją?

BISKUP:

Ja z nią? Sam szatan mówił ze mną dzisiejszego wieczora.

Zburzenie Tyru

... tak żałośni będą nad powieścią o Tyrze.

Izaj. 23, 5.

OSOBY:

EZECHIEL
JOAB
BALTIS
ADONIBAL, kupiec tyreński
ŻONA Adonibala
2 synków
GERSTAKON
TACHOT Egipcjanka
JOEL

AKT I

Komnata w domu kupca. Od wschodniej strony smukłe, miedziane kolumny wspierają wiązania dachu i w utworzone w ten sposób szerokie arkady wdzierają się drzewa ogrodu. Trzy inne ściany pokoju, nie wyłączając drzwi, są pokryte zasłonami z cienkiej wzorzystej wełny, farbowanej najprzedniejszą purpurą. Wiszą na nich tarcze srebrne i złote, sznury bursztynu, rogi olbrzymich, a tajemniczych zwierząt, i inne zamorskie cuda. Podłoga jest upiększona kolorowym szkłem i klejnotami, ułożonymi na podobieństwo kwiatów. W powietrzu kołyszą się lampy z drogocennych kruszców, przytwierdzone do sufitu niewidzialnymi prawie, giętkimi sznurami. Dwie najmniejsze palą się teraz, chociaż jeszcze jasno na dworze. Kupiec i jego żona siedzą przy hebanowym stole na krzesłach z kości słoniowej. Posiadacze tych wszystkich bogactw mają suknie podarte i brudne, twarze zmęczone, wynędzniałe i pomięte, twarze ludzi, którzy muszą umrzeć za godzinę i wiedzą o tym. Patrzą na siebie wypłowiałymi od łez, zrozpaczonymi oczyma, ale żaden ruch, żaden żywszy dźwięk głosu nie zdradzają niepokoju lub boleści. Od czasu do czasu rozlega się głośny okrzyk lub wesoły śmiech synków Adonibala, bawiących się nieopodal na podłodze.

KUPIEC:
Już się zmierzcha.

ŻONA:
Tak.

KUPIEC:
Noc będzie dzisiaj jasna, pełnia, i ani jednej chmurki na niebie.

ŻONA:
Tak.

KUPIEC:
Dzisiaj Milchaton rozdawał zboże: biednym darmo, bogatym po trzy sykle złota miara.

ŻONA:
Naprawdę? Milchaton dał darmo?

KUPIEC:
Zmusili go do tego. Kupiłem trzy miary.

ŻONA:
Jak to, przecież...

KUPIEC *(kładąc palec na ustach)*:
Cyt. Mówią, że moje zapasy są większe niż Milchatonowe, szepcą o piwnicach i skrytkach w moim domu, dziwią się, że twarze dzieci moich są rumiane... Rozumiesz?

ŻONA:
To źle.

KUPIEC:
Źle bardzo.

ŻONA:
Co cię podejrzenia tych ludzi obchodzą. Niech przyjdą szukać, nic nie znajdą.

KUPIEC:
Kto przyjdzie szukać: król, rada najwyższa? Tłum przyjdzie, dom mi rozwalą, a znajdą. Mają czujne nosy, gdy idzie o dobranie się do cudzych zapasów. Drżę z gniewu na samą myśl, że wy moglibyście głód cierpieć na to, aby pierwszy lepszy włóczęga nocny miał czym napchać swoje dziurawe gardło.

ŻONA *(niespokojnie)*:
Więc nie zrobisz, jak Milchaton?

KUPIEC:
Co, już teraz? O, poczekają oni jeszcze. Naszym walecznym obrońcom dałbym chętnie zboże, ale tej zgniłej tłuszczy, tym niepotrzebnym gębom, które włóczą się po ulicach i utrudniają tylko obronę.

Bogowie, po co nam teraz kobiety w mieście? Strawy nie gotują, bo nie ma z czego, zboża nie mielą... Gdyby przynajmniej były dziewicami, to by można było złożyć je w ofierze Astarcie, ale teraz w Tyrze prawie tak trudno o dziewicę, jak o bażanta.

ŻONA:
Czy mówiliście dziś o ofierze w radzie?

KUPIEC:
Król nie chce.

ŻONA:
Syna mu żal, a miasta nie. I bogowie mają nam być łaskawi, kiedy im ofiar nie składamy.

KUPIEC:
Teraz sami bogowie nic nie pomogą.

ŻONA:
Ale powinni dostać, co im się należy.

KUPIEC:
Tak, żądaj, żądaj wielkiej ofiary błagalnej, idź na rynek, krzycz o nią głośno, nie zapomnij tylko, że masz dwóch synów i córkę, która jest najpiękniejszą dziewicą w Tyrze.

ŻONA *(zagryzając wargi)*:
Aaa... Jak długo będzie trwało jeszcze oblężenie?

KUPIEC *(wzrusza ramionami)*.

ŻONA *(nieśmiało)*:
Odsiecz przyjdzie?

KUPIEC:
Skąd?

ŻONA:
Sydon.

KUPIEC:
Dawno zburzony.

ŻONA:
Dlaczego nie mówiłeś mi o tym? *(Dwie łzy spływają po jej twarzy).* Przecież dom mego ojca w Sydonie, dom mego ojca w Sydonie.

KUPIEC:
Nie płacz, nie płacz, łez szkoda, i ten dom niedługo stać będzie.

ŻONA:
Więc miasto padnie wkrótce?

KUPIEC:
Może.

ŻONA:
Odpowiadaj.

KUPIEC:
A więc tak.

ŻONA:
Czy, czy nie można by spróbować układów?

KUPIEC:
Ani król, ani rada najwyższa, ani lud o tym słyszeć nie chce i słusznie: układy teraz nie uratują nam miasta i wolności.

ŻONA:
Powinniście się zająć tą sprawą.

KUPIEC:
Jak to?

ŻONA:
Macie wszyscy ukryte skarby, wielkie skarby, którymi świat cały można przekupić, nie tylko Babilończyka. Niech nam wydadzą jedną, dwie galery; pojedziemy, a z resztą zrobią, co zechcą.

KUPIEC:
A z domem naszym co będzie? Pokolenia wznosiły go i zdobiły najpiękniejszymi łupami, wydartymi morzu i ziemi. Mój pradziad przywiózł z ciemnej, zimnej krainy, gdzie oddech w mgłę się zamienia, te rogi wielkoluda, te sznury przeźroczystych kamieni, żółtych

jak promienie słońca. Te kubki złote, wykładane kością słoniową, darowała memu ojcu królowa Saby. Te tarcze srebrne ja sam zdobyłem w Tarsis. Od trzystu lat gniją w ziemi kości niewolników, którzy umalowali klejnotami tę podłogę, a już wtedy nikt powiedzieć nie umiał imienia człowieka, na którego rozkaz wznoszono te mury. I ja to wszystko mam rzucić na pastwę losu i barbarzyńców, mam siedzieć spokojnie na okręcie i myśleć: oto w tej chwili Babilończyk w domu moim rozbija marmurowe ściany, niszczy kosztowne sprzęty.

ŻONA:

Zabierzemy wszystko z sobą.

KUPIEC:

Mów z kobietą! Co zabierzemy? Dom mój, czy świątynię Melkarta, w której po powrocie z każdej wyprawy składałem ofiary, czy przystanie, gdzie dobijały niegdyś moje okręty, czy Tyr cały, w którym każdy kamień mówi o naszej przeszłej wielkości i chwale. O kobieto, zła i głupia, czy sądzisz, że można żyć bez Tyru?

ŻONA:

Co cię Tyr obchodzi, połowę życia spędziłeś za miastem. *(Chwila milczenia. Potem mówi wskazując na synów)*: A oni? Imię twoje zaginie razem z Tyrem.

KUPIEC:

Wolę być ostatnim z rodu niż ojcem niewolników.

ŻONA:

Nie chcesz mnie zrozumieć. Powiedziałam: pojedziemy. Możemy schronić się do Kartaginy, możemy założyć nowe miasto... *(Nagle urywa)*. Po co kłamiemy, po co mówimy. Co innego w sercu, co innego na wargach, ale i tego mam dosyć nawet. *(Słychać kroki na schodach)*. Baltis idzie. O jakżem zmęczona.

(Wchodzi Baltis. Jest otulona wielkim płaszczem, który zakrywa całą jej postać i głowę nawet).

KUPIEC *(do Baltis)*:

Nareszcie jesteś. Późno już. Zamordują cię jeszcze kiedy.

Baltis zrzuca płaszcz. Jest bardzo piękna i ubrana z niesłychanym przepychem. Żółte jej suknie z przeźroczystego płótna egipskiego i jedwabiu są haftowane perłami i drogimi kamieniami. Klejnoty,

którymi pokryte są ramiona jej i ręce, starczyłyby na okup króla, ba, miasta całego. Światło lamp odbija się od ozdób jej głowy i szyi, ale oczy Baltis same świecą w półzmroku niebieskim płomieniem. Kiedy stoi tak dumna i smukła na środku komnaty, blednie przy niej purpura ścian, gaśnie blask kwiatów podłogi i cały pokój wydaje się wnętrzem nędznej lepianki, do której raczyła wejść pani. Stojący przed Baltis rodzice wyglądają jak najnędzniejsi jej niewolnicy.

BALTIS *(z uśmiechem)*:
Nie jestem bezbronna. *(Kładzie rękę na głowni sztyletu tkwiącego w jej sukniach).* Zatruty. Dotknęłam nim tylko kota Tachot i zdechł w jednej chwili.

ŻONA:
Byłaś u Tachot. Zabraniam ci chodzić tam, po tych zaułkach, do czarownicy.

BALTIS:
Zabraniaj!

ŻONA:
Po co tam poszłaś?

BALTIS *(drwiąco)*:
Po napój miłosny dla mego miłego, po eliksir długiego życia, po...

KUPIEC:
Nie odpowiadaj tak matce. Czemu wracasz późno wieczorem?

BALTIS:
Byłam na murach, a stamtąd do Tachot niedaleko. Br... *(Otrząsa się).* Te zaułki. Zaduch w nich, choć od dwóch lat nikt purpurą nie farbuje, a przy tym trupy. Na ziemi leżą cuchnące, gnijące trupy, i trzeba przechodzić koło nich. Bogowie, jak ja się trupów brzydzę, i krwi, i rozdartych ciał ludzkich. *(Siada przy stole i wspiera głowę na ręku).* Z całych sił zaciskałam suknie koło siebie, by nie dotknęły się czasem jakiegoś martwego ciała, by nie zamoczył się rąbek mej szaty w kałuży błota lub krwi.

ŻONA:
Pewno były tam znowu jakieś kłótnie i bójki między pospólstwem.

KUPIEC:
O garść zgniłego prosa zarzynają się teraz.

BALTIS *(nie zwracając na nich uwagi)*:
Jeden z nich leżał w poprzek drogi. Dwa razy odchodziłam od niego i dwa razy wracałam się znowu, bo ja musiałam mówić dzisiaj z Tachot, musiałam, musiałam. Upokorzona jestem, że patrzałam na rzecz podobną, że szukałam oczyma na tych zgniłych łachmanach najmniej zgniłego miejsca. *(Patrząc na nogę, z wyrzutem)*: O matko, znów mam rozwiązane sandały.
(Żona klęka przed nią i zaczyna wiązać jej sandały).

STARSZY SYN *(który przysłuchiwał się Baltis)*:
Jak przeszłaś?

BALTIS:
Postawiłam nogę na jego twarzy, na szczęście, gdy wracałam, uprzątnięto już trupa.

STARSZY SYN:
Kto uprzątnął?

BALTIS *(wzrusza ramionami. Do matki)*:
Wiąż prędzej.

KUPIEC:
Czy matka jest twoją niewolnicą?

BALTIS:
Tak, jest niewolnicą moją, z wielkiej miłości jest niewolnicą moją. *(Do matki)*: Czy mogę rozkazywać, mogę rządzić?

ŻONA:
Wszystko, wszystko zrobię dla ciebie ze szczęściem. *(Całuje ją w nogę, powyżej sandała).*

BALTIS *(do ojca)*:
Widzisz, szczęściem jest dla niej, że może mi służyć, a ja już dość mam twarde ręce od czasu, gdy mnie, córce twojej, przyszło samej sobie nosić wodę na kąpiel.

ŻONA:
Nie gniewaj się, doprawdy nie mogę unieść konwi.

BALTIS:
Nie robię ci wyrzutów. *(Do ojca)*: Słyszysz, i ja mam ją pozbawiać tej radości. Chodź, matko moja, służ twojej pięknej córce, wiąż jej sandały, czesz jej złote włosy, przecież to już tak krótko, tak krótko.

ŻONA:
Mogłoby być długo, bardzo długo, gdyby twój ojciec chciał.

BALTIS:
Jak to?

KUPIEC:
Matce się zdaje, że ja wszystko mogę. Śni stara, chce nowy Tyr zakładać. Rozumiesz?

BALTIS:
Nie.

KUPIEC:
Matka żąda, żeby przedstawiciele najpierwszych rodzin, członkowie rady najwyższej, kapłani...

BALTIS *(przerywając)*:
Jednym słowem wszyscy ci, którzy pochodzą z Sydonu?

KUPIEC:
Tak. Mamy ułożyć się z Babilończykiem i opuścić Tyr przed jego ostateczną zagładą.

BALTIS:
Tyr nie zginie w ten sposób, bo my jesteśmy Tyrem, a nie kamienie lub pospólstwo uliczne.

ŻONA:
Mów, mów, Baltis.

KUPIEC:
Zapominasz o królu, który nie zechce opuścić miasta.

BALTIS:
Król jest niewolnikiem, przykutym do galery, musi zginąć, gdy okręt idzie na dno.

KUPIEC:
Powiedz raczej, że jest dowódcą, który dobrowolnie ostatni schodzi z pokładu, kiedy statek tonie.

BALTIS:
Wszystko jedno, co nas król obchodzi?

KUPIEC:
Tak, ciebie nic nie obchodzi, ani król, ani Tyr, ani ród twój. Nad własnym losem umiesz tylko łzy ronić.

BALTIS:
Twoją córką jestem. Ale nie kłóćmy się. Kara krzyża czeka każdego, kto porozumiewa się tajemnie z wrogiem, a Babilończyk nie zechce się układać z nami, gdy wszystko jego jest, skarby i ludzie.

KUPIEC:
Jeszcze nie jest.

BALTIS:
Jak długo jest twoje jeszcze? Dzień, dwa, tydzień może, a później śmierć.

ŻONA *(obejmując Baltis)*:
Nie, tylko nie to, nie śmierć dla was, nie śmierć dla ciebie, Baltis. Lepsza niewola nawet.

BALTIS:
Co, niewola? Na twarz Melkarta, umiera dwa razy, kto niewolnikiem umiera, a jedna śmierć jest dość gorzką. Niewola... br... Dziś jest się człowiekiem, a jutro niczym, mniej od zwierzęcia, od trupa, od sprzętu domowego. Nazywać jakiegoś Babilończyka, jakieś bydlę nieczyste panem... Przysięgam, że wolałabym skonać na krzyżu.

KUPIEC:
A jednak boisz się śmierci.

BALTIS *(zamyślona)*:

Bólu się boję, tak, ale śmierci... Nie wiem. Gdybym wiedziała, że mnie zaduszą miękkimi, cudnymi zasłonami, które nie zostawiłyby nawet czerwonej pręgi na mojej białej szyi, ale tak... Oni mnie zębami rozerwą, oni szpony krogulcze zatopią w moim ciele. O oni... Jakże się brzydzę nimi i jak się ich boję. Nawet trup mój wzdrygnie się ze wstrętu, gdy dotknie go ręka Babilończyka.

KUPIEC:

Aż tak?

BALTIS:

Czyś ich widział kiedy, jak ja, z bliska, z murów? O, te zwierzęce, potworne mordy, oczy szakala. Słów mi brak. Nad trupami się pastwią, krew piją i patrzą na nas, i czekają, na koniec Tyru czekają.

KUPIEC:

Czemu chodzisz na mury? Wracasz zawsze blada, drżąca, pełna strachu.

BALTIS *(spokojniej)*:

Czemu? Może dlatego, że tam śmierć czeka na mnie, prędka śmierć żołnierza na polu bitwy, może dlatego, że gołębice moje już nie żyją, i że nie mogę patrzeć bez płaczu na ich opuszczone gniazda, może dlatego, że gdy jestem tutaj, to widzę zbyt jasno, jak się rozpadają kamienie domu, jak ogień wdziera się do komnaty, jak...

KUPIEC:

Dość, wszyscy wiemy, że koniec bliski, a milczymy i spokojni jesteśmy.

BALTIS:

Bo macie oczy, które widzą tylko dziś.

KUPIEC:

Zamknij więc twoje zbyt ostre oczy i kłótliwe usta.

BALTIS:

Nie mogę, nie mogę. Wy wiecie tylko, a ja widzę. *(Klęka i dotyka rękoma podłogi, szeptem)*: Tu będziemy leżeli, jak woły ofiarne na stopniach ołtarza, z roztrzaskanymi głowami na ziemi, w kałuży krwi. Obrzydzeniem będziemy domowi naszemu. Żelaznym sanda-

łem będzie deptał po nas żołdak babiloński, dzidę wrazi nam w oczy, w zagasłe, trupie oczy, a po ścianach krew będzie ciekła wolno na tę kwiatami malowaną, cudną podłogę nasza krew będzie ciekła.
(Dzieci wybuchają płaczem).

ŻONA *(drżąc)*:
Przestań, dzieci płaczą.

BALTIS *(wstaje, śmiejąc się)*:
Głodne płaczą. Daj, matko, chleba im, będą się śmiały.

STARSZY SYN:
Tak, daj nam chleba.

KUPIEC:
Nie dawaj.

ŻONA:
Mamy trzy miary, które kupiłeś u Milchatona.

KUPIEC:
Prawda, zapomniałem, przynieś je.

BALTIS:
Daj lepiej chleba z piwnicy, jeszcze nie przywykłam do tej strawy zwierząt.

KUPIEC:
Podejrzenia...

BALTIS:
Nikt nas nie podpatruje, nikt wiedzieć nie będzie, że jemy chleb, a nie ziarna pszeniczne.

KUPIEC:
Straciłem głowę.

BALTIS:
Idź, matko, przynieś nam chleba i wina.
(Matka wychodzi).

KUPIEC *(z wyrzutem)*:
I wina?

BALTIS:
Jeszcze chcesz szczędzić, jeszcze chcesz chować? Koniec, koniec.

KUPIEC:
Źle zbudowana jest nasza piwnica. Gdyby ją można było zamknąć i otworzyć od wewnątrz...

BALTIS:
To byś tam przesiedział burzenie miasta, a później umarł z głodu i z pragnienia w pustyni. Chociaż mówią, że śmierć z głodu jest lekką śmiercią.

KUPIEC:
Nie mów tyle o śmierci, nie przypominaj mi ciągle końca, i tak za dużo myślę o nim.

BALTIS:
O czym mam mówić? Czy o wyłomie w murze koło portu Egipskiego, czy o czarnej śmierci, która jest w mieście, czy...

KUPIEC:
Milcz.

BALTIS:
O nie, wtedy myślę za dużo. Ale jeżeli nie chcesz mówić o tym, co jest i będzie, możemy mówić o tym, co było. Opowiadaj o dalekich wyprawach morskich, odkrywco mórz i lądów, sław walki twoje, zdobywco, wyliczaj okręty, naładowane złotem i kością słoniową, kupcze, chełp się skarbami twoimi, członku najwyższej rady, najbogatszy z panów Fenicji.

KUPIEC:
Oblężenie tak cię rozzuchwaliło, przeklęta dziewko, ale zamknę twoje bezczelne usta. *(Podnosi rękę, chcąc uderzyć).*
(Żona wchodzi z dzbanem wina i koszem chleba).

BALTIS *(wyciągając sztylet)*:
Ostrożnie, zatruty.

(Kupiec cofa się, Baltis mierzy go przez chwilę pogardliwie oczyma, następnie podchodzi, śmiejąc się, do okna).

ŻONA *(z wyrzutem)*:
Baltis.
(Baltis nie odwraca się).

KUPIEC:
Nie zważaj na nią, chodź, głodny jestem.
(Dzieci zbliżają się do stołu. Wszyscy jedzą chciwie, popijając winem. Chwila milczenia. Baltis stoi teraz twarzą zwrócona do pokoju i śledzi gorączkowo ruchy jedzących).

ŻONA *(do Baltis)*:
Głodna jesteś?
(Baltis nie odpowiada).

ŻONA *(nalewa do kubka trochę wina i podchodzi z nim do córki)*:
Choć wina się napij.

BALTIS *(odtrącając ją)*:
Nie w tym, w rzeźbionym, złotym.
(Żona przelewa wino).

BALTIS *(całując rzeźbiony obraz bogini na kubku)*:
Astarte z Sydonu, bądź pozdrowiona, o Gołębiooka.

KUPIEC:
Nie wzywaj jej.

ŻONA *(z gniewem)*:
Co to ciebie obchodzi. Składaj ofiary Melkartowi, jeśli chcesz, a zostaw moich bogów w spokoju. Wzywaj ją, Baltis, Matkę morza i ziemi, może zlituje się nad nami.

KUPIEC:
Nie wzywa się bogów zburzonych miast, to nieszczęście przynosi.

BALTIS *(zamyślona)*:
Albož w Tyrze jest jeszcze miejsce na szczęście i nieszczęście, teraz, gdy śmierć jest w nim wszechwładną panią.

KUPIEC:
Znowu. Nie chcę słyszeć o tym więcej.

BALTIS:
Rozkazujesz, czy prosisz?

KUPIEC *(po chwili wahania)*:
Proszę.

BALTIS:
W takim razie mogę jeść chleb z twego stołu. *(Podchodzi do stołu i je).* Nawet przełamię go z tobą.

KUPIEC *(wstając)*:
Nie do uwierzenia, ta zuchwałość!

BALTIS:
Nie chcesz? Mnie na zgodzie nie zależy.

KUPIEC:
Gadzino! *(Do żony, wskazując na wieczerzę)*: Sprzątnij to.

BALTIS *(ironicznie)*:
Aż gadzino?

KUPIEC:
Nie poznaję cię, Baltis. Dawniej nie śmiałaś oczu podnieść, gdy patrzyłem na ciebie, słowa nie mogłaś z ust wydobyć, a teraz...

BALTIS:
Bo dawniej byłeś starszym ode mnie, i ojcem moim, i mężem między mężami.

KUPIEC:
Czy tym wszystkim dziś nie jestem?

BALTIS:
Ojcem moim jesteś, jeszcze nim jesteś. Przeklinam cię, żeś śmiał dać mi życie w takiej chwili, na taką mękę, przeklinam cię, że jesteś rodzicem moim. Dlaczego nie zabiłeś mnie niemowlęciem, dlaczego...

KUPIEC:
Kto mógł wiedzieć...

BALTIS:
Milcz. Na kolanach powinniście błagać mego przebaczenia, ty i ona, że córką waszą jestem. Głową o kamienie bijcie w pokorze, może wam przebaczę... Cóż to, czy nie wiecie, że życie moje nie było warte rozkoszy, którą czuła matka moja w chwili poczęcia i bóli, w których mnie rodziła.

ŻONA *(z wyrzutem)*:
Baltis.

BALTIS *(przedrzeźniając)*:
Baltis, Baltis.

KUPIEC:
Jak śmiesz tak mówić do mnie. Powinnaś mnie szanować jeśli nie jako ojca, to jako męża i starca.

BALTIS:
Męża, *(śmieje się)* męża. *(Kładzie rękę na piersiach).* Oto jedyny mąż w tym domu, ja jedna jestem na murach.

KUPIEC:
Przeszkadzasz tam tylko.

BALTIS:
Ale jestem, ale jestem. A co do lat twoich... Starość jest bliskością grobu, a więc jesteśmy równych lat, bo pomrzemy w jednej godzinie.

KUPIEC *(plując przed nią)*:
Niech cię trąd stoczy. *(Bierze ręce synów).* Chodźmy, dzieci. *(Wychodzą).*

ŻONA:
Rozgniewałaś ojca.

BALTIS:
Gniew bogów nad nami, co mnie gniew ludzi obchodzi.

ŻONA *(gładząc jej czoło palcami)*:
Nie marszcz tak czoła, zmarszczki ci się przed czasem utworzą.

BALTIS *(uśmiechając się ironicznie)*:
Naprawdę?

ŻONA:
Uśmiechaj się lepiej. Jak ci się oczy błyszczą. Nie myśl, nie mów tak gorzko. Bogowie postanowili naszą zgubę, to trudno. Nie wiem, kto ich gniew wyzwał, nie wiem, czym ich przebłagać, ale koniec jeszcze daleki, bardzo daleki. Może jeszcze tydzień cały, miesiąc, rok nawet... No mówże.
(Baltis milczy).

ŻONA:
Nie myśl o zburzeniu miasta, zapomnij, daj mnie zapomnieć, że ty umrzeć musisz, i że gdyby twoja stara matka nawet życie swe oddała bogom w ofierze, to...

BALTIS:
Zrobiłabyś to dla mnie?

MATKA:
Po tysiąc razy tak.

BALTIS:
Szkoda. *(Po chwili).* I tak mocno można kochać, naprawdę? Jakże ci zazdroszczę.

ŻONA:
A, rozumiem teraz: tęsknisz za kochankiem, żałujesz tego, że umierasz dziewicą.

BALTIS:
Nie, nie, matko. Daj mi spokój, odejdź.

ŻONA:
Zlituj się nade mną, nie odpędzaj mnie, przecież ja dwa razy ból twój czuję, Baltis, córko. Czy niczym ci ulgi przynieść nie mogę? Mów, co mam zrobić dla ciebie...

BALTIS:

Daj mi mówić, daj mi płakać nad sobą, gdy niepłakana mam umrzeć. Pozwól mi rozpaczać nad bliską śmiercią moją, gdy nikt nie zanuci pieśni żałobnej nad moim ciałem. Nawet gdyby opowiadano mi tylko, że najpiękniejsza dziewica Fenicji, córka bogów, musi umrzeć dziś, jutro, za godzinę, to bym płakała nad jej losem. Nawet na więdnące róże nie mogłam patrzeć się bez płaczu, a czyż nie jestem najpiękniejszą różą na ziemi?

ŻONA:

Mów, mów, ja się słów nie boję.

BALTIS:

Dość. Gdyby Amatbal żyła...

ŻONA:

Widzisz, młodszą była od ciebie, a skonała bez skargi.

BALTIS:

Sił mówić nie miała, stara była chorobą, jeśli nie latami. Jakże czepiała się szat moich, jak obejmowała mnie. Wargi jej chciały przyróść do mojej twarzy w ostatnim pocałunku. To stworzenie o pomarszczonej twarzy, o cienkich jak igła palcach, o zagasłych oczach żyć chciało, żyć chciało. A ja...

ŻONA:

I ty już nie jesteś dawną Baltis.

BALTIS:

Tak, to prawda. Patrz, jak pierścienie nie trzymają się rąk moich. *(Opuszcza szeroko otwarte ręce, deszcz pierścieni spada na podłogę. Żona schyla się po nie).*

BALTIS:

Zostaw.

ŻONA:

Dobrze. *(Prostując się).* Późno już, chodźmy spać.

BALTIS:

Nie, nie jeszcze, chcę mówić z tobą. *(Namyśla się, po chwili)*: Nie mogłam żyć, jak przystało córce mojego rodu, bo córki rodu mojego

miewały tysiące niewolnic, lektyki z kości słoniowej i jedwabiu, kobierce z purpurowej wełny, galery obite złotem o żaglach z bysosu, a ja chodzę sama nocą po zaułkach farbiarzy, zakryta płaszczem jak zbiegła niewolnica. Córki mojego rodu bywały oblubienicami królów, a twarz moją zna każdy żołdak i pijana gawiedź w mieście przysięga, że najpiękniejszą dziewicą Tyru jest Baltis, córka Adonibala.

ŻONA *(z gniewem)*:
To twoja wina, nikt nie zmuszał cię do wychodzenia na ulicę. Ja ci może dawałam zły przykład, ja, która ani razu nie opuściłam domu naszego, od czasu gdy zabrakło niewolników do noszenia lektyki.

BALTIS:
Daj spokój, nie o to idzie. A więc nie żyłam jak inne córki mojego rodu, ale za to będę miała grobnicę, jak żadna z nich, i złożą ofiarę bogom nad moją mogiłą, jaką żaden król się poszczycić nie może.

ŻONA:
O biedne moje dziecię, nawet owcy nie ma w domu na ofiarę.

BALTIS:
Nie będzie Babilończyk bezcześcił mego ciała, nie będzie trup mój rzucony na pastwę sępów i szakali, nie, wiecznie piękna i młoda będę leżała w sklepionym grobie moim. Baal Melkart i Astarte z Sydonu będą bronili dostępu bezbożnym. Jeśli umrę dziś w nocy...

ŻONA:
Jak to?

BALTIS:
Nie przerywaj.

ŻONA *(cicho)*:
A więc?

BALTIS *(mówi z trudem)*:
Jeśli się zbudzisz jutro rano i ja już nie będę żyła, i Tachot będzie w domu... *(Żona chce mówić)*. Cicho. Zrobisz wszystko, co Tachot każe, będziesz jej pomocną, ona zna tajemnicze sztuki, które trupom wieczne życie dają. Rozumiesz?

ŻONA:
A potem?

BALTIS:
Możecie złożyć mnie w piwnicy, Tachot wie wszystko. Przysięgnij, że będziesz jej posłuszną.

ŻONA:
Przysięgam.

BALTIS:
Dobrze, odejdź.

ŻONA:
Zaraz, zbiorę tylko chleb ze stołu.
(*Podchodzi do stołu i zaczyna z niego sprzątać*).

BALTIS:
Czy mi nie wierzysz?

ŻONA:
Owszem, wierzę ci.

BALTIS:
I nie płaczesz, nie rozpaczasz, nie błagasz mnie, żebym zamiar mój zmieniła?

ŻONA:
Nie.

BALTIS:
Nie sądziłam, że przyjmiesz śmierć moją tak obojętnie.

ŻONA:
Obojętnie. Sił nie mam do jęków. Sił nie mam powiedzieć ci: nie... Zdaje mi się, że już umarłam i że śnię martwa to, co się dzieje koło mnie.
(*Siada ciężko na krześle. Baltis podchodzi i klęka przed nią*).

ŻONA *(gładząc ją po twarzy)*:
Baltis, Baltis, po raz ostatni czuję życie twoje pod ręką moją, po raz ostatni całuję słodkie usta twoje. Patrz się na mnie, niech się

nacieszę blaskiem oczu twoich. *(Nagle wybucha płaczem i, obejmując Baltis, pokrywa jej twarz pocałunkami. Szeptem)*: Zostanę, nieprawda, zostanę do ostatniej chwili, lżej ci będzie. Straszną jest samotność przed nocą i śmiercią. Gdy będę z tobą... Jeszcze, jeszcze głos twój usłyszę i bicie twego serca. Zostanę z tobą...

BALTIS *(odpycha ją i wstaje)*:
Dość. Odejdź, bo inaczej... *(Wyciera twarz)*. O, te łzy...
(Żona podnosi się i znowu zaczyna zbierać ze stołu).

BALTIS:
Zostaw mi w kubku trochę wina.

ŻONA *(nalewa i odchodzi. W drzwiach odwraca się nagle)*:
Ale dlaczego dziś?

BALTIS *(tupiąc nogą)*:
Jeszcze tu jesteś.

Żona wychodzi. Baltis zbliża się do stołu, wyciąga z zanadrza małą flaszeczkę, wlewa jej zawartość do wina i nagłym ruchem podnosi kubek. Nim jednak dosięgnął jej ust, Baltis opuszcza z ciężkim westchnieniem rękę i odstawia kubek na stół. Następnie podchodzi do okna i klaszcze w ręce. Gałęzie drzew rozsuwają się i Gerstakon wskakuje do komnaty.

GERSTAKON *(obejmując Baltis)*:
Baltis. *(Całuje ją)*.

BALTIS *(odsuwając go od siebie)*:
Długo czekałeś?

GERSTAKON:
Długo. Czego chciała matka od ciebie?

BALTIS:
Nie wiem.

GERSTAKON:
Jak to, przecież tak żywo mówiłyście z sobą.

BALTIS:
Ale krócej trwa odpowiedź: nie wiem jak powtórzyć ci słowa matki.

GERSTAKON:
Prawda, co to nas obchodzi, Baltis. Jakie ty masz dumne imię.

BALTIS:
Czyż nie jestem panią?

GERSTAKON:
Boginią jesteś. W Sydonie żołnierze, widząc cię na murach, sądziliby, że to opiekunka miasta przyszła zagrzać ich do boju.

BALTIS:
Gdybym była Astarte... *(Z westchnieniem).* Ale ja jestem tylko Baltis.

GERSTAKON:
Tylko Baltis. Czyż to nie dosyć?

BALTIS:
Może jestem zbyteczną tam, na murach?

GERSTAKON:
Przychodź na mury, póki mury jeszcze stoją, niech żołnierze wiedzą, czego bronią. Wszak cała piękność Tyru, wolnego Tyru, jest w tobie. Oczy twoje świecą jak latarnie portu, ramiona twoje są krągłe i białe jak kolumny w świątyni Melkarta, szaty twoje mają barwę i woń naszych kwitnących sadów, łono twoje kołysze się jak morze śpiące u stóp przystani, usta twoje są podobne krwi, tej krwi gorącej, którą przelewamy dla miasta, a włosy twoje — to promienie słońca świecącego nad nami w chwili walki.

BALTIS:
Więc dobrze, że nie obcięłam włosów?

GERSTAKON:
Dobrze, dobrze. Jakżeby można było upleść cięciwę z tego płynnego złota? A musiałbym chyba zabić łucznika, który by łuk z taką cięciwą posiadał, bo teraz te włosy moje.

BALTIS:
Twoje.

GERSTAKON:
Czy wiesz, jak dawno cię kocham, Baltis. Jeszcze wtedy, gdy siostra moja żyła, jeszcze wtedy, gdy przybywałaś w lektyce do naszego domu i niewolnicy kładli purpurowe sukno na schodach, żeby nóżki twoje nie dotykały się zimnych kamieni... Podpatrywałem was, gdyście goniły się ze śmiechem na dachu domu. Czy wtedy już mnie kochałaś?

BALTIS:
Nie wiem, to tak dawno temu.

GERSTAKON:
Powiedz, że o mnie myślałaś, gdy obejmowałaś Amatbal, że umyślnie mówiłaś głośno do niej, żebym mógł słyszeć słowa twoje. Ale musisz mi powtórzyć teraz usta na ustach wszystkie słowa z owego czasu, te szalone, zakochane słowa.

BALTIS:
Ściskasz mi ręce, puść. Nie przypominaj mi ciągle, Gerstakonie, tego, co było, gdy jest jak jest.

GERSTAKON:
Co przez to chcesz powiedzieć?

BALTIS:
Nic, tylko że wtedy nie było Babilończyków pod murami Tyru.

GERSTAKON:
Błogosławieni Babilończycy, błogosławione walące się mury Tyru, gdy mogę trzymać cię w objęciach moich, Baltis. Dawniej myślałem, że trzeba być bogiem lub królem, by całować purpurowe usta twoje, a dziś ja jestem tym królem i bogiem. *(Całuje ją).* Powiedz, że mnie zawsze kochałaś, zawsze.

BALTIS:
Jak długo miasto jeszcze stać może?

GERSTAKON:
Kochasz mnie?

BALTIS *(wyrywając się z jego objęć)*:
Odpowiadaj, jak długo jeszcze miasto stać może?

GERSTAKON *(niepewnie)*:
Dwa tygodnie.

BALTIS:
Nie.

GERSTAKON:
Dwa dni, jeśli jutro szturmu nie będzie.

BALTIS *(na wpół do siebie)*:
A więc dlatego.

GERSTAKON *(nieśmiało)*:
Czy powiesz mi teraz, że mnie kochasz?

BALTIS *(obojętnie)*:
Kocham ciebie.

GERSTAKON:
Nie, zbyt zimno. Tak jak mówiłaś niegdyś słowa te do siostry mojej.

BALTIS:
Żądasz za wiele: gorące, płomieniste słowa, gdy śmierć moja stoi w kącie komnaty i czuję na twarzy jej lodowaty oddech.

GERSTAKON:
O, poczeka ona trochę.

BALTIS:
Umrę dziś jeszcze.

GERSTAKON:
Dziś, czemu dziś? Może jutro szturmu nie będzie, ale gdyby nawet weszli do miasta, to i za tydzień nie dojdą do waszego domu. Każdy dom będzie fortecą, każdy kamień bruku pociskiem, każda ręka maszyną obronną. Po trupach naszych wejdą do Tyru, a martwi będą wałem ochronnym żywych. A może w ostatniej chwili odsiecz przyjdzie, wrogi odciągną, zyskamy warunki...

BALTIS:
Ale ja jednak umrę dziś jeszcze.

GERSTAKON:
Dlaczego?

BALTIS:
Wróżba.

GERSTAKON *(wzruszając ramionami)*:
Nie wierzę we wróżby.

BALTIS:
Co ty wiesz o wróżbach. Co innego głupie sztuki, którymi kapłani lud oszukują, a co innego prawdziwa straszna przepowiednia wtedy, kiedy oczy mgłą zachodzą, a serce bić przestaje. O jak okrutnymi są bogowie!

GERSTAKON:
Nie bluźnij bogom, mogą ciebie usłyszeć.

BALTIS:
O to im przecież idzie. Żona Kalba lubiła przysłuchiwać się jękom ćwiczonych niewolnic, oni tacy sami. Wszystkie cierpienia świata zsyłają na nas, a później patrzą się błyszczącymi oczyma, jak rozpaczamy, jak rwiemy włosy z głowy. Powietrze przez zęby przeciągają z niezmiernej rozkoszy, w dłonie biją z wielkiej uciechy, nadstawiają pilnie ucha, żeby nie stracić jednego łkania, jednej skargi. Jakże się musieli śmiać, gdy po raz pierwszy śmierć zesłali na ziemię.

GERSTAKON *(niespokojnie)*:
Nie mów tyle o nich, mściwi są. Opowiedz lepiej o tej wróżbie.

BALTIS:
Zeszłej nocy nie mogłam zasnąć. Coś się snuło po komnacie i przechodziło koło mojego łoża. Drżałam z trwogi, serce biło mi w ustach i kiedy strach zwierał mi szczęki, myślałam, że krew tryśnie pod zębami. A nad samym uchem głos jakiś szeptał ciągle, bezustannie: Wyjdź przed dom, twarz pierwszego przechodnia przyszłość ci przepowie.

GERSTAKON:
Poszłaś?

BALTIS:
Przed wschodem słońca poszłam. Kiedy stanęłam przed drzwiami domu, półzmrok był jeszcze i wielkie milczenie leżało nad miastem, a w tej ciszy poczułam, że jest wiosna. Zaleciała mnie woń kwiatów naszego ogrodu, mokre gałązki drzew uderzyły mnie po twarzy i naprawdę zapomniałam na chwilę, po co przyszłam, przysięgam, zapomniałam, że Tyr jest oblężony, i że umrę wkrótce, i że się boję śmierci. Nagle skrawek słońca ukazał się nade mną, i w dół ulicy, aż do mnie, zsunął się purpurowy kobierzec. Stałam oślepiona blaskiem i myślałam: Oto Astarte schodzi do mnie, oto rydwan Melkarta zjeżdża przed dom nasz... A wtedy przyszedł on.

GERSTAKON:
Kto?

BALTIS:
Nie wiem, może człowiek.

GERSTAKON:
I co powiedział?

BALTIS:
Spojrzał na mnie, a ja wiedziałam, że najnędzniejszy ciura, najpodlejszy pies w babilońskim obozie nie ma oczu takich i nie jest tak strasznym, jak on. Śmierć wyczytałam z jego oczu i więcej niż śmierć. Czułam, jak pił krew z mego ciała, a on patrzał się tylko na mnie. Bogowie, co za zbrodnię popełnił ten człowiek, by mieć takie spojrzenie. Nawet ja jej odgadnąć nie mogę, ja Baltis, a zdawało mi się, że nie ma zbrodni, o której bym nie marzyła wieczorem na łożu, gdy sen odbiegał od moich powiek.

GERSTAKON:
Nie myśl o nim. Cokolwiek nam jutro przyniesie, dziś jest szczęściem dla nas, i miłością, i gorącymi pocałunkami. Oby noc ta wieki trwała. Chodź, przysięgam ci, że na tym łożu zapomnisz o wróżbach i o śmierci.

BALTIS *(wyrywając się)*:
Czy nie możesz czekać, aż będę martwą?

GERSTAKON *(odstępując na krok, z gniewem)*:
Baltis.

BALTIS *(zarzucając mu ręce na szyję i całując go)*:
Gniewasz się na mnie? Rozmarszcz czoło, widzisz, nie mogę zapomnieć, ale gdybym wiedziała, że to nie Babilończyk, lecz ktoś, który mnie bardzo kocha, położy kres memu życiu... *(Całuje go znowu)*. Czy nie wiesz, że wszystko trzeba zdobyć, że za wszystko trzeba zapłacić, nawet za moje pocałunki?

GERSTAKON:
Rozumiem. Przysięgam ci, Baltis, że cię zabiję, kiedy zechcesz, ale mamy jeszcze dużo czasu przed sobą, kwiecie mój.

BALTIS *(odtrącając go gwałtownie)*:
Tylko z twarzy jesteś podobny do Amatbal, głupcze. Ona by z oczu moich wyczytała, czego żądam, i podała mi truciznę na wargach swoich w pocałunku.

GERSTAKON:
Cóż to znowu?

BALTIS:
Czemu mówiłeś o tym, że mnie zabijesz? Na mój rozkaz czeka... O doprawdy. Cóż to, czy nie mam trucizny pod ręką, albo sztyletu, ciebie mi było potrzeba. Miałeś uderzyć wtedy, gdy nie oczekiwałam śmierci, teraz... Albo później. Mówią, że miłość oszałamia i przytomności pozbawia. Na co ja ciebie tu sprowadziłam, ty głąbie. Czego czekasz jeszcze. Idź, idź na mury, tam się może przydasz na coś, nic tu nie wystoisz, ruszaj. Tyle czasu, tyle życia zmarnowałam z tobą na próżno, dosyć mam... Widzę, że nie rozumiesz znowu. Odejdź, bo i tak nie będę twoją.

GERSTAKON:
O, to zobaczymy jeszcze. Nic nie rozumiem, ale to wiem, że straż na murach opuściłem dla ciebie, i że z wolą lub bez woli będziesz moją. *(Chwyta ją w pół i ciągnie na łoże)*.

BALTIS *(wybuchając śmiechem)*:
Nie znasz się na żartach, mój miły. *(Całuje go)*: Czy możesz wątpić, że cię kocham? Gdybym podniosła głos, przyszedłby mój ojciec, ale ja mówię cicho, moje serce. Puść mnie na chwilę tylko.

GERSTAKON:
Nie uciekniesz?

BALTIS:
Od ciebie? *(Podchodzi do okna).* Czy jesteś tam?

TACHOT *(z dołu)*:
Jestem.

BALTIS:
Dobrze.

GERSTAKON:
Kto tam?

BALTIS:
Co cię obchodzi ta, która czeka na dole, gdy ja jestem przy tobie, co cię obchodzi cześć twoja rycerska, gdy obejmuję szyję twoją, co świat cały, gdy całuję cię w usta?

GERSTAKON:
Jeszcze, jeszcze.

BALTIS:
Nie, czekaj, muszę przedtem matce rodu naszego, wielkiej Astarcie Sydońskiej złożyć ofiarę.

GERSTAKON:
Obetnij włosy.

BALTIS:
Krwi trzeba.

GERSTAKON:
Czy masz choć gołębia?

BALTIS:
Nie. Wyciągnij ramię.

GERSTAKON:
Po co?

BALTIS:
Natnę skórę na twoim ramieniu.

GERSTAKON (*wyciąga ramię, śmiejąc się*):
Dalej, tnij, ofiarniczko, niech krew moja zjedna nam boginię, niech Astarte będzie nam łaskawą tej nocy.

BALTIS (*dotykając sztyletem jego ramienia*):
Czy tu?

GERSTAKON:
Wszystko jedno. Będziesz mi i tak musiała dać jedną z zasłon twoich dla zawiązania rany. Ależ mocniej, tak nigdy krew nie pójdzie. Daj, sam zrobię.
(*Podnosi rękę, ale nagle wyciągnięta dłoń opada bezwładnie, a on sam osuwa się na łoże. Baltis rzuca z obrzydzeniem sztylet na ziemię*).

BALTIS
(*patrząc na niego ze zdziwieniem*): To tak proste. (*Bierze kubek i podnosi go do ust, odrywa go jednak zaraz i gwałtownie wyciera usta. Z gniewem i pogardą*): Głupiec, i tego dla mnie zrobić nie mógł. (*Podchodząc do okna*): Tachot.

TACHOT:
Czego chcesz, gołąbko moja?

BALTIS:
Chcę mówić z tobą.

TACHOT:
Kto tam jest u ciebie?

BALTIS:
Coś, co było człowiekiem.

TACHOT:
Czy mam przyjść na górę?

BALTIS:
Nie, tu byłabyś brzydką plamą, a tak zdaje mi się, że to noc mówi do mnie.

TACHOT:
Ale zimno mi, rosa na trawie.

BALTIS:
Wejdź na schody, kobierzec leży na nich.

TACHOT:
Nie, pójdę do domu.

BALTIS:
Czekaj.

TACHOT:
Czekałam dość długo, kazałaś mi przyjść przed świtem. Myślałam, że cię już zastanę martwą.

BALTIS:
I cieszyłaś się pewno, ty czarownico, że będziesz żyła, gdy ja, młoda i piękna, będę trupem.

TACHOT:
Wszystko mi jedno, czym ty będziesz, ale przyszłam z daleka, zmęczona jestem, sen mnie kłoni. Ja nie daję się oszukiwać i za nos wodzić, jak inni.

BALTIS:
Słyszałaś?

TACHOT:
Mówiliście dość głośno? Przydała się moja trucizna?

BALTIS:
Skąd wiesz?

TACHOT:
Musiałaś go zabić, kiedy cicho siedzi, a takie, jak ty, nie używają ani noża, ani miecza.

BALTIS:
A właśnie, że użyłam sztyletu.

TACHOT:
Także zatruty. Czy krew poszła?

BALTIS:
Nie wiem.

TACHOT:
Zobacz.

BALTIS:
Nie mogę, brzydzę się, i tak... Wolałabym tego trupa nie mieć w komnacie.

TACHOT:
Gdyby krew poszła, miałabyś ofiarę błagalną, a tak co? Tylko człowieka darmo zabiłaś?

BALTIS:
Nie troszcz się o ofiarę nad moim grobem, będę ją miała, nie bój się.

TACHOT:
Prawda, nie moja rzecz, tym bardziej, że odchodzę.

BALTIS:
Zostań, zostań.

TACHOT:
Jeszcze chwilę, dlatego że to ty jesteś, gołąbko moja.

BALTIS:
Przyszłabyś jutro?

TACHOT:
Mogę. Tylko nie wiem, duszko, czy cię znajdę. W zburzonym domu trudno szukać trupów, a jak cię poznam, jeśli zwleką z ciebie twoje piękne suknie i rozbiją ci twarz kamieniami?

BALTIS *(zaciskając suknie na piersiach)*:
Aaa... *(Po chwili, słodko)*: Ale dlaczego spieszysz się, Tachot, za godzinę, dwie, także mamy czas jeszcze.

TACHOT:
Jak kto. Ale moje zaklęcia i okadzania trwają długo, bardzo długo, serce moje. A nie chcę, żeby mnie te zbóje, Babilończycy, tu zastali.

BALTIS:
Czemu?

TACHOT *(chichocząc)*:
Biednemu siekierą w głowę, i koniec, a bogatemu się naprzód wszystkie żyły z ciała wyciąga, aby się o skarbach dowiedzieć.

BALTIS *(z rozpaczą)*:
Oni zdradzą wejście do piwnicy i wszystko będzie stracone.

TACHOT:
Rodzice twoi? Sami będą mieli tyle rozumu i tu nie zostaną, nie bój się.
(Baltis wzdycha).

TACHOT:
Więc jak będzie?

BALTIS:
Jeszcze, jeszcze chwilę.

TACHOT:
Zrobię dla ciebie, czego bym dla nikogo innego nie uczyniła: poczekam aż do wschodu słońca.

BALTIS:
Tak, tak, jeszcze raz chcę zobaczyć wstające słońce.

TACHOT:
Ale pamiętaj; albo przychodzę na górę i zabieram się do roboty, albo odchodzę i nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

BALTIS:
Dobrze, dobrze. Dziękuję ci, Tachot.

TACHOT:
Nie dziękuj, nie dziękuj, już szaro na świecie, wiatr ranny wieje.

BALTIS *(dreszcz przechodzi)*:
Zimno. Słuchaj, Tachot, a jeśli to nie było przepowiednią?

TACHOT:
Co?

BALTIS:
To spotkanie dziś rano. *(Wskazując przez ramię na Gerstakona)*: On mówił, że może tydzień jeszcze... O, bogowie, tydzień życia. Ile to dni, ile nocy, jak to długo... I ja sama dobrowolnie pozbawiłabym się tego szczęścia. Naprawdę, mógł to być zwyczajny człowiek, i tylko mnie twarz jego wydawała się straszną. Może nawet uśmiechnął się do mnie, przechodząc...

TACHOT:
I życzył ci długiego życia i pięknych dzieci. Trzy godziny mówiła o nim, drżała ze strachu na jego wspomnienie, opłakała śmierć swoją, mnie przyjść kazała, wszystko do pogrzebu przygotowała, a teraz od razu nie przepowiednia... E, idę!

BALTIS:
Nie, nie, przecież wiem, że muszę umrzeć teraz. Ja tylko tak, żeby czas przepędzić do wschodu słońca.

TACHOT:
Niedużo już chyba tego czasu. Z góry lepiej widać, czy niebo czerwieni się?

BALTIS:
Nie męcz mnie w godzinie śmierci mojej, milcz. O, gdybym mogła wyciągnąć ręce, położyć je na tarczy słonecznej, siłą ramion moich zatrzymać ją pod ziemią. O, gdybym umiała tajemnicze zaklęcia dość silne, by mgnienie oka, dzielące mnie od wschodu słońca, mogło trwać wieki całe.

TACHOT:
Dziękuję, to bym musiała wieki całe leżeć na tych twardych kamieniach.

BALTIS:
O Melkarcie, nie czciłam cię, nie składałam ci ofiar, ale wybacz mi to, zlituj się nade mną, wstrzymaj twoje rwące się rumaki albo le-

piej jeszcze, zostań w pałacu twoim, zapomnij w objęciach bogini o dniu dzisiejszym.

Pierwsze promienie słońca przedzierają się przez gałęzie drzew, uderzają w twarz Baltis, łamią się tysiącem ogni w jej klejnotach. Dziewczyna z lekkim okrzykiem cofa się od okna, zasłaniając twarz rękoma.

TACHOT:

Czy mam odejść?

BALTIS *(ledwo dosłyszalnie)*:

Nie.

TACHOT:

Czy mam przyjść na górę?

BALTIS *(głośniej, zaciskając pięści)*:

Tak.

(Słychać stuk kija i zbliżające się kroki na schodach).

BALTIS *(wznosząc ramiona do słońca)*:

O Baalu, Królu miast, i ty Astarte, Pani Sydonu, ja, Baltis, córka Adonibala, daję wam, jako ofiarę błagalną, Tyr cały i wszystko to, co ogień strawi w nim, i wszystką krew wylaną dziś, jutro, albo dnia trzeciego. Wyciągnijcie ręce wasze nad moim grobem, odpędźcie od niego nieczystego szakala i sprośnego bezbożnika, żebym mogła przez wieki, zawsze piękna i młoda, śnić w moim sklepionym grobie. O Nieśmiertelni, spuśćcie wielkie cierpienia i trąd, i śmierć hańbiącą na tego, kto by śmiał naruszyć spokój mój. Niech zejdzie bezpotomnie, niech przodkowie jego nie zaznają ciszy w grobach swoich, i niech imię jego będzie zapomniane tu, na ziemi, i tam, skąd nikt nie wraca. *(Podchodzi do stołu, podnosi kubek i całując go mówi)*: Astarte z Sydonu, bądź pozdrowiona, o Gołębiooka.

Pije i nagle osuwa się na kolana, chwilę klęczy, aż wreszcie, zasłaniając twarz rękoma, pada na podłogę. W tej samej chwili stuk kostura ustaje koło drzwi i wstrętna, starcza ręka, czarnymi, zakrzywionymi jak u krogulca palcami, zaczyna odsuwać zasłonę wchodową.

AKT II

Strome, skaliste wybrzeże, przy samym morzu rozpoczyna się łańcuch niewysokich, ale urwistych gór, które zataczają w głębi półkole i kończą się szeregiem raf nadwodnych, tworząc rodzaj olbrzymiego amfiteatru. Zarówno skłony gór jak i dolina sama są pokryte gruzami. Nad morzem leżą olbrzymie ociosane głazy, widocznie resztki murów. Od nich aż do szczytu skał ciągną się prawie nieprzerwanym szeregiem ruiny domów, świątyń, śpichrzów... Gdzieniegdzie stoją jeszcze mury, gdzieniegdzie wystrzela z gruzów wpół rozbita kolumna lub odedrzwia świątyni, ale najczęściej tylko kupa bezładnych kamieni wskazuje miejsce dawnych gmachów.

Ezechiel, wsparty na ramieniu Joaba, wolno i ostrożnie przechodzi między zwaliskami. Mistrz i uczeń milczą, przygnębieni, przejęci widokiem zniszczenia i śmierci. Nagle spod nóg Joaba potoczyła się czaszka ludzka. Młodzieniec zatrzymuje się gwałtownie, patrząc nie bez obrzydzenia na puste oczodoły kości. Ezechiel staje także i, wspierając się oburącz na długim kiju swoim, zaczyna mówić. Głos jego jest drżący i bezdźwięczny, głos bezsilnego starca.

EZECHIEL:

Byłeś, Tyrze,
A gdzież jest człowiek, który powie: Będziesz?
Gdzie sady twoje, różowe na wiosnę,
Gdzie kolumnami zdobione pałace,
Synowie twoi, panowie odmętów,
W purpurę strojne, piękne córki twoje?
Oto przechodzień, co przyszedł z daleka,
Depce sandałem bielejące kości
W złomach marmuru i płacze nad tobą,
o najpiękniejsze z miast, warownio morza.
Raduj się łzami moimi, o Tyrze,
Ostatnią skargą nad tobą. Wszak jutro
Pustynia przyjdzie, zasypie cię piaskiem,
Nadejdzie morze, zakryje cię falą,
I nikt nie będzie, kto by mógł powiedzieć,
Jak ja w tej chwili mówię: Byłeś, Tyrze.

JOAB:

Płacze nad Tyrem! Ty to widzisz, Panie,
I nie grzmisz gniewem wielkim? Twój wybraniec,
Twój prorok wielki, ten, który cię widział

Nad rzeką Chebar, i któremu w usta
Wkładałeś słowa twoje, płacze teraz
Nad opuszczonym grodem bałwochwalców,
Nad miastem wrogów płacze. O przeklęty,
Trzykroć przeklęty Tyrze, zgniły wrzodzie
Na twarzy ziemi, trujące wyziewy
Z twych gruzów wstają, wkradają się w serca,
Łzy budzą w oczach, które łez nie znały.
(Do Ezechiela):
Ja nie pozwalam ci płakać nad Tyrem,
Ciesz się i raduj: oto Pan pokazał
Moc swego słowa w ustach twych, proroku,
Oto proroctwo twe patrzy na ciebie
Z tych pustych oczu, z strzaskanej kolumny.

EZECHIEL:
O, daj mi płakać. Ty, co nie widziałeś
Żywego Tyru, nigdy nie zrozumiesz
Łez moich nad nim, ale daj mi płakać.
Patrz, byłem mężem, tyle lat minęło,
I jestem starcem, schylonym ku ziemi,
Ale pamiętam, ale nie zapomnę.
I dziś przyszedłem tutaj, bo myślałem,
Że znowu ujrzę jak niegdyś przed laty
Białe pałace wśród ciemnej zieleni,
Błyszczące złotem świątynie, wysmukłe
Kolumny gmachów i kipiące życiem
Szerokie drogi, i bogactwo całej
Ubogiej ziemi, że znowu, jak wtedy,
Będzie patrzało się na mnie z ciemności
Dwoje palących, przerażonych oczu.
Lecz to minęło już. Jeszcze powiadasz:
„Raduj się śmierci".

JOAB:
Tak. Co mnie obchodzą
Bogactwa Tyru, zdobyte kramarstwem.
Na śmierć zasłużył przez swe nieprawości
I śmiercią zginął. Sam prorokowałeś
O końcu miasta.

EZECHIEL:
Musiałem, musiałem.
Pan rzekł: „Nie będzie Tyru". Powtórzyły
Nędzne me usta wielkie słowa Pana,
I Tyru nie ma. Nie podniosłem ręki
I nie błagałem Go o zmiłowanie,
Bo sprawiedliwe są wyroki Pana
I niewzruszone. Więcej, gdyby nawet
Tyr istniał jeszcze, a przed moim wzrokiem
Błyszczał pięknością, gdyby, mówię, wtedy
Stanął przede mną świecący ogniami
Cherubin Pański z pytaniem na ustach:
„Czy Tyr ma zginąć?" Rzekłbym: „Niechaj ginie.
Niechaj umilkną dźwięki harf, sławiące
Piękność i chwałę jego, niechaj zgaśnie
To słońce morza, a utonie w fali,
By już nie powstać więcej. Dosyć grzeszył,
Dosyć bezcześcił, zdradzał, oszukiwał,
Dosyć rozpustnie służył swoim Bogom
Ten Tyr nieprawy. Jak dojrzały owoc
Nabrzmiewa sokiem, tak on nabrzmiał grzechem,
Czas zbioru nadszedł"... Tak bym odpowiedział,
Ale ze łzami i z wielkim cierpieniem.
Tak, Tyr był winnym, lecz może winniejszym
Byłem od Tyru, bo gdybym przemówił
Do Tyreńczyków słowami Pańskimi,
To bym ich może wzruszył i przeraził,
Od grzechów odwiódł, i żyliby teraz.

JOAB:
Tego żałujesz? Teraz przemów tutaj,
A prędzej zbudzisz serce w tych kamieniach,
Niż w Tyreńczykach podłych.

EZECHIEL:
W murach Tyru
Też ludzie żyli, i nie wszystko było
Tam nieprawością, grzechem i bezwstydem.

JOAB:
A choćby nawet Tyr był cnoty wzorem,
To każdy obcy wrogiem jest, rozumiesz,

A przez to godzien śmierci. Na tablicach
Jedenastego brak nam przykazania:
Będziesz się cieszył z śmierci twego wroga.

EZECHIEL:
To każdy umie.

JOAB:
Nie wiem, wszak ty płaczesz
Nad końcem Tyru, wszak żałujesz nawet,
Żeś nie mógł głosić mu Pańskiego słowa
I że nie stała między świątyniami
Astarty sprośnej i krwawego Baala
Świątynia Pana naszego, do której
Ty własną ręką przyniósłbyś zapewne
Z jerozolimskich ołtarzy naczynia.
Tu głosić słowo Pańskie! Tylko z nami
Zawarł przymierze Pan, a gdyby niegdyś
Królowie nasi dość nienawidzili
Obce narody, aby się ich bogom
Nie wysługiwać, to by łaska Pana
Była nad nami. Oni nie umieli,
Jak ty nie umiesz, pogardzać obcymi.
Po trzykroć razy niech będą przeklęci,
Słudzy bałwanów, gdyby nie grzeszyli,
Tym, czym Babilon, byłaby Judea.

EZECHIEL:
(zamyślony)
Z Dawidowego byłby pokolenia
Ten, co wypisał na piaskach pustyni
Ku chwale Pana najpiękniejszą z pieśni,
Zburzenie Tyru.

JOAB:
Więc także zazdrościsz
Babilończykom tak, jak ja? O, gdybym
Miał ich potęgę, mógł strącać korony
Z głów krnąbrnych królów, prowadzić do boju
Przednie rycerstwo, zbuntowane miasta
W gruzy zamieniać i czuć w moim sercu,
Że wszystkie ludy są niewolnikami,

A ja ich panem. Silniej nienawidzę
Babilończyków niźli innych obcych,
Bo im zazdroszczę. Nawet Pan wybiera
Na swe narzędzia tych, co są potężni.
Patrz, tu był ołtarz, tu była ofiara,
A kto kapłanem był? Wódz Babilonu.
Upokorzony jesteś?

EZECHIEL:
Nie przed tobą
I nie przed wodzem dzikim barbarzyńców,
Bo on jest mieczem Pańskim, a ja słowem,
I niczym dzieła jego wobec tego
Wielkiego bólu w mej proroczej piersi,
Gdy zrozpaczony muszę wielbić Pana
I ugiąć czoła przed jego wyrokiem.

JOAB:
(drwiąco)
Jeszcze o Tyrze?

EZECHIEL:
(nie zważając na niego)
Miałem niegdyś syna,
I umarł młodo, a przy jego łożu
Wiedziałem, że nie dla mnie były słowa:
„Będziecie liczni, jak gwiazdy na niebie".
Ta myśl jest szczęściem przy bólu tej chwili,
Kiedy zniszczenie twoje przepowiadam,
Jerozolimo, kąpiąca się w słońcu.

JOAB:
Nie przepowiadaj tego, co już było,
I nie mów więcej o słońcu, świecącym
Nad naszym miastem, o Jerozolimo.
Dla niej nie miałeś łez, miałeś przekleństwa.
Tam nie mówiłeś o wiśniowych sadach,
O bałwochwalcach mówiłeś, o zbrodniach,
O zasłużonej karze i twe słowa
Piorunem grzmiały.

EZECHIEL:
To Pan mówił ze mnie,
A dziś ja mówię i czuję w mych ustach
Gorycz proroctwa.

JOEL:
(zjawiając się nagle między nimi)
Szukam was od dawna,
Czas do obozu wracać.

JOAB:
Jeszcze wcześnie.
(Do Ezechiela):
Zostańmy tutaj, chcę pomówić z tobą,

JOEL:
Czy w tajemnicy?

JOAB:
Tak.

JOEL:
Zaraz odejdę.
Tu musiał pałac stać którego z możnych,
Liczne komnaty, widzisz ślady murów
Były w nim pewno. Czy chciałbyś posiadać
Tyle sztuk złota, tyle srebrnych sprzętów,
Tyle niewolnic pięknych, niewolników,
Tyle ziarnami napełnionych spichrzy,
Tyle purpurą zabarwionych sukien...

JOAB:
Ile ty myśli masz złych i występnych.

EZECHIEL:
(surowo)
Joabie.

JOAB:
(niecierpliwie, do Joela)
Dokończ, nie chciałem przerywać.

JOEL:
Nie, już nie skończę.

EZECHIEL:
(do Joela)
Myślałeś zapewne
O tym, co mieszkał tu. Odejdź, Joelu.

JOAB:
Zostań w pobliżu, czekaj, aż skończymy
Rozmowę naszą.

JOEL:
Dobrze, pójdę szukać
Skarbów ukrytych.

JOAB:
Idź, idź, tylko prędzej.
(Joel odchodzi i znika między gruzami).

EZECHIEL:
Joabie, czekam.

JOAB:
Muszę zebrać myśli,
Ten pełzający gad w ludzkiej postaci
Zabrał z ust moich wszystkie wielkie słowa,
Które już były na nich. O, poczekaj,
Niechaj zapomnę o tym, że na świecie
Jest taki Joel. *(Chwila milczenia).* Kiedy Asyryjczyk
Jerozolimę obległ, król Ezechiasz
Do Izajasza posłał sługi swoje
Prosząc proroctwa, tak i ja w tej chwili,
Syn tylu królów i dziedzic korony,
Stoję przed tobą, proroku, i czekam,
Aż słowa twoje rozświetlą mi przyszłość,
Bo oto idę w ciemność i nie mogę
Odnaleźć drogi.

EZECHIEL:
A więc wstrzymaj kroki.

JOAB:
Czekać mam jeszcze, aż się lud nauczy
Obcym językiem wzywać obcych bogów
I padać na twarz przed obliczem króla,
I proch całować pod jego stopami,
I być podlejszym od psa, na to czekać?

EZECHIEL:
A więc dlatego. Teraz cię rozumiem,
Teraz wiem także, dlaczego tak nagle
Stałeś się blady, gniewliwy i niemy...
Czemu kłamałeś przede mną, Joabie?
Czemu nie rzekłeś jeszcze w Babilonie:
„Nie ciągnę z tobą do Jerozolimy,
By na jej gruzach płakać, ale na to,
By nowym trupem zasłać pola nasze
I nowe klęski sprowadzić na naród?"

JOAB:
Nie śmiałem mówić z tobą, bo wiedziałem,
Co mi odpowiesz, a tam w Babilonie
Znalazłbyś wielu, którzy by umieli
Skruszyć mą wolę słowami, a nawet
W mym własnym sercu miałbyś sprzymierzeńca,
Lecz tu, gdy jestem sam, widzę i czuję,
Że już nie zmieni mego przedsięwzięcia,
Cokolwiek powiesz.

EZECHIEL:
Czemu żądasz rady,
Gdy nawet nie chcesz wysłuchać słów moich?

JOAB:
Bo nie po radę przyszedłem do ciebie,
Jeno po pomoc.

EZECHIEL:
(oburzony)
Ja ci mam pomagać?

JOAB:
Czy będziesz ze mną? Widzisz, ja nie umiem

Mówić do ludzi i natchnąć ich męstwem,
Wiarą, zapałem. Gdybyś ty przemówił...
Mów tak, jak wtedy, gdy przez twoje słowa
Serce me biło zemstą, i jak ogień
Gniew w moich piersiach szalał, by za chwilę
We łzach rozpaczy zgasnąć. O, przysięgam,
Że miałbym wielu walecznych żołnierzy,
Gdybyś zwycięstwo mi wyprorokował
Przed ludem w kraju.

EZECHIEL:
Nie mogę bez Pana
Głosić przyszłości.

JOAB:
Spróbuj.

EZECHIEL:
Nie, nie będę
Kłamał ludowi, bo wiem, że obudzę
Gniew Pana.

JOAB:
Dobrze. Niechaj grzmią pioruny,
Niech błyskawice zapalają miasta,
Niech cała ziemia drży, ja się nie boję,
Bo wolę umrzeć niż żyć niewolnikiem,
A nie ma innej kary, oprócz śmierci,
Pan nasz w swym ręku.

EZECHIEL:
Czy ciebie jednego
Śmierć spotka wówczas, kiedy poprowadzisz
Na wrogów lud nasz przeciw woli Boga?
Spojrzyj przed siebie: oto karta z księgi
Pańskiego gniewu. Tak po całym świecie
Ruiny krnąbrnych miast krzyczą przechodniom,
Że Pan jest Panem. Tchnienie Jego zemsty
Ludy i grody zwiewa z twarzy ziemi
I w zapomnienie niesie. Kim ty jesteś,
Że nie upadasz na twarz, drżący z trwogi,
Gdy Pan przemawia w gniewie. Cedr Libanu

Jak wiotka trzcina zgina się do ziemi,
Góry się sypią w proch, usycha morze,
Gdy Pan wyciąga rękę. Co ty znaczysz,
Nędzny robaku, który nawet nie wiesz,
Że nie karami, lecz potęgą swoją
Pan nasz jest straszny.

JOAB:
(*niecierpliwie*)
Skąd wiesz, Ezechielu,
Że Pan nie będzie z nami? Choćbyś nawet
Nadużył jego imienia, to jeszcze
Mógłby przebaczyć, bo swe przebaczenie
Udziela zawsze tym, co są potężni
I głowy wrogów przynoszą w ofierze.

EZECHIEL:
Lecz ty nie będziesz potężnym.

JOAB:
Dlaczego?

EZECHIEL:
Skąd weźmiesz ludzi?

JOAB:
Znajdę w Babilonie,
Znajdę w Judei. Sądzisz, że ja jeden
Myślę o walce? Jest nas wielu, wielu.
Każdy gromadzi broń, skarby i ludzi
I każdy czeka chwili, by uderzyć
Naprzód w Judei, później w Babilonie,
Gdy odbuduję już Jerozolimę
I zawrę sojusz z królami Egiptu.

EZECHIEL:
Marz, śnij o wojnie, licz na pomoc obcych,
Ślepy szaleńcze. Nasz lud w Babilonie
Zbyt kocha skarby swoje, miękkie łoża,
Ażeby walczyć. Nie znajdziesz w Judei
Żołnierzy, żądnych chwały i swobody,
Jeno oraczy, myślących o chlebie.

Wiem, że twa ręka nie nawykła miecza,
Głos twój rozkazów, oczy twoje bitwy,
Że nigdy wodzem nie będziesz.

JOAB:
Proroku,
Czy wiesz, dlaczego dziś stoję przed tobą
W przededniu walki? Twe palące słowa
Nabrały życia i żyć będą czynem.
Przepowiadałeś, że jeszcze wrócimy
Pod wodzą króla do Jerozolimy,
Że zwyciężymy. Czy ta przepowiednia
Była proroctwem prawdziwym, czy tylko
Byłeś pijany słowami, jak winem?

EZECHIEL:
Krzywdzisz mnie, synu, wtedy mówiłem prawdę.

JOAB:
Więc teraz kłamiesz. Czekać mam? Czy później
Mniej miękkie łoża będą, lżejsze złoto,
Bardziej ćwiczeni w rycerskim rzemiośle
Chłopi w Judei? A kto będzie wodzem,
Jeśli nie będę nim ja, syn królewski,
Płonący gniewem i zemstą, a silny
Młodością moją.

EZECHIEL:
Nie jesteś wybrańcem,
Pan mi go wskaże.

JOAB:
A po czym go poznasz,
Jego, co przyjdzie wybawiać i rządzić.

EZECHIEL:
Nie wiem, Joabie.

JOAB:
Ale nie wiesz także,
Czy nim nie jestem ja. Widzisz, ja wierzę,
Z całego serca wierzę, że zwyciężę,

Że z gruzów wzniesie się Jerozolima,
Że odbuduję świątynię, na tronie
Praojca mego Dawida zasiądę,
Że będę królem. Pan dziś mówi ze mnie,
Nie z ciebie, starcze. Nawet Jeremiasza
Nie nawiedzało więcej słowo Pańskie
W ziemi egipskiej, skąd pewność, że ciebie
Pan nie opuścił już?

EZECHIEL:
Nie wiem, Joabie.

JOAB:
O Ezechielu, byłeś dla mnie ojcem,
Mistrzem i druhem, zlituj się nade mną,
Ja strasznie cierpię, duszę się w niewoli.
Umieram w obcym mieście, bez ojczyzny
Nie pragnę życia, a nas... nas jest wielu,
Więcej niż innych.
(Chwila milczenia).

EZECHIEL:
Póki nie otrzymam
Żadnego znaku, że twe przedsięwzięcie
Jest zgubą dla nas, póty słabą radą
Mojej starości i wpływem w narodzie
Wspierać cię będę, chociażby mię za to
Hańbiąca śmierć czekała.

JOAB:
Podnieś rękę
I pobłogosław mi. Stanę przed tobą
W Jerozolimie, gdyż jeszcze tej nocy
Opuszczę obóz i wraz z moim sługą
Pociągnę morzem do Joppen. Mam listy
Do wielu ludzi w tym mieście...

JOEL:
(z daleka)
Ratunku,
Trup jakiś leży w piwnicy.

JOAB:
Szakalem
Powinien Joel być, byłby przemyślnym,
A teraz znalazł padlinę.

EZECHIEL:
Idź, pomóż
Bratu twojemu, i wynieście ciało.

JOAB:
Nie noszę trupów, nie jestem grabarzem.

EZECHIEL:
A jeśli żyje? Zejdź.

JOAB:
Więc niech się stanie.
Hola! gdzie jesteś.

JOEL:
(*z dołu*)
Tutaj
(*Joab schodzi do piwnicy*).
Weź jej głowę.

EZECHIEL:
Co to, niewiasta?

JOAB:
(*z dołu*)
Tak. Ostrożnie, schody
Są bardzo strome.
(*Wynoszą trupa Baltis i kładą go na ziemi*).

JOEL:
Oto jest.

EZECHIEL:
(*podchodząc*)
Umarła?

JOAB:
Dawno umarła, może być, że jeszcze
Przed końcem Tyru.

JOEL:
Wygląda, jak żywa.
Co za klejnoty.

JOAB:
Rzekłbyś, że przed chwilą
Uszło z niej życie.

JOEL:
To egipska sztuka.

EZECHIEL:
Nic nie zmieniona. Taką ją pamiętam,
Taką widziałem wtedy, gdym ze szczytu
Stromej ulicy schodził w dół, a za mną
Słońce wschodziło. Stała u kolumny
W drzwiach domu swego, młoda, strojna, piękna,
Jak sam Tyr piękna. Oczy jej płonęły
Jak dwie pochodnie w komnacie miłości.
To jej wspomnienie przywiodło mnie tutaj,
A gdy mówiłem: Tyr, myślałem o niej,
Bo była grzechem i pięknością Tyru.
Ta nierządnica, choć miasto konało,
I śmierć szła ku niej, jeszcze nie zmieniona
Spełniała swoje bezwstydne rzemiosło,
Jeszcze czekała na swoich kochanków
U progu domu...

JOAB:
Żegnaj, Ezechielu,
Mój sługa czeka.

EZECHIEL:
Jak dziwną jest sztuka,
Która nadaje trupom życie. Synu,
Gdybyś nie dotknął się tych zimnych dłoni
I milczącego serca, to byś pewno
Sądził, że żywa.

JOAB:
Tak, a więc cóż z tego?
Bądź zdrów, czas nagli.

EZECHIEL:
A tak, jak i ona,
Pozory życia nosi na swej twarzy
Nasz martwy naród, a patrząc na niego
O zmartwychwstaniu myślisz, o swobodzie
Zamiast o grobie. Zrodzony w niewoli
Nigdyś nie słyszał bijącego z mocą
Wielkiego serca narodu...

JOAB:
Rozumiem,
Nie chcesz iść ze mną, nie chcesz mi pomagać,
Wykrętny starcze. Dlatego tak prędko
Umiałeś z trupich twarzy czytać przyszłość.
O, nie mów więcej, dość pogardzam tobą,
Słyszysz, pogardzam, ja, co lat piętnaście
Byłem ci sługą i uczniem. Nareszcie
Poznałem ciebie...

EZECHIEL:
A więc idziesz walczyć?

JOAB:
Do ostatniego tchnienia, bo ja wierzę
Teraz nie tobie, lecz temu dawnemu
Ezechielowi, który umarł może
I który głosił nam przyszłe zwycięstwa.

EZECHIEL:
I teraz mówię, że przyjdzie godzina,
Kiedy wstaniemy z martwych, ale zbudzić
Pan tylko może, co nas śmiercią skarał.
Tak, przyjdzie chwila, gdy do nas zawoła
Pan panujący: Wstańcie! I wstaniemy,
Lecz twoje słowa nie zbudzą nikogo.
(Wskazując na Baltis)
Podejdź do trupa, spróbuj twojej sztuki,
Tchnij w niego ducha. Cóż to, niemy stoisz,

Ty, coś chciał naród ożywiać.

JOAB:
Nie mogę
Czekać na wolę Pana, więc bez Niego...
Nie ciągnij teraz do Jerozolimy,
Ja, przyszły król twój mówię, bo dla takich
Jak ty, mój ojcze, nie ma teraz miejsca
Na naszej ziemi.

EZECHIEL:
Nim będę w Judei,
Ty już nie będziesz nigdzie, mój Joabie,
Umrzesz na krzyżu.

JOAB:
Nie, umrę na stosie
Pobitych wrogów w godzinie zwycięstwa.
Mojżesz nie widział obiecanej ziemi
I ja nie będę królem, ale po mnie
Pan przyjdzie. Drżyjcie, ludy, oto wstaje
Król w Izraelu, pan ziemi i słońca.
Niechaj wystawi ołtarze Baalowi,
Niech wejdzie w święte świętych, niech bezcześci
Świątynie nasze, niechaj w krwi dziecięcej
Kąpie swe ciało, lecz niech będzie panem
I niech postawi uzbrojoną nogę
Na głowach wrogów naszych, tak...
(*Stawia nogę na czaszce*).

EZECHIEL:
Nie będę
Ci prorokował, Joabie, bo nie chcę,
By cień słów moich padł na twoją drogę.

JOAB:
Pewno świeciło słońce w twoich słowach,
Gdyś mówił do mnie? Cała ciemność nocy
I ciemność śmierci, i gorycz zwątpienia
Były w twych ustach, ale ja nie wrócę,
Bo tylko dzieci straszy się słowami,
Nie mężów silnych.

EZECHIEL:
Musiałem ostrzegać,
Musiałem radą wstrzymać cię. Gdy czasem
Stado żórawi opadnie na pola
Szukając żeru, wtedy jeden z stada
Stoi samotny i patrzy w błękity,
Stróż wierny innych. Jestem tym żurawiem,
Na straży stoję sam, czekając gromu
I nowych nieszczęść.

JOAB:
A pilnuj ich dobrze,
Tych szukających żeru, niechaj tyją
Na cudzym ziarnie. Co do mnie, nie pragnę
Starości takiej, jak twoja. Bądź zdrowy.

JOEL:
Czy nie zniesiemy trupa do piwnicy?

JOAB:
Zostaw go tutaj, brzydzę się padliną.
Wszystkim umarłym brzydzę się, proroku,
Nawet narodem naszym, gdyby prawdą
Były twe słowa, że i on jest trupem.
A może także przez wstręt do martwego
Już nie uklęknę przed tobą, żądając
Błogosławieństwa.
(Prędkim krokiem zaczyna wchodzić na górę).

JOEL:
(do Ezechiela)
Co mam zrobić z trupem?

EZECHIEL:
(z gniewem)
Zostaw ją tutaj, niechaj po pustyni
Jej grzeszne ciało rozniosą szakale,
Czyż ma na wieki być piękną i młodą?
Niech ją rozedrą na krwawiące strzępy,
Bo grzeszną była, niechaj rozrzucone
Będą jej kości wszędzie, jak kamienie
Jerozolimy rozsypane leżą

Na polach ziemi naszej i na drogach.
O, jakże straszne, nie, jak sprawiedliwe
Są twe wyroki, Panie.

Odwraca głowę i patrzy, pełen bólu, na wierzchołek góry, z którego dopiero co znikła postać Joaba. Joel tymczasem, widząc, że nikt nie zwraca na niego uwagi, podkrada się do Baltis i zaczyna zdzierać z niej cicho, a chciwie kosztowne naramienniki i naszyjniki. Kamień, potrącony jego ręką, upada z głuchym szmerem. Ezechiel budzi się, patrzy zamglonymi oczyma wokoło i mówi z ciężkim westchnieniem.

EZECHIEL:
O, Tyrze, tyś mówił: Jam jest doskonały w piękności.

Fleur-De-Lys

OSOBY:

GILLES DE RAIS
FLEUR-DE-LYS
ODETTE
BISKUP FRANCESCO PRELATI
JAN ROSSIGNOL

Sala w zamku Tiffanges. Z lewej strony sceny siedzi Biskup i czyta uważnie w rozłożonej przed nim na katedrze księdze, na prawo przy niewielkim stoliku Fleur-de-Lys zajęta jest malowaniem. Absolutna cisza. Nagle drzwi w głębi otwierają się i Odette wchodzi ostrożnie do pokoju. Fleur-de-Lys podnosi głowę.

FLEUR-DE-LYS:
Kto tam?

ODETTE:
To ja, Odette.

FLEUR-DE-LYS:
Tutaj wchodzić nie wolno.

ODETTE *(zbliża się do niej i składa ręce błagalnie)*:
O, nie wypędzaj mnie stąd.

FLEUR-DE-LYS:
Pozwalam ci zostać, bo mi się podobasz. Masz włosy jak słońce, lub jak światła świec, kiedy się patrzy na nie przymrużonymi oczyma. Czemu milczysz?

ODETTE:
Boję się.

FLEUR-DE-LYS:
Czego? Przecież jasno w pokoju.

ODETTE *(na wpół z płaczem)*:
Ja się wszędzie boję żyć, ja się wszystkich boję.

FLEUR-DE-LYS *(wzrusza ramionami)*:
To i mnie się boisz?

ODETTE:
Kto ty jesteś?

FLEUR-DE-LYS:
Fleur-de-Lys. Mój ojciec jest panem tego zamku.

ODETTE:
Ale to nie twój ojciec ten, który mnie porwał?

FLEUR-DE-LYS:
Mój ojciec – taki brzydki! Nie, to pewno Jean Rossignol lub Eustache Blanchet. Oni zwykle przywożą dzieci.

ODETTE:
Dzieci, jakie dzieci?

FLEUR-DE-LYS:
Nie wiem, są tu, a później ich nie ma. Podejdź bliżej, pokażę ci swoją książkę.

ODETTE *(podchodzi)*:
Bardzo ładny obrazek. Czy to ty zrobiłaś?

FLEUR-DE-LYS:
Nie, mój ojciec. Ja tylko wymalowałam te złote listki. Nie ruszaj, jeszcze mokre.

ODETTE:
Ogród?

FLEUR-DE-LYS:
Naturalnie. Ogród rozkoszy. Patrz, jakie kwiaty: czerwone, niebieskie, złote. Orszak miłości przechodzi ścieżką.

ODETTE *(śmiejąc się)*:
Nigdy nie widziałam tak zabawnie ubranych dzieci. *(Nagle poważnie)*: A gdzie one są?

FLEUR-DE-LYS *(zdziwiona)*:
Kto?

ODETTE:
Tamte dzieci.

FLEUR-DE-LYS:
Aha! Teraz ich nie ma. Ty tylko jesteś tutaj. Czy to nie dziwne, że ja nigdy z nimi nie rozmawiam?

ODETTE:
Co się z nimi stało?

FLEUR-DE-LYS:
Za dużo się pytasz. We wszystkich bajkach pytać nie wolno i u nas także nie. *(Po chwili)*. Zresztą odeszły. Tak, wszystkie odchodzą. *(Robi nieokreślony ruch ręką)*: Tam. Bo tylko ja tu mogę zostać, ja, Fleur-de-Lys. Ja tu zawsze będę.

ODETTE:
Ale po co nas porwano?

FLEUR-DE-LYS:
Nie wiem. To mnie mało obchodzi.

ODETTE:
Czy ty wiesz, że w całym kraju dzieci giną i nie wracają nigdy? Co wy z nimi robicie? Co mnie tu czeka, ty, ty... czarownico!

FLEUR-DE-LYS:
Czemu krzyczysz? Przecież ci mówiłam, że dzieci odchodzą, i ty odejdziesz.

ODETTE *(chwytając ją za rękę, szeptem)*:
Zatrzymaj mnie, zatrzymaj mnie.

FLEUR-DE-LYS:
Gdybym mogła...

ODETTE:
Ale na co to wszystko?

FLEUR-DE-LYS:
Nie wiem. Tak jest.

ODETTE:
Dokąd dzieci idą? Czy umierają?

FLEUR-DE-LYS:
Może. Nudzisz mnie, mów o czym innym, ja się dawniej także pytałam, ale są rzeczy, których żaden człowiek wiedzieć nie może.

ODETTE:
To wszystko dziwne, myślałam... *(wskazując na biskupa)*. Czy on żywy?

FLEUR-DE-LYS:
Tak, czyta.

ODETTE:
Kto to?

FLEUR-DE-LYS:
Biskup, nazywa się Franciscus.

ODETTE:
Czy go się mogę o coś zapytać?

FLEUR-DE-LYS:
Rzadko mówi, nie odpowie ci.

ODETTE *(przyglądając się biskupowi)*:
Bardzo piękny, podobny do kamiennych świętych na katedrze w Nantes.

FLEUR-DE-LYS:
I my mamy kamiennych ludzi w jednej z sal zamku, ale są brzydcy. Wyglądają jak piasek, którym Jean Rossignol posypuje zimą schody tarasu. Wolę ludzi żywych, lub malowanych. Czy chcesz, żebym ci jeszcze pokazała obrazki?

ODETTE:
Tak.

FLEUR-DE-LYS *(wspina się na palcach i zdejmuje księgę z półki)*:
Czekaj, tę ci pokażę. *(Spogląda ostrożnie na biskupa)*. Nie uważa. Mnie właściwie tej księgi ruszać nie wolno, ale obejrzymy ją razem.

(Przerzucając kartki książki, na wpół pytająco): Ludzie ze skrzydłami?

ODETTE:
Anioły.

FLEUR-DE-LYS:
Niech im tak będzie. Chciałabyś umieć fruwać?

ODETTE *(wzruszając ramionami)*:
Cóż znowu!

FLEUR-DE-LYS:
Patrz, jak chodzi po wodzie bosymi nogami... Ładnie, prawda?

ODETTE:
Pan Jezus?

FLEUR-DE-LYS:
Skąd wiesz, jak się ten czarownik nazywa? Czy go znasz? Chciałabym się nauczyć jego sztuki.

ODETTE *(przerażona)*:
Co ty mówisz?! *(Słychać głosy za sceną).* Ukryj mnie, na miłość Boską, zlituj się nade mną, ja się tak boję.

FLEUR-DE-LYS *(pospiesznie chowając Ewangelię)*:
Nie, idź tam, skąd przyszłaś, bo jak cię ojciec tu zastanie... *(Bierze ją za rękę i ciągnie w głąb sceny, za plecami biskupa puszcza ją jednak, kładzie palec na ustach i ukrywa Odettę za draperią ozdabiającą ścianę. Następnie otwiera i zamyka z hałasem drzwi, podbiega do stolika i zaczyna malować. Po chwili przez drzwi z prawej strony wchodzi Gilles).*

GILLES:
Co, Franciscus i Fleur-de-Lys razem. Czy rozmawiałaś z biskupem, córko moja?

FLEUR-DE-LYS:
Nie gadałam z nim wcale, malowałam.

GILLES:
Bardzo pięknie. *(Do biskupa)*: Czy to dziś dzień milczenia?

BISKUP:
Szkoda, że nie może być także dniem niesłyszenia.

GILLES:
To do nas przymówka, mów więc ciszej, Fleur-de-Lys, albo raczej odejdźmy stąd, żeby temu świątobliwemu mężowi nie przeszkadzać w jego rozmyślaniach, bo, jak widzę, od rana wlepia oczy w tę samą kartę księgi, więc go o czytanie posądzić nie można. *(Odchodzi, śmiejąc się, w głąb sceny i siada na krześle blisko miejsca, w którym ukryta jest Odette. Fleur-de-Lys idzie za nim i opiera się o jego ramię).*

FLEUR-DE-LYS:
Nie śmiej się.

GILLES:
A to czemu?

FLEUR-DE-LYS:
Taki brzydki jesteś, kiedy się śmiejesz, zęby ci widać, jak psom podwórzowym.

GILLES:
Więc mam płakać!?

FLEUR-DE-LYS *(przyglądając mu się)*:
Nie, nie płacz, chociaż to ładniej płakać niż śmiać się. *(Wskazując na krzesło).* Chciałabym, żeby tu, na tym krześle siedziała złotowłosa dziewczynka w czarnej sukni i żeby łzy spływały po jej twarzy wolno, wolno... *(szukając porównania).* Jak czasem deszcz latem po grubych szybach w mojej komnacie.

GILLES:
Wymaluję ci taką dziewczynkę.

FLEUR-DE-LYS:
Przecież nie wiesz jak wygląda.

GILLES:
No to ciebie wymaluję. Usiądź na krześle.

FLEUR-DE-LYS:
Nie, ja nigdy nie płaczę. Zresztą nie mam złotych włosów, gdybym je rozpuściła, nie byłoby ich znać na sukni mojej.

GILLES:
Więc co mi każesz zrobić?

FLEUR-DE-LYS:
Ale ja nic nie chcę od ciebie. Mogę zamknąć oczy, to ją zobaczę.

GILLES:
Nie zamykaj oczu, Fleur-de-Lys, korzystaj ze światła, słońce niezadługo zajdzie.

FLEUR-DE-LYS:
Tak, już jest w lesie, czepia się gałęzi drzew, żeby choć chwilkę jeszcze pozostać w górze. Boi się zejść.

GILLES:
Dlaczego?

FLEUR-DE-LYS:
Może nie wie, dokąd idzie.

GILLES:
Ech! przecież słońce co dzień zachodzi.

FLEUR-DE-LYS:
Zawsze to samo słońce? Skąd wiesz?
(Odette zaciekawiona rozmową rozsunęła draperię i zbliżyła się do krzesła Gillesa. Ten ogląda się niespodzianie).

GILLES:
Jak się tu dostałaś?

FLEUR-DE-LYS *(gniewnie)*:
Czemu przyszła! Tak pięknie rozmawialiśmy ze sobą.

GILLES:
To nie do zniesienia. *(Klaszcze w ręce, wchodzi Jan Rossignol).* Skąd się ta mała wzięła tutaj? Dlaczego drzwi nie zamykasz?

JAN ROSSIGNOL:
Zatrzask się zerwał.

GILLES:
Ty sam się gdzieś z szubienicy zerwałeś. Wyprowadź ją.

ODETTE:
Nie, nie. *(Obejmując Fleur-de-Lys).* Obroń mnie przed nimi.

FLEUR-DE-LYS *(do Gillesa)*:
Czy ona musi odejść?

GILLES:
Tak.

ODETTE:
Ale nie zaraz, zostawcie mnie choć chwilę jeszcze, ja się tak boję. *(Wyrywa się z rąk Jana Rossignola i pada na podłogę).* Litości, zmiłowania!

FLEUR-DE-LYS:
Niech ona zostanie? Ja, ja... mówiłam z nią przedtem.

GILLES *(do biskupa)*:
Czy zatrzymać ją – jako towarzyszkę Fleur-de-Lys?

BISKUP *(podchodzi do Odette)*:
Wstań. *(Odette wstaje, do Rossignola)*:
Wyprowadź ją.

FLEUR-DE-LYS *(tupiąc nogą)*:
Nie masz tu nic do powiedzenia, to mój ojciec jest panem zamku, a nie ty.

BISKUP:
Wyjdziesz stąd i będziesz czekała, aż cię zawołają.

FLEUR-DE-LYS:
Nie pójdę bez tamtej dziewczynki.

BISKUP:
Muszę z tobą pomówić, Gilles, poważnie, nic tu po niej.

GILLES:
Proszę cię, Fleur-de-Lys, odejdź.

FLEUR-DE-LYS:
A ona wróci?

BISKUP:
Zobaczysz ją jeszcze.

FLEUR-DE-LYS:
No to dobrze. *(Wychodzi).*

BISKUP:
Odeszła... nareszcie!

GILLES *(kładąc rękę na jego ramieniu)*:
Chciałeś mówić ze mną. Czekam.

BISKUP *(usuwając się gwałtownie)*:
Nie dotykaj się mnie... Jesteś wielkim zbrodniarzem, Gilles.

GILLES:
Zdaje mi się, że już dawno rozstrzygnęliśmy sprawę mego grzechu, nie raz i nie dwa udzielałeś mi rozgrzeszenia.

BISKUP:
Ale to się nie powtórzy.

GILLES:
Znowu. Lepiej powiedz otwarcie, czego chcesz ode mnie.

BISKUP:
Córka twoja dziś jeszcze musi opuścić Tiffanges.

GILLES *(ironicznie)*:
Tylko tyle! I jakim to sposobem myślisz zmusić mnie i ją do tego.

BISKUP:
O ty, ślepy głupcze! Czym są wszystkie twoje zbrodnie w porównaniu ze zbrodnią, którą spełniłeś na swojej córce. Czy ty wiesz, co znaczy grzech przeciwko Duchowi Świętemu, z którego Kościół rozgrzeszyć nie może? To ty ten grzech popełniłeś. Zabiłeś duszę jej, zniszczy-

łeś przymierze chrztu, wiążąc ją z Kościołem Pańskim, oddałeś ją w szpony diabłu...

GILLES:
Ach, więc to jest owoc dzisiejszych rannych medytacji.

BISKUP:
Nie, nie... Słyszałem, jak te dzieci rozmawiały ze sobą. Co ona mówiła! Myślałem, że spadnie piorun niebieski i spali nie tylko ciała, ale nawet i dusze, które podobnych słów słuchały, myślałem, że wicher apokalipsy rozniesie w proch ściany domu, w którym podobne słowa wypowiedziane zostały.

GILLES:
Nareszcie! Co ona powiedziała?

BISKUP:
Nie śmiem powtórzyć.

GILLES:
Mniejsza o to, od niej się dowiem. *(Chwila milczenia).*

BISKUP *(zdziwiony)*:
Takiś spokojny! Czy mi nie wierzysz?

GILLES:
Owszem, wierzę ci... Aż zachłysnąłem się z radości, tak ci wierzę... Chociaż nie... Jestem u szczytu swoich marzeń i nie cieszę się wcale. Przyszło zbyt niespodzianie może...

BISKUP:
Nie rozumiem...

GILLES:
Czy wiesz, dlaczego wychowałem Fleur-de-Lys w nieświadomości złego i dobrego?

BISKUP:
Nie.

GILLES:
Pewnie! Ja sam dopiero teraz wiem, na co czekałem, a jednak, ja-

kie to proste. *(Szeptem).* Przecież on musiał wziąć w posiadanie jej duszę, bo dusza jej była pusta, nic nie broniło mu dostępu... *(Urywa).* Dziś po raz pierwszy przemówił przez jej usta.

BISKUP:
Więc co chcesz zrobić?

GILLES:
Czekać naturalnie.

BISKUP:
I taką zbrodnię mógłbyś popełnić świadomie a z rozmysłem. *(Gwałtownie).* Nie zbliżaj się do mnie, milcz, oddech twój truje. Jedno dotknięcie twej ręki jest potępieniem, przeklęty. Wyjadę stąd dziś jeszcze i córkę twoją zabiorę ze sobą...

GILLES:
Rozumiem, głową moją kupisz sobie przebaczenie i będziesz opiekunem najmożniejszej pani królestwa.

BISKUP:
Niech jeden z twoich ludzi zawiezie ją do klasztoru, jeśli mnie nie dowierzasz.

GILLES:
Co cię moja córka obchodzi! *(Po chwili, marszcząc brwi).* Wiem, że nie możesz spojrzeć na kobietę, żeby jej nie pożądać, ale Fleur-de-Lys ma lat osiem i jest moją córką. Nie sądziłem, że patrzeć będziesz tak nisko i tak wysoko zarazem.

BISKUP:
Gdyby tak było, starałbym się właśnie o zatrzymanie jej w zamku.

GILLES:
Nie śmiałbyś nigdy... Usuwasz sobie pokusę z drogi, nic więcej. Znam cię. Zawsze jej unikałeś. *(Uśmiechając się).* Jakiś ty zabawny, Francesco, umartwiasz swoje ciało przez całe życie, a tymczasem dusza twoja umiera z pożądania i grzeszy, grzeszy, grzeszy, jakby nigdy ciało grzeszyć nie umiało.

BISKUP:

Tak, natrząsaj się z moich słabostek, masz prawo po temu, sam jesteś czysty i bez skazy, baranek niewinny, naczynie pełne cnót! Ach, ty najpodlejszy z podłych! Po raz pierwszy widzę całą ohydę twego serca, bo ja dawniej, śmiej się z mojej głupoty, Gilles, wierzyłem, że ty przynajmniej kochasz swoją córkę.

GILLES:

Bo ja ją naprawdę kocham... I nic jej się nie stanie, nic! Będę czuwał nad nią i strzegł ją... A później odpokutuję i ona także.

BISKUP:

Kiedy?

GILLES:

Gdy zgłębię szatański początek życia i śmierci, poznam duszę świata i dojdę do potęgi, o jakiej nikt przede mną nawet marzyć nie śmiał. Pomyśl, życie każdego człowieka będzie w naszym ręku, i więcej jeszcze... Tu, z naszego zamku, kierować będziemy losami państw i królów.

BISKUP:

A jeśli ona umrze przedtem?

GILLES:

Niemożliwe!

BISKUP:

Dlaczego?

GILLES:

Nie męcz mnie. *(Po chwili).* Niedługo już potrwa. On zjawi się, chyba, że go wcale nie ma, a w takim razie... On musi mnie wysłuchać i zostać moim sługą. Czy nie złożyłem mu w ofierze najdroższego swego skarbu, duszy mego dziecka?

BISKUP:

Od jak dawna starasz się zjednać go sobie daremnie?

GILLES:

Ale czym? Krwią tylko. Gdybym był panem świata i ojcem złego, żądałbym także czego innego niż takie mizerne, codzienne zbrodnie, godne jedynie...

BISKUP:

Nas... Prawda Gilles?

GILLES:

Nie rozumiem. Jak śmiesz myśleć, że zabijam te dzieci ku własnej, ohydnej przyjemności? Zabraniam ci podobnych podejrzeń, uwłaczają one mojej czci rycerskiej.

BISKUP:

Być może. Dlaczego jednak stoisz tak długo przy zamordowanych, dlaczego przysłuchujesz się jękom i krzykom, dlaczego zabijasz tak powoli i okrutnie, a praktyki twoje, na które ja patrzeć nawet nie mogę...

GILLES:

Musiałem zejść aż do samego dna nędzy ludzkiej, jak On, musiałem stworzyć piekło, żeby go zrozumieć i objąć myślą.

BISKUP:

A te mgłą zaszłe oczy, te trzęsące się ręce, te dreszcze, wstrząsające twoim ciałem... To także z rozkoszy?

GILLES *(z wściekłością)*:

Milcz.

BISKUP:

Dobrze... Tamto mnie nie obchodzi... Morduj, jeśli chcesz, nie odpowiadam za ciała, tylko za dusze. Kiedy wyjeżdża Fleur-de-Lys?

GILLES:

Po co? Przecież teraz nie wiedziałbyś nawet, w jaki sposób winę podobną odpokutować.

BISKUP:

Nie wezmę też całej odpowiedzialności na swoje barki, byłaby to wprost ignorantia affectata, gdybym nie zasięgnął światłej rady biskupa z Nantes.

GILLES:
Biskup z Nantes jest moim najzaciętszym wrogiem, a ty mu chcesz zdradzić wszystko.

BISKUP:
Pod tajemnicą spowiedzi. Każesz mi osiodłać konia, za godzinę...

GILLES:
Nie pojedziesz do Nantes. Biskup wyrzekłby się nie tylko swej diecezji, ale nawet zbawienia duszy własnej, byle mnie ujrzeć na rusztowaniu.

BISKUP:
Jesteś gołębiego serca, Gilles, chcesz oszczędzić swemu wrogowi walki między dwoma grzechami głównymi, trapiącymi jego duszę: dumą i zawiścią. Bo przecież nie może zależeć ci poważnie na tym krótkim przeciągu czasu, dzielącym cię jeszcze od chwili, gdy Biskup z Nantes i bez mojej pomocy dowie się o wszystkim. Kto wie, może to on nas właśnie będzie spowiadał.

GILLES:
Kiedy?

BISKUP:
Przed rusztowaniem. To jest, o ile nie odmówią nam przedśmiertnej spowiedzi.

GILLES:
Nie mają prawa...

BISKUP:
Za mniej straszne zbrodnie jej odmawiano. Gdybym był w gronie twoich sędziów, pierwszy głosowałbym za ekskomuniką.

GILLES *(zdziwiony)*:
Przecież udzielałeś mi rozgrzeszenia... Sameś mówił, że grzeszyć można tylko przeciw miłości, a ponieważ zabijam te dzieci bez nienawiści.

BISKUP *(przerywając)*:
Ale wówczas nie znałem jeszcze twego najcięższego grzechu.

GILLES:
Dosyć, oni mnie nie wyklną.

BISKUP:
Jesteś prawdziwym prorokiem. Szkoda jedynie, że słowa twoje nie są w stanie zmienić przyszłości. Będzie, jak będzie. A co zrobisz z Fleur-de-Lys?

GILLES:
Zostaw mi ją, zostaw mi ją! Oto jedyny człowiek, który dotyka rąk moich i nie drży, jedyny, który z uśmiechem kładzie głowę na piersi moje.

BISKUP:
Nie powinna dotykać rąk twoich, krwią niewinną zbroczonych, nie powinna słuchać uderzeń twego grzesznego serca.
(Wchodzi Jan Rossignol).

JAN ROSSIGNOL:
Wyjeżdżamy.

GILLES:
Precz, nie mam czasu teraz.

JAN ROSSIGNOL:
Nie możemy jechać bez pieniędzy.

GILLES:
To nie jedźcie wcale.

JAN ROSSIGNOL:
Tak, a co jutro będzie, gdy dzieci zabraknie? Piekło na ziemi. Ale ja jutro nie pojadę, bo to dzień nieszczęśliwy, dla wszystkich książąt Francji nie narażę swej głowy lekkomyślnie...
(Biskup rzuca mu kieskę, Jan Rossignol chwyta ją w powietrzu, kłania się i wychodzi).

GILLES:
Widzisz, kim jestem otoczony. Był czas, że bym podobnym ścierwem nie zanieczyścił swojej szubienicy zamkowej.

BISKUP:
Nie odpowiada się za sługi swoje.

GILLES *(z goryczą)*:
Sługi! O, więcej:
wspólnicy, towarzysze, przyjaciele... Tak, ja, Gilles de Laval-Montmorency, pan na Rais, par i marszałek Francji, dziś równy jestem Janowi Rossignol i nie śmiem go ukarać za zuchwałe słowo.

BISKUP:
Wybrałeś sobie życie dobrowolnie... A Fleur-de-Lys?

GILLES:
Nie mogę pozostać samotny tutaj, w tym gnieździe łotrów i morderców.

BISKUP:
Masz mnie.

GILLES:
O, Francesco, lepiej byłoby dla nas obu, gdybyśmy się nigdy nie byli spotkali.

BISKUP:
I ty mi to mówisz, ty! Zgubiony jestem na tym i na tamtym świecie przez ciebie.

GILLES:
Nienawidzisz mnie?

BISKUP:
Kocham cię, jak duszę własną, niestety!

GILLES:
Ale mścisz się...

BISKUP *(zmieszany)*:
Ja!

GILLES:
Tak, ty! Cieszysz się moją męką, chcesz mi wydrzeć Fleur-de-Lys, żeby mnie skrzywdzić... Zbrodnia, zbrodnia! Ciebie zbrodnie cudze nie

obchodzą, ani twoje własne... I najgorsze, że mi ją w końcu zabierzesz, bo ja nie umiem tak długo i tak bardzo chcieć, jak ty... Gdybym przynajmniej przedtem zobaczył go we własnej postaci.

BISKUP *(śmiejąc się)*:

Zobaczysz go, zobaczysz, przez całą wieczność będziesz go widział w ogniu piekielnym i ona z tobą, i ja...

GILLES:

A więc zajmij się jej wychowaniem, powierzam ci ją.

BISKUP:

Powiedziałem już raz, że nie sprostam takiemu zadaniu.

GILLES:

Nie dam jej wyjechać... Umęczony jestem życiem i zwątpieniem, zapominam przy niej! Ach, być dzieckiem tak jak ona, móc zacząć na nowo, zrzucić z siebie te wszystkie plamy i grzechy, wypocząć... Zostaw mnie, Francesco, nie odbieraj mi tę trochę spokoju, które mi zostało, i tę okruszynę szczęścia. Po za nią wszystko jest tylko zbrodnią i goryczą...

BISKUP:

Dobrze... A czy pewny jesteś bezkarności? Podejrzewają cię o niejedno... Biskup z Nantes i inni... Brakuje niewiele, żeby podejrzenia stały się pewnością. A co wtedy? Uciekniesz z Francji? Będziesz bronił się w swoich zamkach? Jeśli ją znajdą tutaj, zginie razem z tobą, rozumiesz?

GILLES:

Nie obawiaj się o nas... Choćby wszyscy wiedzieli o moich zbrodniach, nikt nie wystąpi przeciwko mnie, ani książę, ani sąsiedzi, bo to ich mało obchodzi, a Biskup jest bezsilny i chłopi zębami murów nie ugryzą.

BISKUP:

Prawda! Niemało uszło ci dotychczas bezkarnie, ale i ty upaść możesz, gdy tak postanowi Bóg. *(Chwila milczenia).*

GILLES *(zduszonym głosem)*:

O ile ona nie zechce mnie opuścić, to ja... ja jej przymuszać nie mogę.

BISKUP:
Pomyślałem i o tym. Ona nie zostanie z tobą, jeśli się dowie, jak spędzasz godziny wieczorne... Zabijesz tę małą, jakże jej tam, zapomniałem imienia – na oczach twej córki.

GILLES *(stanowczo)*:
Nigdy!

BISKUP:
Hm! *(Namyśla się)*. A gdyby pokazać jej trupa i powiedzieć, że ty ją zabiłeś. Powinno wystarczyć. W tym był palec Boży, że Fleur-de-Lys polubiła tę obcą dziewczynę.

GILLES:
Ona mnie nie zrozumie i znienawidzi.

BISKUP:
Tym lepiej.

GILLES:
Ale jedno jej nieostrożne słowo może nas zgubić.

BISKUP:
Ha, trudno! I tak niewiele mamy do stracenia. Zresztą nakażemy jej milczenie.

GILLES *(nieśmiało)*:
A jeśli... jeśli ona zrozumie i przebaczy, jeśli znajdzie w swoim sercu dosyć litości, by zostać ze mną?

BISKUP:
W takim razie przekleństwo Boże ciąży na tobie i na rodzie twoim. *(Oddychając głęboko)*. Ale tak nie będzie. Idź i zawołaj mi Fleur-de-Lys.

GILLES *(przechodząc środkiem sceny woła)*:
Fleur-de-Lys! *(Wychodzi drzwiami w głębi)*.

FLEUR-DE-LYS *(wchodząc)*:
Ojciec mnie wołał?

BISKUP:
Zbliż się i posłuchaj mnie uważnie. Dziś jeszcze opuścisz Tiffanges.

FLEUR-DE-LYS:
Czy nie stanie się wtedy nic strasznego?

BISKUP:
A to w jaki sposób?

FLEUR-DE-LYS:
Nie wiem.

BISKUP:
Dziwnie się pytasz. Nie rozumiem cię wcale.

FLEUR-DE-LYS:
Widzisz, kiedy wieczorem idę po schodach, to patrzę się zawsze wprost na światło, a nigdy w ciemne kąty, bo bym mogła zobaczyć coś strasznego. Czy się nie stanie nic, gdy ja stąd wyjadę?

BISKUP:
Nie, bądź spokojna.

FLEUR-DE-LYS:
To dobrze. Kiedy mam jechać?

BISKUP:
Dziś jeszcze. Jan Rossigniol pojedzie z tobą.

FLEUR-DE-LYS *(zdziwiona)*:
Nie ojciec?

BISKUP:
Gilles musi zostać w Tiffanges.

FLEUR-DE-LYS:
To szkoda! Biedny ojciec! Kiedy wrócę?

BISKUP:
Nigdy. I ojca swego więcej nie zobaczysz.

FLEUR-DE-LYS:
Taak! A kto będzie ze mną malował?

BISKUP:
Znajdzie się taki.

FLEUR-DE-LYS:
I tak pięknie jak ojciec?

BISKUP:
Jeszcze piękniej...

FLEUR-DE-LYS:
Aaa... bywają tacy, myślałam...

BISKUP *(spostrzegając Gillesa)*:
Było niepotrzebne, ona i tak zgadza się na wyjazd.

GILLES:
Czy ty mnie nie kochasz, Fleur-de-Lys?

FLEUR-DE-LYS:
Owszem, ojcze, kocham cię, tylko...

GILLES:
Więc czemu mnie chcesz opuścić? czy nie byłaś szczęśliwa w Tiffanges? Czy nie spełniałem każdego twego życzenia, czy nie byłem dobry dla ciebie? Pamiętasz, jakie róże kwitną wiosną w naszym ogrodzie, pamiętasz, jak często chodziliśmy razem o zmroku po wąskich ścieżynkach między kwiatami? Przysięgam, że nigdzie nie będziesz mogła się śmiać tak swobodnie, jak tu, przysięgam, że tylko ja jeden potrafię znaleźć słowa...

BISKUP *(przerywając)*:
Co robisz! Mógłbyś oszczędzić swemu dziecku strasznych wspomnień.

GILLES:
Niech mnie przeklina, ale niech mnie nie odrzuca z pogardą, jak zbutwiały łachman.

FLEUR-DE-LYS *(z westchnieniem)*:
Jeśli chcesz koniecznie, to mogę zostać, albo wrócić może. Tak, najlepiej zrobię, gdy pojadę i wrócę.

BISKUP:
Powrót twój jest niemożliwy.

GILLES:
Więc zostajesz ?

FLEUR-DE-LYS *(wahając się)*:
Być może... Namyślę się do jutra.

BISKUP:
Gdzie położyłeś trupa, Gilles?

GILLES:
W zwykłym miejscu.

BISKUP *(do Fleur-de-Lys)*:
Chciałem ci jeszcze coś pokazać. Idź i otwórz te drzwi.
Wskazuje na znajdujące się w głębi bogato rzeźbione drzwi, robiące wrażenie zamkniętego obrazu ołtarzowego. Fleur-de-Lys wchodzi na schodki i otwiera drzwiczki. Widać pokryte czerwonym aksamitem łoże, na którym leży Odette martwa. Ściany niszy są również obite czerwono i tegoż koloru jest zasłona oddzielająca ścianę od jakiejś w głębi znajdującej się komnaty.

FLEUR-DE-LYS:
Odette! Zupełnie zapomniałam o niej! Śpi!

BISKUP:
Nie, umarła.

FLEUR-DE-LYS:
To znaczy?

BISKUP:
Dusza z niej uleciała, dusza, która sprawiała, że mogła ruszać się, myśleć, mówić, jednym słowem, żyć. Pozostało z niej tylko ciało, martwe i nieruchome.

FLEUR-DE-LYS:
A co się dalej stanie?

BISKUP:
Z duszą?

FLEUR-DE-LYS:
Nie, z tym, co widzę.

BISKUP:
Ciało zakopią w ziemię i robaki je stoczą.

FLEUR-DE-LYS:
Czy tak być musi?

BISKUP:
Tak.

FLEUR-DE-LYS:
A gdyby ją zostawić tutaj?

BISKUP:
Niemożliwe! Ciało odpadnie od kości, wydawać będzie woń obrzydliwą.

FLEUR-DE-LYS:
Szkoda! Chciałabym się patrzeć na nią. Kiedy mówiłam o jasnowłosej dziewczynce, to właściwie myślałam o niej. Czy każdy człowiek musi umrzeć?

BISKUP:
Tak.

FLEUR-DE-LYS:
I ja także?

GILLES:
Ale jeszcze nie tak prędko.

BISKUP:
I ona miała jeszcze długie lata przed sobą. To wina twego ojca, że to dziecko nie żyje. Gilles zabił ją, Fleur-de-Lys.

FLEUR-DE-LYS:
Zabił ją?

BISKUP:
Można zmusić duszę do opuszczenia ciała, wtedy człowiek umiera nagle. To się nazywa zabić.

FLEUR-DE-LYS:
Jak się to robi?

BISKUP *(niecierpliwie)*:
Wszystko jedno.

FLEUR-DE-LYS *(do Gillesa)*:
Dlaczego to zrobiłeś? *(widząc, że Gilles milczy, z gniewem)*:
Dlaczego to zrobiłeś?

GILLES *(pada przed nią na kolana i pokrywa jej ręce pocałunkami)*:
Nie pytaj o to, córko moja, słońce moje. Nic ci odpowiedzieć nie mogę, ale wierz mi, nie jestem o tyle winnym, żebym nie śmiał dotknąć twej ręki. Niech śmierć tej obcej dziewczyny nie stanie między mną a tobą. Co cię ona obchodzi? Co cię w ogóle moje czyny obchodzą? Zapominałem o nich przy tobie... Słowa moje, zwrócone do ciebie, nie były mniej słodkie i miłości pełne przez to że... zabijałem.

FLEUR-DE-LYS *(wyrywając mu ręce i krzyżując je na piersiach)*:
Ależ ja tylko chciałam wiedzieć.

GILLES:
Nie opuszczaj mnie! Gdybyś wiedziała, jak cierpię, miałabyś więcej litości nade mną. Tak, jestem wielkim zbrodniarzem, ale czyż nie cierpię? Jesteś moim jedynym szczęściem na ziemi, przy tobie jednej mogę zapomnieć. Wolałbym umrzeć sto razy niż żyć, jak żyję. Zostań ze mną, nie odchodź.

FLEUR-DE-LYS:
Nie mów tyle, chcę myśleć. Gdybym wiedziała, czego wy chcecie ode mnie, ty i on... *(Urywa i stoi chwilę zamyślona. Nagle twarz jej się rozjaśnia, schodzi prędko ze wzniesienia i, opierając rękę na ramieniu klęczącego Gillesa, mówi z uśmiechem)*: Ja także chcę zabić.

(Gilles zrywa się z klęczek, Biskup żegna się przerażony, Fleur-de-Lys patrzy na nich zdziwiona).

Pastorale

CZĘŚĆ I

Łąka u brzegu lasu. Z prawej strony sceny widać rząd wierzb, ocieniających brzeg niewidocznej zresztą rzeki, z lewej na niskim pniu drzewnym siedzi Klelia. Jest widocznie zmęczona i znużona sobą i resztą świata. Zaciska gniewnie usta, pochyla głowę, szarpie niecierpliwie wysoką puszystą trawę. Od czasu do czasu rzuca krótkie, ostre spojrzenie Filemonowi, który, oparty o drzewo, w na wpół leżącej postawie, pali z prawdziwym zadowoleniem fajkę. Nagły powiew wiatru rzuca żółty liść na kolana pięknej panny. Klelia ogląda go zdziwiona, upuszcza, odwraca leniwie głowę w stronę Filemona i mówi:

KLELIA:
Żółty liść.

FILEMON:
Mhm... *(puszcza kłąb dymu).*

KLELIA:
Wcześnie. *(Filemon milczy. Klelia po chwili)*: Od jak dawna siedzimy tutaj?

FILEMON:
Od godziny może.

KLELIA:
I ani słowa, ani jednego słowa... Właściwie... Chciałam zasięgnąć twojej rady, Filemonie.

FILEMON:
Gorąco.

KLELIA:
Nie mogę czekać do zimy... *(urywa).* Tak trudno mówić mi z tobą dzisiaj, jakby ktoś obcy stał między nami. Nie rozumiem. Przecież nie kochasz się teraz w Baucis.

FILEMON *(śmiejąc się)*:
Nie, na mą duszę.

KLELIA:
I bez zaklęć ci wierzę, a jednak... odezwijże się wreszcie, może bym znalazła odpowiedź, i tak od słowa do słowa...

FILEMON:
(wzrusza ramionami).

KLELIA:
Ciężko mi żyć, Filemonie.

FILEMON:
(uśmiecha się ironicznie).

KLELIA:
No to nie ciężko, ale nudno, och, jak nudno... A tu moja młodość przechodzi, najpiękniejsze lata mego życia, i nic... jeden dzień podobny do drugiego, i z dni rodzą się lata, i w końcu starość nadejdzie... Przecież to moje życie, moje własne życie. O, niekiedy chciałabym głośno krzyknąć na uchodzący czas:
Stój, czekaj, póki czego nie wymyślę.

FILEMON:
Nie trudź się, niczego nie wymyślisz.

KLELIA:
Może masz i rację. Jestem syta dni swoich, jak Hiob, tylko on żył, a ja... Bo i przez ból żyć można, chociaż teraz może by nawet nieszczęście mi się sprzykrzyło, jak wszystko i wszyscy.

FILEMON:
A Damon przede wszystkim.

KLELIA:
Naturalnie, przecież już od trzech lat wiem, że będzie moim mężem.

FILEMON:
W takim razie zdejm ten pierścionek z palca i zobacz, czy przez to słońce nie będzie jaśniej świeciło.

KLELIA:
A później?

FILEMON:
Zaślubisz innego.

KLELIA *(po chwili wahania)*:
Czy Tircis mówił z tobą o mnie?

FILEMON:
Aha *(przygląda się Klelii, która odwraca głowę)*. Dobrze, dobrze, nie napraszam się na powiernika, jedno tylko: jakiekolwiek masz zamiary, żądam pośpiechu. Ty i Baucis życie mi zatruwacie *(pokazuje na gardło)*. Potąd mam tych kłótni w domu.

KLELIA:
Nie bój się, uszanuję twój drogocenny spokój, nie pójdę za twoją radą, po co? Albo to nie wszystko jedno: Damon czy Tircis?

FILEMON:
W takim razie w ogóle nie wiem, czego chcesz.

KLELIA:
Choćby we łzach, choćby w bólach, choćby w rozpaczy i cierpieniu, chciałabym poczuć moje własne życie, Filemonie. Rozumiesz?

FILEMON:
Nie.

KLELIA:
(zagryza wargi).

FILEMON:
Gniewasz się? Wejdź w moje położenie. Jakże ja ci radzić będę, ja, com sobie własnego życia urządzić nie umiał?

KLELIA:
O ty! Ty jesteś już stary.

FILEMON:
Znaczy do grobu mi pora.

KLELIA:
Nie, siedź w kącie i obgryzaj swoje wspomnienia.

FILEMON:
Dziękuję, wspomnienia są tylko na to, żeby człowiekowi ciężej było żyć, no i umierać.

KLELIA:
Skarż się, płacz, mało ci życie dało? Nie było szczęścia, którego byś nie użył, aż do znużenia, aż do przesytu: wszystko miałeś, wszystko poznałeś i jeszcze chcesz więcej. Zazdroszczę ci twego życia, nawet teraz.

FILEMON:
Nie warto, już minęło... *(urywa)*. Ach, ba! Myślałby kto, że z tobą naprawdę poważnie mówić można.

KLELIA:
Alboż nie?

FILEMON:
Ech, Klelio! Wyjdź za mąż, to pogadamy jeszcze ze sobą, a teraz dosyć.

KLELIA *(błagalnie)*:
Filemonie.

FILEMON *(stanowczo)*:
Nie. *(Po chwili)*: Dobry był wczorajszy bażant?

KLELIA:
Jak bażant. Za wcześnie jeszcze na nie.

FILEMON:
Jak bażant! Powiedziała, co wiedziała. Mądra. Takim bażantem mógłbym ugościć aniołów, gdyby mnie odwiedzić raczyli. *(Z oburzeniem)*: Jak bażant!

KLELIA *(drżącym głosem)*:
O mojej przyszłości, o moim życiu nie warto mówić poważnie, ale za to o bażancie...

FILEMON:
Trudno, i ja żyć muszę, i ja mam duszę nieśmiertelną, z którą nie wiem, co zrobić.

KLELIA:
Więc z rozpaczy przyprawiasz swoją nieśmiertelną duszą farsz do bażanta.

FILEMON:
Ech! Są ludzie, których nawet na to nie stać.
(Wbiega Baucis).

BAUCIS:
Prezes ministrów przyjechał.

FILEMON:
Mhm *(pali fajkę).*

BAUCIS:
Takiś spokojny? Spodziewałeś się go. No co? Powiedz. Pisał do ciebie?

FILEMON:
Może.

BAUCIS:
Po co przyjeżdża?

FILEMON:
Chce poznać moją kuchnię.

BAUCIS:
Kłamstwo.

KLELIA:
Ależ Baucis, to bardzo prawdopodobne, mówił mi Damon... *(urywa).*

BAUCIS:
Co?

KLELIA:
Nie wiem, zapomniałam.

BAUCIS:
Tajemnica! I tak dowiem się wkrótce o wszystkim, a z wami... Idziecie się przebrać?

FILEMON:
Nie.

KLELIA:
Wystroiłaś się za nas i za siebie.

BAUCIS:
Gdzie stroje moje? Tylko Klelii wolno mieć pełne sukien szafy, a ja ledwo że w łachmanach nie chodzę.

FILEMON:
I to także łachman? Fiu!

BAUCIS:
Więc muszę wyglądać jak żebraczka, nawet wtedy, gdy przyjmuję pierwszego dostojnika państwa?

FILEMON:
A przypnij sobie rogi, jeśli cię to bawi.

KLELIA:
I daj nam spokój.

BAUCIS:
Dobrze... Zostańcie w waszych pomiętych sukniach, nie powiem ani słowa więcej. Ciekawa tylko jestem, co sobie o was prezes ministrów pomyśli.

FILEMON:
Nic nie pomyśli, przecież nie będzie zmieniał dla nas na starość trybu życia. Zresztą gdyby myślał, nie nadawałby się już na urząd – jak to pięknie nazwałaś, Baucis? – pierwszego dostojnika państwa. *(Baucis wzrusza ramionami. Wchodzą Damon i Tircis).*

BAUCIS:
Prezes ministrów przyjechał.

TIRCIS:
Trzeba go pójść przywitać z należytą atencją. Idziesz, Filemonie?

BAUCIS:
Oczywiście.

FILEMON:
Jego dostojność teraz się przebiera, nie będziesz mu chyba butów ściągał?

KLELIA:
Czemu nie? Prezesowi ministrów, toż to zaszczyt.

DAMON *(stając za nią)*:
Dzień dobry, Klelio.
(Klelia nie odwracając głowy wyciąga rękę ku niemu, trzyma ją chwilę w powietrzu i następnie opuszcza powoli).

DAMON:
Nie pocałowałem twojej ręki, Klelio.

KLELIA:
Wiem o tym *(bawi się kwiatami)*. Bogu dzięki, przynajmniej jakaśkolwiek zmiana w moim życiu.

FILEMON *(do Baucis)*:
A teraz, moja miła, zajmij się obiadem.

BAUCIS:
Dobrze, żeś mi przypomniał. *(Odwraca się gwałtownie i spostrzega służbę zajętą nakrywaniem stołu, który przed chwilą wniesiony został na łąkę. Woła do służących)*: Odnieście natychmiast.

FILEMON:
Aha, tu kazałaś nam podać obiad *(do służby)*:
Dalej, do roboty! *(do Baucis)*: Cicho, kwiecie cytryny, później pogadamy ze sobą.

DAMON *(do Klelii)*:
I nie dziwi cię to wcale?

KLELIA:
Nie.

DAMON:
Spojrzyj mi w oczy, Klelio. Czy Tircis nie ma żadnych praw do ciebie?

KLELIA:
Nikt do mnie prawa nie ma, nawet ty, który będziesz moim mężem.

DAMON:
Mówił mi... Zresztą do diabła z jego półsłówkami. Rozzuchwalony jest nad wszelką miarę. I nie dziwię mu się wcale: bezustannie mówisz z nim, pytasz go się nawet o radę.

KLELIA:
Nie zwracam się do niego częściej, niż do ciebie.

DAMON:
Naprawdę? Dziękuję ci. Gdybym przypuszczał, że umyślnie starasz się mnie obrazić...

KLELIA:
To co?

DAMON:
Posądziłbym cię o miłość dla mnie lub dla Tircisa. Ale nie. Jak ślepy nie może widzieć, jak głuchy nie może słyszeć, tak ty nie możesz kochać, Klelio.

KLELIA:
Skąd ta prawda spłynęła na ciebie?

DAMON:
Paget mówił...

KLELIA:
A! Zapachniało też w powietrzu Tircisem.

(Przez ten czas służba nakryła stół, Baucis kilkakrotnie próbowała protestować, lecz Filemon nie dał jej przyjść do słowa, wreszcie mówi):

FILEMON:
Dobrze. A teraz odpowiadaj na pytania i mów prawdę, o ile możesz. Czy wiesz, że jestem człowiekiem, a nie krową.
(Baucis zagryza wargi i tupie nogą).

TIRCIS:
Dajmy na to, że wie.

FILEMON *(do Tircisa)*:
Jesteś uprzejmy ze swoim dajmy na to. *(Do Baucis)*: Czym się człowiek różni od zwierzęcia, czym? Sposobem jedzenia przede wszystkim... Tłumaczyłem ci ze sto razy...

BAUCIS:
Dobrze, dobrze.

FILEMON:
Czy można jeść z należytym skupieniem na świeżym powietrzu?

BAUCIS:
Chciałam przecież kazać odnieść stół do domu.

FILEMON:
Pozwól, idzie o zasadę. Wiem, że wolałabyś przyjąć prezesa ministrów w sali jadalnej, ale taki dobry on, jak ja. Teraz pytam się po raz ostatni, dlaczego tu kazałaś nakryć do stołu?

BAUCIS:
Nudzisz mnie. Klelia sobie tego życzyła.

FILEMON:
Powiedziałem, staraj się mówić prawdę. Widzę, że nie możesz, ale mogłabyś przynajmniej wymyślić kłamstwo prawdopodobniejsze. Klelia sobie tego życzyła, doprawdy! Klelii wszystko jedno, co je i gdzie je, byle miała tych dwóch durniów, kręcących się koło jej spódniczek.

TIRCIS:
Podziękuj, Damonie.

DAMON:
To i ciebie się tyczyło.

TIRCIS:
Co do mnie, samo przypuszczenie, że Klelia...

KLELIA:
Możesz mówić panna Klelia.

TIRCIS *(nie zmieszany)*:
...nie patrzy niechętnym okiem na moje hołdy, wynagradza mi w zupełności nieprzyjemny epitet...

FILEMON:
A moja stara myślała, że do niej wzdychasz, słowo daję. Za późno, moje serce. Jeśli chciałaś przyprawić mi rogi, to trzeba było namyślić się przynajmniej pięć lat temu.
(Baucis dobiega nagle do jednego z lokajów i bije go po twarzy).

KLELIA:
Doprawdy, Baucis...

DAMON:
Mógłbyś zabronić swojej żonie...

FILEMON *(ironicznie)*:
Spróbuj. *(Do Baucis)*: Moja słodka gołąbko, wiem, że to dla mnie było przeznaczone, ale czy nie nadwerężyłaś sobie czasem rączki?.. I może zdradzisz nam nareszcie wielką tajemnicę tyczącą się dzisiejszego obiadu.

BAUCIS:
Mógłbyś świętego wyprowadzić z cierpliwości. Rocznica dzisiaj.

FILEMON:
Aha! Dochodzimy nareszcie do jakiegoś rezultatu... Tak, moje serce, dziś rocznica bitwy.

KLELIA *(z westchnieniem)*:
Już rok.

FILEMON:
Ale związku nie rozumiem... Prawda, zastrzelono tu kilkunastu górali szkockich, no i kilku ludzi... I ty przebrałaś się na tę zabawę w męskie suknie, wszystko prawda. Lecz bitwa bitwą, a obiad obiadem.

BAUCIS:
Ech! Co tam bitwa. Chciałam przypomnieć sobie zeszłe lato, gdyśmy byli wszyscy tak weseli i szczęśliwi.

KLELIA:
Jak kto. Mogłabyś była oszczędzić sobie trudu.

BAUCIS:
Bo ty! Gdyby cię posmarowano miodem i posypano cukrem, jeszcze byś się krzywiła.

FILEMON:
Więc pastorale ma się zacząć na nowo. A ja dziękowałam Bogu, że się skończyło. Te śniadania na łączce u brzegu strumyka... Br... I tak dobrze, żem reumatyzmu nie dostał, w moim wieku.

BAUCIS:
No, nie bój się, po raz ostatni.

DAMON:
I pora, żebyśmy przeszłość zapomnieli, i przezwiska śmieszne, którymiś nas żartem obdarzyła, i samą zabawę głupią i dziecinną.

TIRCIS:
A to czemu?

DAMON:
Choćby dlatego, że Ewander nie żyje.

TIRCIS:
Tres, cher, nie wiedziałem, że byłeś przyjacielem Hamiltona. Zdaje mi się nawet, że wówczas śmierć jego sprawiła ci prawdziwą satysfakcję.

(Damon wzrusza ramionami).

TIRCIS:
Może się mylę. W każdym razie przesadna jest twoja rozpacz, trwająca jeszcze rok po jego zgonie.

KLELIA:
Przesadna, nie przesadna. Ewander był bohaterem.

TIRCIS:
Zapewne, jeśli tak piękne oczy, jak twoje, płakały.

BAUCIS:
Ewander bohaterem! Doprawdy? Przede wszystkim warchołem był i gburem nieokrzesanym.

FILEMON:
A jednak bardzo czule się do niego uśmiechałaś, póki żył.

TIRCIS *(półgłosem)*:
Właśnie dlatego.

BAUCIS *(udając, że nie słyszy)*:
Jeśli wszyscy bohaterowie są do niego podobni, to Bogu dzięki, że się choć przez wojnę ich pozbywamy.

FFILEMON:
Z czego wynika, że jest to gatunek ludzi przeznaczonych na rzeź.

KLELIA *(z wyrzutem)*:
Słyszysz, Damonie? A ty żyjesz.

DAMON *(uśmiechając się)*:
Przepraszam. *(Całuje jej rękę).*

TIRCIS *(do Klelii)*:
Płakałaś nad Ewandrem, naprawdę? *(po cichu, prędko)*: A gdybym ja umarł?

KLELIA *(tak samo)*:
Cieszyłabym się bardzo.

TIRCIS:
Taak, ale przyjdziesz tu dzisiejszego wieczoru?

KLELIA *(kiwa głową, że tak. Głośno)*:
Stanowczo jemy obiad na łące?

FILEMON:
Widzisz przecież.

TIRCIS:
Musimy pójść po ministra, Filemonie.

FILEMON:
Idź sam, o Merkury – pośle bogów... Nie krzycz, Baucis, żartowałem tylko, już pędzę.
(Tircis i Filemon wychodzą).

DAMON *(do Klelii)*:
Co powiedziałaś Tircisowi?

KLELIA:
Nie wiem, zapomniałam.

DAMON:
Kłamiesz.

KLELIA:
Może... Miarkuj się w swoich wyrażeniach, nie pozwolę ubliżać sobie.

BAUCIS:
Jesteś mało uprzejmy, Damonie.

DAMON:
Od ciebie i Filemona się nauczyłem. *(Do Klelii)*: A ty może raczysz mi odpowiedzieć, coś mu szeptała, zbladłaś cała ze wzruszenia.

KLELIA:
Wątpię... Powiedziałam, że cieszyłabym się na wieść o jego śmierci.

DAMON:
Nieprawda.

KLELIA:
Przestań wreszcie, nie udawaj murzyna weneckiego, i tak wiem, że mnie kochasz nad życie.

BAUCIS:
Ej, Klelio, zazdrość nie przeszkadza wcale do uganiania się za pokojówkami.

KLELIA *(zaciekawiona)*:
Naprawdę, Damonie?

DAMON:
Przysięgam, że nigdy...

KLELIA:
Jaka szkoda. Byłoby o tyle zabawniej.
(Wchodzą: Prezes ministrów, za nim Filemon i Tircis, Baucis, Klelia i Damon kłaniają się głęboko, Minister wita ich skinieniem głowy).

FILEMON *(przedstawiając)*:
Moja żona i siostra, Stairs.

PREZES:
Znam go od dzieciństwa, narzeczony twojej siostry, prawda?

FILEMON:
Wasza dostojność raczy pamiętać.

PREZES:
Tak żywo interesuję się wszystkim, co do ciebie dotyczy.

FILEMON:
Zbytek łaski.

TIRCIS *(na stronie do Damona)*:
Nauczył się stosunków rodzinnych na pamięć. Ma specjalnego sekretarza, który mu robi notatki.

DAMON:
Nie kochasz go, widzę.

TIRCIS:
Czemu on, a nie ja, rozumiesz?

DAMON:
Jesteś przecież za młody na ministra.

TIRCIS:
Wiem, muszę czekać, aż mi wszystkie zęby wypadną, aż ogłupieję na starość, aż mnie już więcej nic cieszyć nie będzie... Tak wszystko na tym świecie przychodzi za późno.

BAUCIS *(dygając, do Prezesa)*:
Wasza dostojność wybaczy, że przyjmuję ją tak skromnie i – tutaj.

PREZES:
Ależ zachwycony jestem. Nie na to opuściłem miasto, by dusić się w ciemnych jadalniach dworów wiejskich. Chcę właśnie wypocząć na łonie natury po całorocznych trudach.

LOKAJ:
Obiad podany.
(Prezes ministrów podaje ramię Baucis, Damon Klelii, wszyscy siadają).

INTERMEZZO
Ta sama łąka, co poprzednio. Na pniu drzewa z lewej strony siedzi Stairs (Damon). Za nim stoi Hamilton (Ewander). Na prawo pod wierzbami dwóch obywateli okolicznych żywo rozprawia ze sobą. Wchodzi Paget (Tircis).

I SĄSIAD *(do Pageta)*:
Nareszcie! Dlaczego tak długo trwało?

PAGET:
Nie mogłem nagle przerywać działań wojennych.

STAIRS *(zdziwiony)*:
Fortyfikujesz zamek?

PAGET:
He, he, prowadzę coś w rodzaju robót ziemnych, a raczej podziemnych.

HAMILTON:
Widziałeś Klelię?
PAGET *(zmieszany)*: Klelię?.. ja, właściwie nie... *(urywa)*. Kazała ci się kłaniać.

STAIRS:
Żartujesz chyba.

PAGET:
Oczywiście, chciałem jedynie sprawić uciechę Hamiltonowi. Użyczam bliźniemu swemu wszelkiej przyjemności, która mnie nic nie kosztuje.

HAMILTON *(zimno)*:
Dziękuję.

PAGET:
Nie liczę na wdzięczność ludzką.

I SĄSIAD:
Dla Boga! Nie wezwałem cię tu, żebyś przekomarzał się z Hamiltonem.

PAGET:
Dla Boga! Jest to tak dobry sposób spędzenia czasu, jak każdy inny. I doprawdy nie wiem, z kim albo o czym jeszcze mógłbym z równym pożytkiem i przyjemnością mówić w tej chwili.

I SĄSIAD:
Czyś głuchy i ślepy? Silny oddział buntowników stoi nad brodem i parlamentarz ich nadjedzie lada chwila.
(Wbiega młody sąsiad).

MŁODY SĄSIAD:
Ciągną w górę rzeki.

II SĄSIAD:
Wszyscy?

MŁODY SĄSIAD:
Nie, część tylko, reszta została.

HAMILTON:
Aha! Szukają mostu, będą mieli przykrą niespodziankę.

II SĄSIAD:
Naprawią do wieczora, albo tratwy sobie pobudują. I tak źle, i tak niedobrze.

I SĄSIAD *(do Pageta)*:
Słyszysz?

PAGET:
Słyszę, ale to mnie mało zajmuje, a jeszcze mniej obchodzi.

I SĄSIAD:
Co! Przecież odetną nas od zamku...

PAGET *(kończąc)*:
I wymordują. Cóż z tego? Mieliśmy podobno bronić się aż do śmierci, a więc...

I SĄSIAD:
Ale nigdy przeciw przeważającym siłom! Toć to żołnierz regularny. Nie utrzymamy przeciw nim brodu i dwóch godzin.

STAIRS:
Tydzień temu przysięgałeś walczyć przeciw każdemu zdrajcy. Czy myślałeś może, że wojsko pretendenta będzie uzbrojone w kije?

I SĄSIAD:
No, z tobą w ogóle nie można mówić, zupełnie zwariowaliście, ty i Hamilton.

STAIRS:
Pełną gębę miał słów, a teraz, gdy pora do czynu ... tfu *(spluwa)*. I ty także, Pagecie.

PAGET *(przerywając)*:
Proszę, ja nigdy nie krzyczałem o moim przyszłym bohaterstwie, nie mam więc dziś żadnych obowiązków...

STAIRS:
Ale ty nie poddasz zamku?

PAGET:
Bo co?

STAIRS:
Poślę tam Hamiltona.
(Wchodzi sąsiad).

III SĄSIAD *(do sąsiada I)*:
Parlamentarz lada chwila nadejdzie. Coście uradzili?

I SĄSIAD:
Nic jeszcze. Czy to można się z nimi dogadać?

PAGET *(do Stairsa)*:
W takim razie przysięgam raczej pogrzebać się pod murami zamku, niż... je... dokończ po bohatersku. Nie przysięgam zresztą dotrzymać przysięgi.

I SĄSIAD:
Widzę, że ty przynajmniej jesteś mojego zdania.

PAGET:
Broń Boże! Mnie, mój drogi, ta cała awantura bawi i, o ile przeżyję dzień dzisiejszy, potrafię korzyść odpowiednią z niej wyciągnąć.

HAMILTON:
Tfu!

PAGET:
Nie mam lat osiemnastu, ażeby narażać życie bezinteresownie.

HAMILTON:
Tacy, jak ty, nie czują naturalnie, że dulce i decorum pro patria mori.

PAGET:
Na mą duszę! Najoklepańszy wiersz z całego Horacego i w dodatku najmniej prawdziwy. Zawsze gorzko jest umierać, mój miły,

i brzydko, bo trupy cuchną już nazajutrz po bitwie. Wy na przykład jutro bardzo kiepsko pachnieć będziecie przy tym upale.

III SĄSIAD:
Bodajby ci język zgnił.

I SĄSIAD *(do Pageta)*:
Skończ wreszcie, chciałbym pomówić z tobą.

HAMILTON:
Po co gadać dłużej? Poddajcie się, jeśli tchórz was oblatuje.

I SĄSIAD:
Milcz, smarkaczu. *(Do Pageta)*: Przyznaj sam, czy wolno mi dopuścić do bitwy, jeśli wiem, że mamy do czynienia z wojskiem regularnym?

STAIRS:
A skąd wiesz? Uciekli w nieładzie z wody po pierwszym naszym strzale.

II SĄSIAD:
Bo w wodzie i znienacka, a na brzegu zebrali się sprawnie.

I SĄSIAD:
Zresztą dowiemy się. Paget pomówi z parlamentarzem.

PAGET:
Nigdy... Mógłby to być któryś z moich dawnych przyjaciół, a ja mam na sumieniu może świństwa i podłości.

STAIRS *(półgłosem)*:
O tak.

PAGET:
Ale głupstwo popełniam po raz pierwszy w życiu, więc pewnego rodzaju wstydliwość...

I SĄSIAD:
Dobrze, dobrze, dam sobie radę i bez ciebie.

PAGET:
Szkoda.
(Wbiega pani Raleigh [Baucis] w sukniach męskich).

PANI RALEIGH:
Parlamentarz przyjechał, przyjmują go pewnie na klęczkach i mój bałwan...

STAIRS:
Pani jeszcze tu?

PANI RALEIGH:
A tak, nie jestem Klelią, żeby kryć się za murami w stanowczej chwili.

STAIRS:
Wdzięczny jej jestem, że ona przynajmniej nie utrudnia nam obrony swoją obecnością.

PANI RALEIGH:
Naturalnie, każda cnota jest zbrodnią, jeśli jej Klelia nie posiada, pozwól jednak, panie, że ja rozstrzygnę, co mnie przystoi, a co nie.

STAIRS *(zatrzymując Pageta, który chce odejść)*:
A jak z zamkiem?

PAGET:
Słyszałeś, co mówiłem.

STAIRS:
Wolałbym jednak Hamiltona.

PAGET:
Rób jak chcesz. *(Półgłosem)*: Hm, jeszcze nie widziałem tak uprzejmego narzeczonego.

STAIRS:
Milcz i wynoś się do zamku.

PAGET *(odchodzi, nagle staje i wybucha śmiechem)*:
Boże, jakiś ty zabawny, Stairs.

(Wychodzi. Jednocześnie wchodzi parlamentarz i kilkunastu obywateli okolicznych).

PARLAMENTARZ:
W imieniu jego królewskiej mości księcia Walii, Karola Edwarda żądam...

STAIRS:
Sam pretendent.

PARLAMENTARZ *(ciągnie dalej)*:
Złożenia broni i wolnego przejścia przez bród.

I SĄSIAD:
No, Stairs, jeszcze chcesz się bronić?

STAIRS:
(wzrusza ramionami).

I SĄSIAD:
Bogu dzięki, że od ciebie nie zależy...

PARLAMENTARZ:
Panowie, czekam na odpowiedź. Nie przerywaj układów, Stairs...

STAIRS:
Nie jestem Stairs dla waszej dostojności.

PARLAMENTARZ:
Niech i tak będzie. Nie ty pierwszy, nie ty ostatni...

STAIRS *(do sąsiadów)*:
Dalej, dajcie mu odpowiedź, oszczędźcie mi przynajmniej rozmowy ze zdrajcą.

PARLAMENTARZ *(doskakując do niego)*:
Zdasz mi sprawę z tych słów.

STAIRS *(z pogardą)*:
Ja? Kat chyba.

PARLAMENTARZ *(wybuchając śmiechem)*:
Powoli, jeszcze stoję na ziemi, nie na deskach rusztowania. A choćby nawet... Nie będę pierwszy ze swego rodu, a i ty cnotliwy Stairsie dość masz przodków, którzy gniją w ziemi bez głowy.

STAIRS:
Moi przodkowie ginęli dla dobrej sprawy.

PARLAMENTARZ:
Ech, Stairs, nasza sprawa byłaby doskonała, gdyby teraz wkraczali do Londynu, zamiast uciekać do portów północnych. Ale ja nie żałuję niczego i nigdy żałować nie będę. Przysięgam ci, że warto zginąć za naszego pięknego księcia, oto król prawdziwy, nie jak ta drewniana małpa niemiecka... *(urywa)*. Przepraszam, obraziłem może twoje uczucia...

STAIRS:
Co mnie król obchodzi. Nie jestem psem, żebym umierał za swego pana. Bronię wolności i praw, które nam przodkowie wywalczyli. Męką swoją i krwią zbudowali gmach mocny i bezpieczny, w którym żyjemy, i biada temu, kto nań wzniesie świętokradzką rękę. Jak śmiecie, zbrodniarze i głupcy, burzyć państwo dla butwiejących pergaminów i gładkich lic jednego chłopca. Przekleństwo! Z rozkoszą oddam życie, byście wy nie uniknęli zasłużonej kary. Nie boję się was...

PARLAMENTARZ *(ironicznie)*:
Szczególniej wtedy, gdy wchodzisz z nami w układy.

STAIRS:
Ja! Mógłbym ci odpowiedzieć na tę obelgę, ale nie chcę, bo wiem już, jak postąpię.

PARLAMENTARZ:
Winszuję. A wy, panowie?

I SĄSIAD:
Złożymy broń, o ile nam książę zapewni życie i mienie.

MŁODSZY SĄSIAD:
Jak to? Poddajemy się bez strzału prawie, po tym, co Stairs powiedział?

IV SĄSIAD:
Rządzisz się, na mą duszę, jak szara gęś.

I SĄSIAD:
Większość jest mego zdania.

III SĄSIAD:
Może byśmy głosowali?

PARLAMENTARZ:
W takim razie beze mnie, nie mam czasu na podobne błazeństwa.

III SĄSIAD:
Jak wam się zdaje, nie będziemy później odpowiadać za te układy?

I SĄSIAD:
Co znowu, pół kraju musieliby osadzić w więzieniu.

HAMILTON *(do Stairsa)*:
Słyszysz, oni ustępują, przeszkodź im.

PANI RALEIGH:
Patrz, ręce się ich łączą, szepczą do siebie. Czemu milczysz?

STAIRS:
Jeszcze czas, jestem pewny swego.

PARLAMENTARZ:
Dość tych ceregieli, przepuszczacie nas, panowie, przez bród, czy nie? *(Chwila milczenia)*. Wierzcie mi, gdyby książę nie miał tyle wstrętu do niepotrzebnego przelewu krwi, to już dawno bylibyśmy przeszli rzekę, mimo waszego oporu nawet.

III SĄSIAD:
Wiemy, wiemy o tym doskonale, przecież dlatego... *(urywa)*. Ale starego pretendenta nie uznajemy za króla Anglii.

PARLAMENTARZ:
O, nam na słowach nie zależy. *(Kiwając protekcjonalnie głową)*: Możecie rozejść się, panowie, słowem książęcym zaręczam wam, że ani wy, ani wasze mienie szwanku nie poniesie. Żegnam.

HAMILTON *(do Stairsa)*:
Czy pozwolisz mu odejść?

STAIRS:
Nie. *(Wstaje, podchodzi do parlamentarza i powala go jednym wystrzałem z pistoletu).*

HAMILTON:
Ach, że mi to wcześniej na myśl nie przyszło.

STAIRS *(triumfująco)*:
Ot, wasze układy, ot, wasze słowo książęce. Bezpieczni już byli, pewni jutra, a teraz co?

PANI RALEIGH *(z zachwytem)*:
Wojna.

I SĄSIAD:
Jeśli ci się zdaje, żeś zrobił coś rozsądnego...

STAIRS:
Milcz, ty tam ze swoim rozsądkiem, schowaj go na dzień powszedni, dzień spokojny, gdy będziemy mogli znowu w tłuszcz obrastać, jak dawniej. *(Do III sąsiada)*: Upewniłeś się na obie strony, i wilk syty, i koza cała... Och ostrożny! *(potrząsając nim)*: Co ty w sercu masz, człowieku, co czujesz? *(Wskazując w stronę rzeki)*: Tam wróg twój... Przodkowie jego przeszli nad nami jak burza, i on jest nam śmiercią i zniszczeniem, a ty chcesz się wyrzec zemsty, uniżyć się przed nim... Gdybym postawił nogę na twarzy trupa, trup ukąsiłby mnie w piętę, a ty sam podsuwasz głowę, ty żywy.

I SĄSIAD:
Róbcie co chcecie, ja umywam ręce.

MŁODSZY SĄSIAD:
O, Stairs, jesteś wielki!

IV SĄSIAD:
Cicho, żółtodziobie, daj nam starszym się namyślić jak naprawić szaleństwo Stairsa.

STAIRS:
Zdaje się, że to nie do naprawienia... Broń swego życia i mienia, i niech się to później nazywa, żeś bronił ojczyzny i praw, które ją wielką zrobiły.

V SĄSIAD *(tupiąc nogą)*:
Do diabła, prawdę mówi... Widzieli, jak padł parlamentarz. Ach, psie, psie podły, cośmy ci zawinili, my i dzieci nasze.

STAIRS:
Ten przynajmniej życie kocha.

V SĄSIAD:
Łatwo ci mówić, obcy jesteś, nie zrównają ci domu z ziemią, nie zrabują kosztowności rodzinnych, nie...

VI SĄSIAD:
Kto wie, możeś nawet w zmowie z pretendentem, by dać mu pretekst do rabunku.

STAIRS:
I co jeszcze? Ale, panowie, czas pójść do wąwozu:
za rzeką się szykują.

II SĄSIAD:
Jasne, że tak. Tu nas powystrzelają, jak kuropatwy.

V SĄSIAD *(ponuro)*:
A tam nie?

I SĄSIAD:
I warto narażać życie tylu ludzi, żeby na dwie godziny powstrzymać pochód pretendenta.

STAIRS:
A jeśli wojska królewskie są im na piętach i te dwie godziny mają rozstrzygające znaczenie?

I SĄSIAD:
Czy sądzisz, że naprawdę...

STAIRS:
Pewny jestem. Po co by przysyłali parlamentarza. Musimy przeszkodzić ucieczce pretendenta, nie mógłbym inaczej nigdy już spać spokojnie. Zbawienie mojej duszy za głowę jego na rusztowaniu. Och, jak ja go nienawidzę!

II SĄSIAD:
Dlaczego?

STAIRS:
Nie wiem, tak mnie w dzieciństwie uczono, i krew naszych przodków jest między nami i... *(urywa zdziwiony)*. Przecież wcale inaczej być nie może. Na miejsca! Jeśli zginiemy, to za dobrą sprawę.

V SĄSIAD:
Kpię sobie z twojej dobrej sprawy, każdy tak mówić potrafi, i ten kiep także... Krew nasza na twoją głowę, Stairs.

HAMILTON:
Zniesie to.

V SĄSIAD:
Nie odzywaj się, smarkaczu, patrzcie go. Gdzie ciebie nauczyli nie szanować starszych, młokosie? To też twoja zasługa, Stairs. Ale jedno do drugiego, jedno do drugiego... *(wychodzi)*.

HAMILTON:
Muszę go szanować, doprawdy? Czy za to, że go przez lat dwadzieścia sadło obrastało?

RALEIGH [FILEMON]:
No, no, nie tak zupełnie on głupi *(nagle z westchnieniem)*: Ech, mógłbym żyć jeszcze z lat trzydzieści.

HAMILTON:
Pomyśl, że minęły.

RALEIGH:
To mnie pocieszył! I zamku mi żal, i choćby tej Baucis, z którą co prawda kłócę się od...

PANI RALEIGH:
Nie troszcz się o mnie... Nie tak dobrze mi było żyć, żebym umierać się bała.

RALEIGH:
Patrzcie, co za bohaterka! Kamilla, Bradamanta, Klorynda... Musiały jednak te żelazne zbroje lepiej zakrywać kształty, niż... Niezbyt ponętnie wyglądasz, moja miła.

STAIRS:
Milcz. *(Całując rękę pani Raleigh)*: Czy przebaczasz mi, Baucis?

PANI RALEIGH:
Jakbym miała umrzeć za godzinę.

STAIRS:
Choćbym dożył lat stu, nie zapomnę ci tej chwili aż do śmierci. *(Do sąsiadów)*: Nie róbcie takich kwaśnych min, panowie, nic nam nie grozi. Wojska królewskie nadciągną lada chwila, a gdy nie będziemy mogli utrzymać się nad brodem, cofniemy się do zamku.

II SĄSIAD:
Wmawiaj Hamiltonowi, że się w tej ruderze bronić można, ale nie mnie.

MŁODSZY SĄSIAD:
A ten oddział, który pociągnął w górę rzeki?

RALEIGH *(krzyczy)*:
Odetną nas od zamku!

STAIRS:
Cicho, sprawa pewna, nie macie się czego obawiać, wracajcie na nasze dawne miejsce i nie strzelajcie, póki w wodzie nie będą. Tylko trochę cierpliwości, armia królewska przyjdzie nam z odsieczą. I nie wspominajcie o tych buntownikach w górze rzeki, to bez większego znaczenia, a może przerazić ludzi lękliwego serca. Żegnam.
(Wszyscy wychodzą, za wyjątkiem Hamiltona i Stairsa. Stairs stoi chwilę nieruchomo patrząc w stronę zamku, nagle odwraca się i spostrzega Hamiltona).

STAIRS:
Czego chcesz?

HAMILTON *(zmieszany)*:
Nic, tak, przyglądałem mu się *(wskazuje na trupa)*. Co z nim zrobić?

STAIRS:
Zostawić. *(Wskazuje na rzekę)*. Oni go pogrzebią.

HAMILTON:
A my?

STAIRS:
Nas, może nie. Zginęliśmy, mały.

HAMILTON:
A wojska królewskie?

STAIRS:
I ty mi nawet uwierzyłeś! Nie nadciągną ani za godzinę, ani za dwie, a później... nas nie będzie. *(Wzdycha)*.

HAMILTON:
Życia ci żal?

STAIRS:
Trochę, jak każdemu.

HAMILTON:
A mnie nie żal ani trochę. Dumny jestem i szczęśliwy, że wolno mi umrzeć za ojczyznę i wolność. Żałuję jedynie, żem taki słaby i lichy. Chciałbym teraz być najpiękniejszym, najszlachetniejszym, najszczęśliwszym, żeby ofiara moja godna była wielkiego celu.

STAIRS:
Nie wierzę ci.

HAMILTON:
Wierz, albo nie wierz. Ja w każdym razie nie powiedziałem żadnej istocie żyjącej, że umierać się boję. Mam tę wyższość nad tobą, Stairs.

STAIRS:

Jeśli cię to cieszy... *(Chwila milczenia. Nagle z okrutną radością, wskazując przeciwległy brzeg rzeki, mówi)*:
Im w każdym razie ciężej będzie umierać.

HAMILTON:

I to pociecha. Chodźmy.

STAIRS:

Czekaj, daj mi się pożegnać z nią, choć z daleka, choć oczyma.

HAMILTON *(porywczo)*:

Nie mów o niej, przecież ja ją także kocham.

STRAIRS:

Wiem, ale teraz znów jesteśmy braćmi, bo kochamy jedną.

HAMILTON:

Więc gdyby ona nagle stanęła tu, przed nami... Czy pozwoliłbyś mi ją ucałować po raz pierwszy i ostatni, na pożegnanie, na nigdy więcej?
(Stairs kiwa głową, że tak).

HAMILTON *(bardzo cicho)*:

Znaczy się, że na pewno nie dożyjemy jutra. *(Krzyczy)*: Co zrobiłeś, ona zginie z nami... Słyszysz – ona. Nie obronisz jej... Mówią, że górale pretendenta nie oszczędzają nawet kobiet, nawet dzieci... i więcej jeszcze... I jeśli ona zginie... Jakże możesz walczyć z taką myślą?.. Ona zginie dziś jeszcze, słyszysz?

STAIRS:

Niech umrze, niech niczyją nie będzie, jeśli moją nie była. Nie chcę ani ciebie, ani Tircisa po mnie... ani nikogo. Nie miałbym spokoju w grobie, jeśli umarli wiedzą i czują.

HAMILTON:

Nie warto żadnemu człowiekowi zajrzeć do głębi serca, nawet tobie nie. Po dniu dzisiejszym lepiej dla nas będzie, że nie spotkamy się więcej.

STAIRS:

Jak chcesz, nie zapłaczę przy rozstaniu, i ty także nie.

HAMILTON *(drżącym głosem)*:
Kto wie, mój bracie ślubny, byłeś mi niegdyś wzorem męża i rycerza.
(Wbiega Klelia).

KLELIA *(rzucając się ku Stairsowi)*:
O, Stairs, nareszcie cię znalazłam.

STAIRS:
Nie wiedziałem, że głupota jest zaraźliwa. Po coś przyszła, wracaj do zamku. *(Odgłos strzału. Klelia wydaje lekki okrzyk i tuli się do Stairsa).* Widzisz do czego to podobne, przecież bitwa, tamta przynajmniej nie krzyczy... Puść mnie, Klelio, czekają na mnie.

HAMILTON:
Na Boga, pani, wróć do zamku.

KLELIA:
Nie chcę, nie chcę, nie chcę. Zostanę tutaj z tobą. Nie opuszczaj mnie.

HAMILTON:
Musisz odprowadzić ją do zamku.

STAIRS:
Nigdy, czy nie słyszysz, że bitwa już się rozpoczęła?

HAMILTON:
A co z nią będzie?

STAIRS:
Nie wiem. Klelio, bądź rozsądna *(całuje ją)*. Wróć.

KLELIA:
Pozwól mi zostać, błagam cię, gdybyś wiedział... Nie będę ci przeszkadzała, stanę tylko przy tobie bliziutko.

STAIRS:
Na śmierć się narażasz. Idź sobie, natychmiast.

KLELIA *(wybuchając płaczem)*:
Nie męcz mnie. *(Po chwili)*: A ty Hamiltonie?

HAMILTON:
O pani, gdybym mógł ci towarzyszyć, ale obowiązek...

STAIRS:
Tak, idź sama, w lesie ci nic nie grozi. *(Klelia odchodzi).* Czekaj, pocałuj przedtem Hamiltona.

KLELIA:
Jego!

HAMILTON *(zmieszany)*:
Stairs przyrzekł mi żartem, że mnie pocałujesz na pożegnanie.

KLELIA:
I ty także... nie.

STAIRS:
Jeśli ja pozwalam.

KLELIA:
Co mnie twoje pozwolenie obchodzi. Od mojej woli zależy, kogo całować będę.
(Nowy odgłos strzału, Klelia kryje twarz na ramieniu Stairsa).

STAIRS:
Przekleństwo! Już odchodziła.

HAMILTON *(klękając)*:
Gniewasz się na mnie, Klelio? Stairs żartował tylko, wiem o tym, i ja nigdy nie ośmieliłbym się żądać pocałunku od ciebie... Pozwól mi dłoń swą ucałować.
(Strzał. Hamilton pada na ziemię, Klelia odskakuje gwałtownie).

STAIRS:
Nareszcie *(wybiega w kierunku strzału).*

KLELIA *(stoi chwilę nieruchomo, potem skrada się ostrożnie ku rannemu, staje, nachyla się, szeptem)*:
Hamiltonie. *(Wstrząsa się na odgłos strzału, głośniej)*: Ewandrze! *(Dobiega do Hamiltona i klęka przy nim)*: Jesteś ranny?

HAMILTON:
Umieram.

KLELIA *(szeptem)*:
Nigdy nie widziałam śmierci. *(Spostrzegając, co powiedziała).* Umierają ludzie starzy, z siwym włosem. Młodszy jesteś ode mnie, dzieckiem prawie. *(Wybucha płaczem).* Nie, nie, nie...

HAMILTON:
Nie płacz, przecież umieram dla dobrej sprawy.

KLELIA:
Puść mnie. Pobiegnę do zamku po pomoc. To śmierć? Parę kropli krwi wysączyło się na ubranie. O... *(Wyciera powalane krwią ręce gwałtownie o trawę).*

HAMILTON:
Przez litość, pani, ukryj swój wstręt choć przez chwilę jeszcze, wiem, że jestem rzeczą obrzydliwości pełną.
(Klelia nachyla się i całuje go w usta).

HAMILTON *(szeptem)*:
Zostań przy mnie, nie odchodź, daj mi na mgnienie oka szczęście na ziemi... Zapomnę przy tobie, że umrzeć muszę... Będę młodym i pięknym, i ukochanym twoim, najszczęśliwszym, wybranym spośród tysiąca – przez godzinę, a później...

KLELIA:
Wszystko jedno, co później będzie. Kocham ciebie.

HAMILTON:
Dziękuję.

KLELIA:
Czy jesteś szczęśliwy?

HAMILTON *(zdziwiony)*:
Nie... Pocałuj mnie, Klelio.
(Klelia całuje go).

HAMILTON *(odwracając twarz)*:
Dziwne, nie cieszą mnie już twoje pocałunki. Przed chwilą dotknięcie twych warg było wniebowzięciem, a teraz... *(żartem)*. To może dlatego, że mam w sercu głębszą ranę niż ta, którą mi oczy Klelii zadały. Zbyt daleką jesteś teraz dla mnie.
(Klelia siada i kładzie głowę Hamiltona na swoje kolana).

HAMILTON:
Ostrożnie, krew moja splami twoją suknię, Klelio.

KLELIA:
Dobrze tak?

HAMILTON:
Nie jesteś mi bliższa! Bo ty jutro żyć będziesz, a ja będę leżał tu, pod tą puszystą trawą, pod brzozami samotny... Oczy mgłą mi zachodzą, jak przez cieniutką zasłonę widzę twarz twoją, Klelio, widzą ją przez kościste palce śmierci. I powoli, powoli odsuwam się coraz dalej od ciebie, coraz dalej. *(Klelia chce go całować)*. Nie całuj mnie, schowaj te pocałunki dla żywych. Patrz, te oczy, które ty chcesz całować, już jutro ziemia zasypie, te wargi robak toczyć będzie, już jutro, rozumiesz, już jutro, tak prędko... Jedna noc, jedna krótka noc, która nic nie znaczy w życiu żywych.

KLELIA *(z rozpaczą)*:
Gdybym ci pomóc mogła!...

HAMILTON:
Czym mi pomożesz? Pocałunkami, płaczem, słowami... Nienawidzę słów, oni mi życie ukradli słowami... Honor, ojczyzna, obowiązek, wszystko słowa, tylko życie i śmierć... I ja umrę, ja. Ratuj mnie, ja żyć muszę, gdy ty mnie kochasz.

KLELIA:
Nie kochałabym cię, gdybyś mógł żyć jutro.

HAMILTON:
Nie dbam o twoją miłość, niech żyję tylko, niech będę znów młody i silny, jak przed godziną. *(szeptem)* Idź, idź do zamku, niech przyjdą po mnie. Można poddać zamek i uratować mnie, i jutro, jutro słońce wzejdzie i dla mnie, o Klelio.
(Klelia kładzie głowę jego na trawę i chce wstać).

HAMILTON *(niewyraźnie)*:
Pocałuj mnie jeszcze raz.

KLELIA *(całuje go, klęcząc)*:
Jakie ty masz zimne usta, Ewandrze.

CZĘŚĆ II

Ta sama łąka, co poprzednio. Przy nakrytym stole siedzą: Prezes ministrów, Filemon, Damon i Tircis. Piją wino. Jest późna godzina popołudniowa, ale jeszcze jasno.

FILEMON:
Żałuję niewymownie, że wasza dostojność nie uprzedziła mnie o swoim przyjeździe, mógłbym wtedy wystąpić z przyjęciem godniejszym...

PREZES:
Nie usprawiedliwiaj się, proszę. Obiad był doskonały, niezwykły, zachwycający.

FILEMON:
O wasza dostojność! Takie proste potrawy!

PREZES:
Właśnie pole popisu dla artysty. Wielka sztuka objawia się przede wszystkim w prostocie. Wiedz mój drogi, dobra kuchnia jest jak piękna pani, najlepiej możemy ocenić jej wdzięki, gdy spotykamy ją przypadkiem w negliżu, z rozrzuconym włosem, bez muszek i różu...

TIRCIS:
Wasza dostojność ma na myśli pannę Klelię?

PREZES:
Prawie.

FILEMON *(uradowany)*:
Więc naprawdę, naprawdę, obiad podobał się waszej dostojności, a ja, prawie wierzyć mi się nie chce, prezes ministrów, którego kuchnia cieszy się prawie wszechświatową sławą...

PREZES:
Dawniej, dawniej! Obecnie już od roku smutnie zaniedbana. Sprawy publiczne stanowczo mi za dużo czasu zajmują. Choćby i teraz: chciałbym dokładniej zbadać wytworny wdzięk tego pasztetu, a tymczasem muszę, korzystając z nieobecności pań, których uszu nie mogłem długo obrażać nieprzyzwoitą rozmową o polityce, spytać cię po raz wtóry, czy przyjmujesz mandat poselski. *(Filemon milczy).* Odpowiadaj:
tak czy nie?

FILEMON:
A więc nie, wasza dostojność, wydatki na wybory mnie zrujnują.

TIRCIS:
Ech! W parlamencie odbijesz sobie wszystkie koszta.

FILEMON:
Dla Boga! Pagecie, za dużo sobie pozwalasz. Nie umiem kraść i do kupienia także nie jestem.

TIRCIS:
A ba! Przekupywałem nie takich, jak ty.

FILEMON:
Masz się czym chwalić.

PREZES:
Uspokój się, Raleighu, przecież to żarty.

DAMON:
Żarty, rzeczywiście! Paget mówił dość poważnie, a wasza dostojność wie doskonale, ile kosztuje głos członka parlamentu.

PREZES *(niedbale)*:
Doprawdy nie wiem. Wszystkie sprawy tego rodzaju załatwia Paget. Zresztą cena zależna jest od osoby, ilości zawodowych graczy w mieście i wyniku ostatecznych wyścigów.

DAMON:
Nie rozumiem, jak można żartować z tych bezeceństw.

PREZES:
O, bezeceństw zaraz! Co za przesada! Nasi przodkowie posyłali swoich przeciwników politycznych na rusztowanie, my ich przekupujemy, jest to w każdym razie postęp.

DAMON:
Wasza dostojność ma rację, ale bądź co bądź, nasza izba gmin – to zgraja łotrów, godnych szubienicy. W bezwstydny sposób rozdrapują skarb państwa.

PREZES *(ironicznie)*:
Hm! Nie każdemu udało się urodzić najstarszym synem swego ojca i zasiąść w izbie lordów.

DAMON:
Jedna warta drugiej.

PREZES:
Stanowczo nie. Lordowie po większej części są za bogaci, żeby można ich było przekupić... Pieniędzmi przynajmniej.

DAMON:
A to różnica! Do diabła z takim parlamentem!

TIRCIS *(zatykając sobie uszy)*:
Zdrada stanu. Plwa na palladium naszej wolności.

DAMON:
Wolność... Psa na obroży, konia przy pełnym żłobie.

PREZES:
Dosyć. *(Do Damona)*:
Wasza dostojność jest w złym humorze. Trudno. I objawia ten zły humor niezbyt dowcipnie... Trudno. I tak wiadomo, że to zwykle młodsi synowie dziedziczą rozum całej rodziny.

TIRCIS:
Stairs nie ma młodszego rodzeństwa.

PREZES:
Może nie było nic do odziedziczenia.

DAMON:
Szanuję siwe włosy waszej dostojności i wysokie stanowisko, ale nikomu nie pozwolę natrząsać się z mego rodu.

PREZES:
Co, pojedynek? Za starym na to i synów nie mam. Ale może Paget mnie zastąpi.

DAMON *(z nieopisaną pogardą)*:
O, Tircis wie dobrze, że się z nim bić nie będę.

TIRCIS *(zuchwale)*:
A to czemu?

DAMON:
Bo... *(urywa i kończy inaczej)*. Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

FILEMON *(zdziwiony)*:
Od kiedy?

DAMON *(niecierpliwie)*:
Od wczoraj, od dziś, od tej chwili, czy ja wiem zresztą...

PREZES:
Dosyć kłótni! Więc koszta cię odstraszają, Raleighu? A gdybym ja zobowiązał się je ponieść?

FILEMON:
To jest... nie wiem. Damon mi tak odradzał. I rzeczywiście, jakiż tam ze mnie polityk... Nigdym o takie rzeczy nie dbał... I... Dlaczego waszej dostojności właściwie na mnie zależy?

PREZES:
Pozycja nasza w parlamencie jest zachwiana, musimy wytężyć wszystkie siły, a ty jesteś jedynym posłem naszego stronnictwa, który mógłby przejść w sąsiednim miasteczku.

FILEMON:
Nie rozumiem.

PREZES:

Doprawdy. Czy to szczere... W takim razie winszuję *(z ironicznym naciskiem)* młodości *(po chwili wahania)* i niewinności.

TIRCIS *(półgłosem)*:

Filemon.

PREZES:

Prawda, jak to imię pasuje do ciebie:
niewinny, prosty, wiecznie młody. Tak, mój drogi, sielanka, w którą się bawiłeś, stała ci się rzeczywistością i teraz zrozumieć już nie możesz krętych dróg naszego starego świata.

DAMON *(zły)*:

Przyznam się, że także nie rozumiem tych zawiłych zagadek, nie rozumiem, choćby mnie wasza dostojność po raz drugi miała nazwać osłem.

PREZES:

A więc, moim zdaniem, nikt nie odmówi głosu *(z ironią)* bohaterowi.

DAMON *(wzruszając ramionami)*:

Raleigh?

PREZES:

Jak to, czyż nie widzisz wieńca z liści bobkowych na czole Raleigha, czyż nie bronił bohatersko ojczyzny i króla? Nie wahał się złożyć w ofierze wolności życia i mienia, walczył jak Leonidas pod Termopilami, z nawałą wrogów, własną piersią zasłonił Anglię przed najazdem Stuarta... O moje dzieci, jak to wszystko pięknie brzmieć będzie w odezwach wyborczych.

DAMON:

Może, w ustach waszej dostojności brzmi nie pięknie.

PREZES:

Znaczy się, że i ja muszę koniecznie zachwycać się, no powiedzmy otwarcie, głupstwem, któreście popełnić raczyli.

DAMON:
Zadziwiające, im dłużej mówię z waszą dostojnością, tym mniej ją rozumiem... Postąpiliśmy, jak nam honor i obowiązek nakazywały. Waszej dostojności to może obojętne, kto zasiada na tronie Anglii.

PREZES:
O, wtedy nie groziła nam już zmiana dynastii, książę wracał rozbity... Zresztą stary pretendent nie jest na pewno ani głupszy, ani nudniejszy od miłościwie nam panującego króla Jerzego III... I dużo więcej jego kochanki także by nas nie kosztowały.

DAMON *(ironicznie)*:
Ale wasza dostojność nie byłaby prezesem ministrów, gdyby Stuart nam panował.

PREZES:
Kto wie, nauczony smutnym doświadczeniem swych przodków pozostawiłby może rządy parlamentowi, a w takim razie...

DAMON:
A ba! Miałby przecież cały szereg wiernych stronników, ludzi, którzy go na tron wynieśli. Ich musiałby forytować na urzędy.

PREZES:
Sądzisz? Wam również nie ofiarował król Jerzy III nic prócz przyjaźni, wdzięczności i innych uczuć względnej wartości... Tak, mój kochany, nikt nie płaci w polityce długów, a już najmniej długów wdzięczności.

DAMON:
Widzę to.

PREZES:
Ach! Więc stąd to święte oburzenie na izbę gmin, na parlament, na rząd, na mnie... Biedny Stairs, nie oceniono twych zasług. Spróbujemy jednak znieść twój gniew, panie, a ty oswój się z myślą, że twoje bohaterskie wystąpienie w roku zeszłym nie przyniesie ci nic, absolutnie nic.

DAMON:
Bardzo mało mnie to obchodzi.

PREZES:
Doprawdy? *(Uśmiecha się).* Kwaśne winogrona. *(Wyciąga rękę po butelkę i nalewa sobie wina do kieliszka).*
(Od kilku minut Baucis stoi w głębi sceny. Tircis ją spostrzega).

TIRCIS *(na stronie do Damona)*:
Baucis kiwa na ciebie.

DAMON:
To i ciebie tyczyć się może. Idź spytaj się, czego chce.
(Tircis wstaje i podchodzi do Baucis).

PREZES *(pijąc wino do Damona)*:
A teraz pozwól, że poczytam w twoich myślach:
gniewa cię niewymownie, że z całej przygody skorzysta jedynie Raleigh, który był właściwie tylko powolnym narzędziem w twoich rękach. No co, zgadłem?

DAMON:
Użyczam Raleighowi wszystko...

PREZES:
Więc czemu odradzasz mu, żeby kandydował na posła, wiesz dobrze, że wszyscy na niego głosować będą, nawet najzagorzalsi zwolennicy króla zza morza, ci przede wszystkim. Aj, zazdrość, zazdrość!

DAMON:
Gniewał mnie naturalnie brak wszelkiego uznania dla moich zasług, ale co do Raleigha, to przysięgam, że nie miałem żadnej złej myśli...

TIRCIS *(wracając, do Damona)*:
Koniecznie chce z tobą mówić.
DAMON *(przez zęby)*: Cierpliwości mi do baby nie staje.

PREZES *(spostrzegając Baucis, do Damona)*:
Ale idźże do pani Raleigh. Któż pozwala paniom czekać?... Tym bardziej, że rozmowa skończona. *(Do Filemona)*: Do wieczora daję ci czas do namysłu.
(Damon wstaje i niechętnie zbliża się do Baucis, która idzie kilka kroków na jego spotkanie).

PREZES *(do Filemona, ciągnie dalej)*:
A tymczasem czas najwyższy zmienić gatunek wina. Wypiłem już trzy kieliszki, a po drugim język bezwarunkowo staje się niewrażliwy na smak i zapach.
(Filemon nalewa mu wina. Prezes ogląda je pod światło, wącha, kosztuje, wreszcie uśmiecha się i kiwa głową na znak zadowolenia).

BAUCIS *(do Damona)*:
Jak sprawa stoi?

DAMON *(ironicznie)*:
Winszuję. Zaszczycisz Londyn swoją obecnością.

BAUCIS *(z zachwytem)*:
Ach! A ja naprawdę myślałam, że to koniec mego życia, że już nigdy więcej... *(do Damona, miękko)*: Dziękuję ci, Damonie.

DAMON *(szorstko)*:
Nie ma za co. Byłem przeciwny. Wystrychniecie tylko Filemona na dudka. *(Chce odejść).*

PREZES *(do Filemona)*:
Doskonałe wino. Namyślasz się?

FILEMON *(do prezesa)*:
Po trochu. *(Wskazując Baucis)*: Łeb mi udrze, jeśli nie pojedziemy do stolicy.

PREZES:
W takim razie sprawa moja jest w pewnych rękach i dlatego nie powiem ani słowa więcej. *(Pije).*

BAUCIS *(do Damona)*:
Czekaj. Nie boisz się chyba rozmowy ze mną wobec tylu świadków.

DAMON:
Nie obawiam się pani nawet wtedy, gdy jesteśmy sam na sam.

BAUCIS:
Wiem, jesteś nie do zdobycia, za to Klelia...

DAMON:
Ani słowa o niej.

FILEMON *(do prezesa)*:
Jeszcze wina?

PREZES:
Nie, dziękuję, nie pijam tyle, zresztą chłodno. *(Wstaje).* Wróćmy do zamku.
(Filemon wstaje również, obaj wychodzą, przy stole pozostaje Tircis).

BAUCIS *(do Damona)*:
I co ty widzisz w tej wielkiej lalce, wypchanej trocinami? Klelia i Klelia... Każdy, kto zechce, będzie miał Klelię.

DAMON:
Przesadzasz w swojej złości. Mógłbym uwierzyć, że Klelia kocha innego, nawet, że mnie zdradza, ale nigdy, że jest do pani podobna.

BAUCIS:
A uwierzysz, że tu za godzinę, za pół może, Klelia zejdzie się z Tircisem?

DAMON:
Nie.

BAUCIS:
A jednak to prawda *(Damon chce odejść, Baucis chwyta go za rękę i szepce)*: Przekonaj się. *(Wybiega).*

DAMON *(podchodząc do stołu, do Tircisa)*:
Odeszli, a ty?

TIRCIS:
Zostanę jeszcze chwilkę, piękny wieczór.

DAMON:
Tak... Idziesz?

TIRCIS:
Powiedziałem już raz, że zostaję.

DAMON:
Czy oczekujesz tu kogo?

TIRCIS:
Może.

DAMON *(natarczywie)*:
Kogo?

TIRCIS *(wzruszając ramionami)*:
Co to ciebie obchodzi?

DAMON:
Rzeczywiście. Hm! Ale ciekawość...

TIRCIS:
No, to pokojówkę Klelii.

DAMON:
Że też mi ona na myśl nie przyszła. Ładna dziewczyna.

TIRCIS:
He, he, wystarczy jak na pobyt na wsi. Dobranoc.

DAMON:
Rozumiem, nie mam przeszkadzać. Dobrej nocy życzę. *(Wychodzi). (Tircis siada, pogwizduje z lekka, pije wino, przechadza się po łące, wreszcie zaczyna zdradzać silne zniecierpliwienie. Wchodzi Klelia).*

TIRCIS:
Nareszcie. Czekam cię od godziny.

KLELIA:
Powiedziałam: przyjdę, gdy księżyc będzie stał nad borem.

TIRCIS:
Więc gdyby noc była chmurna?

KLELIA:
Nie przyszłabym wcale.

TIRCIS:
Gniewasz się na mnie? Za co? Czyż nie jestem twym najwierniejszym, najpokorniejszym sługą? Skiń, a serce rzucę ci pod stopy, byś bosą nóżką nie dotknęła ziemi... Jedno drgnienie twych powiek, a...

KLELIA:
Milcz.

TIRCIS:
Pani, czym na gniew twój zasłużyłem?

KLELIA *(przeciągając ręką po czole)*:
Mam prośbę do ciebie.

TIRCIS *(klękając)*:
Pozwól, że ją na klęczkach wysłucham.

KLELIA:
Dość błazeństw, wstań! *(tupiąc nogą)*:
No, natychmiast, bo odejdę.

TIRCIS *(wstając)*:
Nie odejdziesz. Miłość wstrzyma twoje kroki, zostaniesz przy mnie...Klelio.

KLELIA:
Więc ja cię kocham. Nie wiedziałam o tym. Dotknij się rąk moich, patrz, jakie chłodne, połóż dłoń na moim sercu, czujesz, jak bije spokojnie? Czy tak rozmawia kochanka z kochankiem?

TIRCIS:
Zapomniałaś...

KLELIA:
Nigdy cię nie pamiętam. A i ty... Przyznaj, gdy byłeś w Londynie, ani jeden włos z twojej głowy nie myślał o mnie.

TIRCIS:
Przysięgam...

KLELIA:

Cicho, daj mi mówić. Nie chcę, żebyś patrzył na mnie z uśmiechem, z takim uśmiechem... Nie jestem twoją własnością, Bogu dzięki... I te półsłówka, te lekko ściągnięte usta... Nawet Filemon i Damon coś podejrzewają. Nie boję się ich, ale jedna chwila zapomnienia nie może mi być kulą u nogi przez całe życie... chcę, żebyś o niej zapomniał także, słyszysz?

TIRCIS:

Żądasz niemożliwości, Klelio. Wspomnienie tej słodkiej chwili, którą spędziliśmy razem, ognistymi zgłoskami jest wyryte w moim sercu.

KLELIA:

Wyślizgujesz mi się z rąk jak węgorz. Czego żądasz za swoje milczenie, mów wyraźnie. *(Tircis milczy).* Naznacz cenę, zapłacę każdą, byle raz skończyć z tobą. Masz podobno długi.

TIRCIS:

Ty, piękna pani, możesz mi zamknąć usta tylko pocałunkiem.

KLELIA:

Nigdy!

TIRCIS:

Toś mi także powiedziała raz... Przedtem.
(Klelia łamie wachlarz i rzuca go na ziemię. Chwila milczenia).

KLELIA *(zduszonym głosem)*:

Mów, bij mnie słowami, znieważaj mnie, nikczemny. Gdzie sumienie twoje?... O ty, wytarte czoło, o ty, bezwstydne lokajskie oczy! Duszę się od niewypowiedzianych słów, od tej całej pogardy, którą mam dla ciebie.

TIRCIS:

Za co? Skrzywdziłem cię może. Hę? O dla Boga, krzyczysz tak, jak gdybym cię był przynajmniej zgwałcił.

KLELIA:

A podły! Skorzystałeś z tego, że byłam na wpół oszalała ze strachu.

TIRCIS:
Głupi kto z okazji nie korzysta. Myślisz, że żałuję. Ani trochę. Nie dbam o twoje krzyki. Ja się nie boję wyrzutów sumienia, raz jeden w życiu tylko miałem, bo...

KLELIA *(zainteresowana)*:
Bo?

TIRCIS:
To bydle Wharton mnie namówił... I... *(przeciąga palcem po szyi)*. Mniejsza o to. Słuchaj, Klelio, szkoda czasu, pomówmy rozsądnie. Rozumiem, żeś mi się niegdyś opierała... Ce n'est que le premier pas, qui coute, ale teraz... Tym bardziej, że przysięgam milczeć do grobu, ani jednym spojrzeniem nie zdradzę...

KLELIA:
Twe ostatnie słowo?

TIRCIS:
Tak.

KLELIA:
A więc żegnaj.

TIRCIS:
Zostań. *(Po chwili, niepewnie)*:
Czy naprawdę uważasz za grzech...

KLELIA:
Grzech albo nie grzech. *(Wzrusza ramionami)*. Och!

TIRCIS:
Boisz się Damona.

KLELIA:
Ani trochę.

TIRCIS:
Więc dlaczego nie?

KLELIA:

Dlatego. *(Po chwili).* Wierzę, że chciałbyś urozmaicić pobyt na wsi, ale ja?... Co mi twoja miłość dać może po tej wstrząsającej chwili na wieży... Ty mnie uwiodłeś? Kłamiesz... Ja sama chciałam poznać miłość przed śmiercią. O, wtedy wszystko się złączyło: i strach głęboki w moim sercu, i pierwszy raz, i grzech okropny, bo to było więcej niż prostą zdradą w chwili, gdy on walczył za mnie, i daleki dźwięk wystrzałów, i zachodzące słońce, i śmierć... O, nie daruję ci nigdy, że przez ciebie tak od razu przyszło do mnie wszystko, co mi życie dać mogło, i więcej jeszcze, i nie pozostało nic, nic, nic... *(Urywa).* Gdybym wiedziała, że mi to ulgę przyniesie, poszłabym zabijać na drogach, ale śmierć jest obrzydliwa.

TIRCIS:

Masz rację, gra nie warta świeczki. *(Po chwili):*
Skrzywdziłem cię, Klelio, i przepraszam. *(Wyciąga do niej rękę).*

KLELIA *(usuwając swoją):*

Gdybyś mnie był przynajmniej kochał.

TIRCIS:

Prawda, nie kochałem cię, tylko widzisz, bałem się Damona, jego jednego na całym świecie, i teraz go się boję... Czasami mam zimne ręce ze strachu na jego widok... Tak jak z Whartonem...

KLELIA:

Przecież umarł już.

TIRCIS:

Póki żył naturalnie... On dużo pił, może także ze strachu, a może z wyrzutów sumienia... Słabego serca był człowiek ... Nie opuszczałem ani jednej pijatyki, nie odwracałem zeń wzroku, patrzyłem mu na usta... Zdawało mi się, że gdy spuszczę go z oczu, stanie się coś okropnego. O, byłbym go zabił, gdyby słówko pisnął, jak wisieć, to wisieć... Ale nie mogłem ciągle być z nim razem i wtedy czułem, za każdym razem czułem, że on właśnie w tej chwili donosi na mnie, by własną szyję ocalić. Noc po nocy tak. Dęba mi włosy stawały, i modliłem się, wyobraź sobie, ja się modliłem żarliwie i gorąco o zmiłowanie.

KLELIA:

Uszczęśliwiła cię wiadomość o jego śmierci, co?

TIRCIS:
Przez chwilę. Bo teraz brak mi czegoś do życia, jestem śmiesznie pewny Damona, chyba...

KLELIA:
Powiem mu wszystko. Zdradę stanu popełniłeś, znosiłeś się z pretendentem... Wyrwą ci trzewia przed egzekucją i spalą w twoich oczach, jak tym oficerom, którzy przeszli na stronę Stuarta. I ja pójdę patrzeć na to, zabawię się, uspokoję, rozerwę.

TIRCIS:
Nie ciesz się zbytnio, moje serce, zwyczajna zbrodnia, najzwyczajniejsza, nic nad szubienicę. A co do Damona, to pozwól, że nie uwierzę nigdy...

KLELIA:
Tak? Chciałam mu już dawno wyznać wszystko i nie strach mnie wstrzymał, i nie wstyd, ale tak nie zgadało się.

TIRCIS:
Kłamiesz.

KLELIA:
Idę do Damona *(Postępuje kilka kroków w głąb sceny, nagle zza drzewa wychodzi Damon, Klelia przerażona)*: Ach!

DAMON:
Ty suko!

KLELIA:
Szukałeś sobie chyba kochanek na bruku Londynu, tylko dziewki uliczne mogły cię nauczyć słów...

DAMON *(trzęsąc nią)*:
Powiedz ty, bezwstydnico...

KLELIA:
Puść mnie. *(Zrywa pierścionek z palca)*. Masz, oto wszystko, co twoje. Puść mnie, słyszysz, nie masz prawa dotykać mnie teraz.

DAMON:
Ja??

KLELIA:
Tak, ty. Jestem wolna. A teraz żegnam, nie przystoi mi rozmawiać z panem sam na sam tutaj.

DAMON:
Mamy świadka. Stój, ani kroku, pomówimy jeszcze ze sobą, tylko naprzód się z nim rozprawię. Dalej! *(Wyciąga szpadę).*

TIRCIS:
Tak rozumiem. Od tego trzeba było zacząć, a nie od obrażania Klelii.

KLELIA (tupiąc nogą):
Nie chcę, żebyście się bili, nie chcę. Schowajcie szpady.

TIRCIS:
O pani, wybacz, że raz jeden rozkazu twego nie usłucham.

KLELIA:
Damonie, przecież grozi mu szubienica.

DAMON:
Zapomniałem *(Chowa szpadę).* Nie, z tobą bić się nie mogę.

TIRCIS:
A Klelio, jak to będzie z moją egzekucją, kiedy nawet na pojedynek patrzeć nie chcesz. Albo może kochasz Damona.

KLELIA:
Ani jego, ani ciebie i jest mi obojętne, co się z wami stanie, z tobą szczególniej. Ale może by mi była nieprzyjemna myśl, że jeden z was zginął przeze mnie i popłynęłaby krew na trawę i poplamiła moje białe pantofelki, a ja na pewno żałowałabym moich białych pantofelków.

TIRCIS:
Śmiać mi się chce, trzęsiesz się cała ze strachu.

KLELIA:
Odejdź, nie mogę dłużej patrzeć na ciebie. Boże! Jak ja ciebie nienawidzę... Damonie, powiedz mu, że go wydasz, jeśli nie odejdzie.

DAMON:
Odejdź.

TIRCIS *(Przyśpiewując)*:
Tralala.

DAMON *(do Tircisa)*:
Ty, strzeż się, i moja cierpliwość ma granice. Nie zapominaj, że ta szubienica już stoi, na której ty wisieć będziesz.
(Tircis wzrusza ramionami).

DAMON:
Odejdź, bo cię oskarżę.

TIRCIS:
Nie masz dowodów, ani świadków.

DAMON:
A list Whartona, pisany przed śmiercią? Zresztą znajdą się jeszcze ludzie w Londynie, którzy widzieli was z tą dziewczyną w noc zbrodni. Raz.

TIRCIS:
Więc to nie żarty?

DAMON:
Dwa.

TIRCIS:
Rozgłoszę, że byłem kochankiem Klelii, i co mi zrobisz.

DAMON:
Nikt ci nie uwierzy... Trzy.

TIRCIS:
Idę już. *(Posyła całusa od ust Klelii, która odwraca się gniewnie i wychodzi).*

KLELIA:
Koniec. Jak prędko i jak dziwnie. Przez trzy lata byłam twoją narzeczoną, a teraz jesteś mi obcy... *(urywa)*. Ach! Dobrze tak. *(Damon milczy)*. Nie odpowiadasz, gniewasz się może? Mój Damonie,

pożegnaj mnie z lekkim sercem, jak ja ciebie żegnam. A jeśli sprawiłam ci przykrość...

DAMON:

Ostrożnie dobierasz słowa. Przykrość mi sprawiła. O Boże! Czy ty naprawdę nic nie widzisz i nie czujesz? Serce wyrwałaś mi z piersi i podeptałaś, życie mi złamałaś... I za co? Czym cię skrzywdziłem, żebyś tak... I teraz wyciągasz rękę i mówisz spokojnie: koniec. *(Z wściekłością)*: Pokaż twarz, pewno się uśmiechasz. *(Podnosi jej głowę)*. Nie. *(Odwracając się, cicho)*:
A ja żyć bez ciebie nie mogę.

KLELIA:

Przesadzasz, fatalnie przesadzasz... Nie przeczę, że ci teraz może bardzo nieprzyjemnie, ale przejdą dwa lata, dwa lata, mówię, bo ty jesteś bardzo stałego i wiernego serca, i śmiać się będziesz z dzisiejszego wieczoru, ze mnie i z siebie... w objęciach innej. Bądź zdrów.

DAMON *(chwytając ją za rękę)*:

Zostań, nie spiesz się tak do niego. O, dobraliście się w korcu maku: zbrodniarz i rozpustnica.

KLELIA *(gniewnie)*:

Puść mnie, nie masz prawa mówić do mnie...

DAMON:

Kiedy go chcesz poślubić? Jutro, dziś, za godzinę, w tej chwili? Miarkuj swoją niecierpliwość, choćby ze względu na mnie.

KLELIA:

Ach, boli! Nie ściskaj mi tak ręki i daj mi spokój z tym obmierzłym Tircisem... Rada jestem, że go nie ujrzę więcej.

DAMON:

Więc kogo ty właściwie kochasz?

KLELIA:

Może tego, który nie żyje, bo to takie długie i ciężkie słowa: nigdy więcej.

DAMON:
Nie wierzę ci. *(Po chwili)*: I tak bez miłości oddałaś się Tircisowi? Z rozpusty chyba... czemu to zrobiłaś, słyszysz? Spójrz mi w oczy... Nie żałujesz ani trochę, nic?...

KLELIA:
Co to ciebie obchodzi.

DAMON:
A gdybym ja cię zabił?

KLELIA:
Nie masz prawa.

DAMON:
Ale jesteśmy sami, nikt ci z pomocą nie pośpieszy, nikt. Jedno uderzenie szpady... Mógłbym ścisnąć w ręku tę białą szyję.

KLELIA *(blednąc do ust)*:
Ty mnie nie zabijesz.

DAMON:
Nie... Żyć bez ciebie nie mogę, a ja jednak chcę żyć... O upodlenie! Pogardzałem niegdyś pijakami, a gorszy jestem od nich... I dlaczego on, tylu ich było, on, ten najpodlejszy, z którym mi się nawet bić nie wolno, bo hańbą jest skrzyżować z nim szpadę. Ach ty! Coś w nim widziała, żeby aż...

KLELIA:
Dosyć!... To się wszystko zrobiło tak jakoś i więcej śmiechu niż gniewu warte.

DAMON:
I co teraz będzie?

KLELIA:
Rozjedziemy się naturalnie.

DAMON:
Nie... Zabiję go, wyzwę na pojedynek i zabiję. Nikt nie wie, oprócz mnie, że Paget popełnił morderstwo, więc pojedynek z nim nie rzuci plamy na mój honor.

KLELIA:
Bardzo mało mnie obchodzą twoje porachunki z Tircisem.

DAMON:
Sądzisz? Gdy go zabiję, będziesz znowu moją narzeczoną. Ja zapomnę, ty także... *(Urywa, twardo)*:
Już ja przypilnuję, żebyś mnie po raz drugi nie zdradziła.

KLELIA:
Nie mam do tego najmniejszej ochoty.

DAMON:
Wolę odtąd polegać na swoich własnych oczach niż na twoich kaprysach. A teraz... *(Chce jej włożyć pierścionek).*

KLELIA:
Nie, nie, nie chcę... Księżyc zaczął jaśniej świecić, gdy go zdjęłam z palca... Naprawdę, Stairs. Teraz dopiero wiem, czemu byłam smutna w ostatnich czasach. Tylko ty i ten pierścionek, nic więcej... Świat mi cały zasłoniłeś... Patrz, mgły wstają z rzeki i ciągną na łąkę, słyszysz, drzewa szumią, ach! Nie trzeba mi ani kochanka, ani męża... chciałabym rozciągnąć się mgłą wieczorną na łące, chciałabym popłynąć światłem księżyca po wodzie... Jak mi lekko... Może mi skrzydła wyrosły, wielkie nietoperzowe skrzydła, i polecę na szczyt dębu...

DAMON:
Dość tych żartów!... Daj rękę.

KLELIA *(wybuchając płaczem)*:
Jakiś ty niegodziwy.

DAMON:
Nie wierzę twoim łzom, ale choćbyś płakała krwią, a nie łzami, nie ustąpię, nie pozwolę sobie życia łamać. Dalej, skończ tę komedię, Klelio, nie jesteś dzieckiem.

KLELIA *(ocierając ręką oczy)*:
Nie gniewaj się. *(Damon chce jej włożyć pierścionek na palec).* Choć dziś wieczorem nie, jutro, za dnia, mój Damonie, mój jedyny.

DAMON:

Dobrze. Nie chcę nawet, żebyś nosiła mój pierścień, póki tamten żyje, a do jutra... *(Namyśla się).* U diabła! Późno już, mało czasu, ale z Bożą pomocą uda mi się sprawę dziś zakończyć. Do widzenia. *(Całuje rękę Klelii i wychodzi).*

KLELIA *(sama):*

Chciałabym, żeby go Tircis zabił... Nie, i tego nie chcę. Trawa się jeszcze kołysze, tędy przeszedł, i ślad po jego pierścionku na moim palcu... Gniew, nienawiść, strach nawet... Nic już nie czuję. Czy ja naprawdę o takie życie drżałam?

(Księżyc zachodzi. Ciemność zalewa łąkę, w tej ciemności słychać głos, który mówi):

Niech żyje walka!
Oto nadszedł pokój,
Skrzydłami swymi zasłonił nam słońce,
Posypał szarym prochem nasze twarze,
Posypał szarym prochem nasze serca
I pajęczyną zasnute uczucia.
I nawet zapał młody i płonący
Błazeńską czapkę nosi.
Gdzieś tam w głębi
Zostało wszystko silne i potężne,
Choćby to było wielkim ukochaniem,
Choćby to było najstraszniejszą zbrodnią...
Lecz spójrz,
Na niebie łuna pożarów,
W ulicach płynie krew,
I walka wre gorąca,
I nagle zakwitło kwiatem
Wszystko, co było silne i potężne,
Choćby to było wielkim ukochaniem,
Choćby to było najstraszniejszą zbrodnią...
Przeklęty,
Kto w takiej chwili w głębi swego serca
Nic już nie znajdzie prócz słów!

Wielki król

Dramat w 3 aktach

OSOBY:

BASILEUS JUSTYNIAN, zwany Wielkim.
JUSTYN, syn Wigilancji, zarządca pałaców, jego siostrzeniec.
JUSTYN, syn Germanosa, jego synowiec.
SILENTARIUSZ PAWEŁ.
SERGIUSZ, dowódca straży patrycjusza Belizara.
ANTEMIUSZ.
MARCELLUS. Ze stronnictwa zielonych.
JOANNES.
PATRYCJUSZ BELIZAR.
PIOTR BARSYMES, prefekt Praetorio Wschodu.
PATRIARCHA.
KWESTOR KONSTANTY.
KOWAL.
DOWÓDCA KONWOJU.
ŻOŁNIERZ.
10 NIEBIESKICH.
EUDOKSJA, córka Justyna, syna Wigilancji.
ZOFIA, jego żona.
MATASWINTHA, wielkiego Teodoryka wnuka, wdowa po królu ostrogockim Witygesie i po Germanosie.
2 DZIEWCZYNY, sąsiadki kowala.
KOBIETA.
Tłum uliczny, służba dworska, dostojnicy, żołnierze.
Rzecz dzieje się w Bizancjum w r. 563.
Akt I – na polu pod miastem.
Akt II – na ulicy.
Akt III – w sali posiedzeń w pałacu.

AKT I

Pole w okolicach Bizancjum, jałowa równina pokryta głazami. Od dalekiego lasu, za który słońce zajdzie niedługo, aż do stojącego na wzgórku namiotu strażników leżą trupy. Oczywiście pobojowisko. Sergiusz, Marcellus i Joannes siedzą na trawie, przed namiotem, Antemiusz stoi koło nich. Podczas scen następnych na pobojowisku zbierają się ludzie, wchodząc na scenę zrazu pojedynczo, następnie grupami, są to zarówno na wpół uzbrojeni żołnierze, jak i tłum uliczny, okoliczni chłopi, a nawet kobiety. Jedni obdzierają poległych, kłócąc się zawzięcie o zdobycz i powracając obładowani łupem, inni przetrząsają krzaki, inni nareszcie oglądają trupy, szukając krewnych i przyjaciół. Niektórzy płaczą, większość jednak jest wesoła, słychać śmiech i gwar rozmów. Pojedyncze słowa do widzów nie dochodzą.

ANTEMIUSZ

(*śpiewa, a raczej mówi śpiewnie, bez melodii i rytmu*)
Pobiliśmy wrogów!
Przeszli jak szarańcza nad naszymi polami,
Jak chmura gradowa nad naszymi lasami,
Od kurzu stóp ich poczerniało oblicze nieba.
Pobiliśmy wrogów!
Ryczeli jak stado wołów w rzeźni,
Gdy miecze nasze ścinały im głowy,
Gdy konie nasze deptały ich ciała.
Pobiliśmy wrogów!
Krew ich rozlaliśmy szeroko jak morze,
Krwią napoili spragnioną ziemię,
Krwią zabarwili trawę jak wełnę.
Pobiliśmy wrogów!
Jak wiatr płowy rozsiewa po polu,
Tak my usialiśmy trupami równinę.

SERGIUSZ:

E, skrzeczysz jak żaba, milcz, jeśli nie umiesz weselej.

ANTEMIUSZ *(wzrusza ramionami).*

SERGIUSZ:
Pogadajmy lepiej... No, kto wam dobrze radził? Żeby cały obóz przeszukał, to nie znajdą.

JOANNES:
Dlaczego prefekt odbiera łupy... Będą rozdzielali sami, czy jak?

SERGIUSZ:
A kto wie, co znów mądrego wymyślono w wielkim pałacu. Zresztą niech dzielą, będziemy mieli więcej.

MARCELLUS:
Na św. Sergiusza! Przyda się. Widziałem u jednego Persa czwórkę koni... i w niebie chyba lepszych nie ma.

ANTEMIUSZ:
Drogie?

SERGIUSZ:
Gdzie mieszka ten Pers, Marcellusie? Czy nie w wąskiej ulicy, na prawo od Augustonu, w sąsiedztwie ładnej dziewki z niebieskimi oczyma?

MARCELLUS:
Znasz go?

SERGIUSZ:
I ją także, niestety. Kosztowała mnie dosyć, a.... *(krzywi się).* I na niej, i na jego koniach niedaleko zajedziesz, wywłoki...

ANTEMIUSZ:
Zaraz powiedziałem, że nic nie warte, kiedy się Marcellusowi spodobały. Dobrze by nasze stronnictwo wyglądało, gdyby...

SERGIUSZ:
Proszę was, nie przypominajcie mi ciągle cyrku. Sprzykrzyły mi się te bezustanne zwycięstwa. Nie patrzę teraz nawet na arenę, tak pewny jestem naszej wygranej.

ANTEMIUSZ:
Głupi ci uwierzy... Wina nie ma?

JOANNES:
Nie... Jużem się przed godziną pytał.

MARCELLUS:
Za to jutro będzie wszystkiego w bród, gdy odkopiemy nasze łupy...

SERGIUSZ:
Głośniej trochę, i dodaj zaraz, gdzieśmy je zakopali. Nie mamy nic, rozumiesz, nic.

MARCELLUS:
Dobrze, dobrze. Powiedz mi Sergiuszu, dlaczego w mieście wszyscy umierali ze strachu wczoraj?

ANTEMIUSZ:
Z nadmiaru odwagi.

MARCELLUS:
Nie przerywaj, daj mi chwalić Hunnów... Poczciwe stworzenia! Żaden nie śmiał bronić się nawet, szli jak barany pod nóż, doprawdy.

SERGIUSZ:
Moglibyśmy wybić ich co do nogi, gdyby te zawistne psy z pałacu nie były wstrzymały pogoni.

ANTEMIUSZ:
A szkoda... Spodobała mi się wojna.

SERGIUSZ:
Czy to wojna? Pomaszeruj, kochanku, czternaście godzin na skwarze, a później napij się na wieczerzę trochę błotnistej wody i przegryź zgniłym chlebem, przysłanym przez prefekta. Jego kochance właśnie pereł się zachciało, więc... *(robi ruch zagarniania pieniędzy)*. Zobaczyłbyś, jak wojna smakuje.

MARCELLUS:
Nie chwal się, i w stolicy mieliśmy cuchnący chleb z jego łaski...

SERGIUSZ:
Naprawdę? A to baba nienasycona.
(Zjawia się Paweł silentariusz. Antemiusz spostrzega go pierwszy).

ANTEMIUSZ *(półgłosem, a niechętnie)*:
Czemu przyszedł!
(Paweł silentariusz podchodzi do nich).

MARCELLUS:
Daj mu spokój, mało się tu hołoty włóczy?

ANTEMIUSZ:
Ale ci *(pokazuje pole)* ... Przynajmniej wiem, po co przyszli.

MARCELLUS:
Może i on chce się pożywić dzisiaj.
(Silentariusz Paweł uśmiecha się drwiąco i usuwa się od nich).

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(do Sergiusza)*:
Myślałem, że cię zastanę samego.

SERGIUSZ:
I chciałeś mnie rozerwać rozmową, dziękuję... Nie mam teraz cierpliwości do słuchania rozpaczliwych żalów nad upadkiem Rzymu. To dawniej było, kiedy ci jeszcze wierzyłem, ale teraz, po zwycięstwie, po moim zwycięstwie, bo ja zwyciężyłem, ja... Idź, spytaj się w obozie... Byłem.... prawą ręką wodza.

JOANNES:
Tak, to prawda.

SERGIUSZ:
Było nas trzystu żołnierzy rzymskich przeciwko tysiącom Hunnów i patrz *(wskazuje pobojowisko)*.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
A oni przyjdą tu, oni, i las za nimi *(po chwili)*. Wilki wyć będą na ulicach Bizancjum, między ruinami kościołów i pałaców, jak w miastach Galii, jak w Romie, jak wszędzie.

SERGIUSZ *(ironicznie)*:
Hm... tę nowinę przyniosłeś nam z miasta. Mógłbyś oszczędzić sobie trudu. *(Do sługi)*. Wina dawaj. *(Do Pawła)*. A ty wracaj skąd przyszedłeś i przepowiadaj dalej przyszłość takim bohaterom, jak ty, którzy się pod suknie kobiece schowali podczas bitwy. My się słów nie boimy.

MARCELLUS:
Nie, dla Boga! I wrogów także nie.

JOANNES *(do Sergiusza)*:
Daj mu spokój, niech zostanie, nikt i tak nie zważa na niego.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Prawda, takie nędzne stworzenie, jak ja.

JOANNES:
Nie chciałem cię urazić.

ANTEMIUSZ:
Ech, te wszystkie szczury pałacowe!

SERGIUSZ *(do sługi)*:
Dlaczego wina nie dajesz?

SŁUGA:
Nie ma.

SERGIUSZ:
Zapomniałem.

MARCELLUS:
Mogli byli z miasta nam przysłać.

ANTEMIUSZ:
Mogli, ale nie przysłali... Tfu! Ani dziewcząt, ani wina!

MARCELLUS:
Odbijemy sobie to później, zobaczysz.

SERGIUSZ:
Jeszcze! Trzymajże język za zębami, babo. Swoją drogą, szkoda, że dziewcząt nie ma, bo nudno tu okropnie. Antemiuszu, zaśpiewaj tam co znowu, najdroższy... Mizerna to rozrywka, ale lepsza, niż żadna... Dalej. *(Antemiusz milczy).* Nad czym się tak zamyśliłeś?

ANTEMIUSZ:
A nad tym, że sobie dajemy sprzed nosa zabierać Bóg wie co *(pokazuje pole)*, gadając o głupstwach.

JOANNES:
Nie będziesz przecież trupów obdzierał.

MARCELLUS:
I tę trochę łachów!

ANTEMIUSZ:
Trochę łachów, naprawdę! Zobacz no, co ten niesie. *(Podchodzi do przechodzącego człowieka i chwyta go za ręce).*

CZŁOWIEK *(szamocząc się)*:
Puść mnie!

ANTEMIUSZ *(pokazując wyrwany naszyjnik)*:
A jak to się wam podoba?

CZŁOWIEK:
Oddaj mi, panie, na miłosierdzie boskie, przyjdzie prefekt, to ani mnie, ani tobie...

SERGIUSZ:
Oddaj mu.

ANTEMIUSZ:
Rzeczywiście! Myśmy się może bili, żeby tę hołotę wzbogacać?

CZŁOWIEK:
A bo to my podatków nie płacim?

SERGIUSZ *(do Antemiusza)*:
Nie wstyd ci w takiej chwili? Myślałby kto, że jedynie dla łupu walczyłeś.

ANTEMIUSZ:
Dla czego walczyłem, to walczyłem, a teraz mi się należy.

SERGIUSZ:
Tfu, obrzydliwy!... Że też takie bydlę, jak Antemiusz, umie pieśni układać.

MARCELLUS:
Zaraz bydlę! Ty byś sam nie pogardził taką gratką, gdybyś się silentariusza Pawła nie wstydził.

SERGIUSZ:
Nie trzeba mi silentariusza Pawła... *(spostrzega na wpół drwiący, na wpół bolesny uśmiech Pawła, z gniewem).* A ty czego się cieszysz?

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(zdziwiony)*:
Ja?

SERGIUSZ:
Uśmiechasz się.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Podwładni twoi cię nie słuchają, Sergiuszu.

SERGIUSZ:
Po bitwie, cóż to szkodzi? Nasi żołnierze czasami i przed walką... *(spostrzegając się, co mówi).* Ale u barbarzyńców jeszcze gorzej i nie ma się ich czego obawiać; jesteśmy bardziej ćwiczeni w rzemiośle rycerskim i dzielniejsi.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Dużo ich... Lasy na północy pełne są ludzi... Skąd się oni wzięli? Jak mrowie! Coraz ich więcej! I wszyscy ciągną na nas, a później dżuma i trzęsienie ziemi, i głód... i my, my sami, chyba niegodniśmy życia.

MARCELLUS *(przez zęby)*:
Jak kto.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Gdybym wiedział, co później będzie, ale ja, ja sobie nawet nie mogę wyobrazić przyszłości świata bez Bizancjum.

MARCELLUS:
I nikt sobie tego wyobrazić nie może, bo Bizancjum będzie stało wiecznie.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Jak Roma!

CZŁOWIEK *(który dotąd nie ruszał się z miejsca)*:
A ja swój naszyjnik dostanę?

SERGIUSZ:
Wynoś się! *(Człowiek odchodzi mrucząc pod nosem). (Do Pawła)*: I ty także, idź sobie... Nie wierzę ci, ale zmęczony jestem twoimi słowami, idź...

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Będę milczał.

SERGIUSZ:
Nie, nie, kiedy patrzę na ciebie... I ty sam.... Tobie pewno przykry jest widok trupów.

ANTEMIUSZ *(oglądając swój naszyjnik)*:
Myślałby kto, że się go boisz. Niech gada, co to szkodzi?

SERGIUSZ *(ściągając brwi)*:
Wiele ty wiesz... Gdyby w mieście nie było tyle zbrodni i krzywdy... Ale i tak! Czy grzechy nasze są tak wielkie, że Bóg musi nas pokarać śmiercią i zniszczeniem?

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
To nie za grzechy nasze.

SERGIUSZ:
Więc tak, bez powodu? *(odetchnął głęboko)*. Nie wierzę ci, Bóg dba o nas i ochroni swoich jedynych wyznawców od zguby.

MARCELLUS:
No, jedynych!... I niejeden barbarzyńca jest chrześcijaninem.

SERGIUSZ:
Wszystko jedno, czym są barbarzyńcy. Oni sami nie wiedzą, w co wierzą, a w co nie.

ANTEMIUSZ:
I Bóg na pewno woli, żeby Go czczono w Świętej Zofii, gdzie światło rodzi się ze złotych mozaik ścian, niż w drewnianych szopach barbarzyńców.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Czasami zdaje mi się, że Bóg umarł i że sto tysięcy demonów pomieszało sprawy świata.

MARCELLUS:
Milcz, heretyku, bo jak doniosę prefektowi, to zaraz będzie koniec świata dla ciebie.

SERGIUSZ:
Nie doniesiesz, bo cię zarżnę jak prosiaka. A ty, Pawle, licz się ze słowami nawet tutaj. *(Po chwili).* Co mnie obchodzi, co jutro będzie, dziś jestem młody i silny i chcę walczyć, choćbym miał sam jeden wystąpić przeciw setkom wrogów, choćbym miał ramionami podpierać walące się mury miasta, ja i dzieci moje po mnie...

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Przeklną dzień swego urodzenia w niewoli barbarzyńskiej.
(Joannes nagle wybucha płaczem).

ANTEMIUSZ:
Czemu płaczesz? Kiedy to wszystko nieprawda.

SERGIUSZ *(do Pawła)*:
Prędzej je własną ręką zabiję... Ale dzieci moje będą umiały umrzeć, gdy pora nadejdzie, jak ja...
(Prefekt Praetorio wszedł przed chwilą w towarzystwie sług swoich i usiadł na pobliskim wzgórku).

PREFEKT *(do sługi)*:
Czyj namiot? Idź, zawezwij go. *(Do innych)*: Pokażcie listę łupów.
(Bierze pergamin z ich ręki).

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(po chwili)*:
Dlaczego nie zostałeś na granicy, Sergiuszu?

SERGIUSZ:
Patrycjusz zawezwał mnie do stolicy... I tu jesteśmy jeszcze panami, a tam... Bezczelni są ci barbarzyńcy... *(Urywa ... ze łzami w głosie)*. Och ty!... Tak, państwo jest bliskie zguby, tak, doczekamy się końca Bizancjum my jeszcze... Och, ty! zadowolony jesteś, szczęśliwy... Udało ci się nareszcie.

SŁUGA PREFEKTA *(podchodząc)*:
Jego dostojność, prefekt Praetorio, życzy sobie mówić z wami. *(Młodzieńcy wstają i podchodzą do prefekta)*.

PREFEKT *(przeglądając listy, trzymane w ręku)*:
Ach, to ty, Sergiusz... Cieszy mnie, żeś zdrów powrócił z boju.

SERGIUSZ:
Wasza dostojność zbyt łaskawa.

SŁUGA PREFEKTA *(wskazując ludzi na polu)*:
A tym nie odebrać?

PREFEKT *(podnosząc oczy)*:
Nie, nie warto... Hm, nie rozumiem, dlaczego nasza prowincja tak uskarża się na Hunnów? Ci barbarzyńcy są dziewiczej skromności. Po zdobyciu ich obozu znaleziono tylko trochę bydła i brańców.

SERGIUSZ:
Co wasza dostojność przegląda?

PREFEKT:
Listę łupów, które odebrałem żołnierzom.

SERGIUSZ:
Dlaczego?

PREFEKT:
Dlatego, że się Basileusowi podobało rozkazać... *(urywa)*. Będzie mi się tutaj o powody pytał, chłystek.

SERGIUSZ:
Według prawa...

PREFEKT:
Nie ma praw, jest tylko wola Basileusa. *(Po chwili, łagodniej).* No, Sergiuszu, muszę i od ciebie żądać wydania łupów.

SERGIUSZ:
Ja, wasza dostojność, nic nie mam. Uniesiony zapałem walki nie dbałem o zdobycz...

PREFEKT:
Nie kończ, mój drogi, niczego innego się po tobie nie spodziewałem. *(Do sług swoich)*: Idźcie, przeszukajcie wszystkie namioty, badajcie przede wszystkim ziemię... łatwo odróżnić świeżo skopaną... No, i nie zapominajcie o spróchniałych drzewach i tym podobnych skrytkach... Gdybyście napotkali jakiegoś poczciwego chłopca, który by zechciał zdradzić tajemnicę swoich towarzyszy, to możecie mu obiecać hojną nagrodę... Obiecać tylko, jest was tylu, że jeśli mu nic nie dacie... *(urywa). (Do Sergiusza, wskazując żołnierza stojącego przy namiocie)*: Twój sługa?

SERGIUSZ:
Tak, panie.

PREFEKT:
Hola, człowieku! *(Kiwa na niego, sługa Sergiusza podchodzi).* Idź z moimi sługami. Pomagaj im... Pamiętaj, że potrafię hojnie nagradzać gorliwych a surowo karać opieszałych. *(Sergiusz robi ruch, jakby chciał wstrzymać swego sługę).* Potrzebny ci? Trudno, mój drogi, służba przede wszystkim... Sam widzisz, że mam dużo do roboty, a słońce zajdzie niedługo... Dalej, prędzej! *(Służba wychodzi).*

MARCELLUS:
Czy wasza dostojność spodziewa się dużo znaleźć w ten sposób?

PREFEKT:
(przegląda listy, mrucząc coś pod nosem).

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Wasza dostojność nie obawia się buntu?

PREFEKT *(nie podnosząc głowy)*:
Nie, zmęczeni są po bitwie i sporo ludzi mam ze sobą... Zresztą... *(macha ręką i mruczy dalej)*.

MARCELLUS *(do Sergiusza)*:
Twój sługa nie zdradzi?

SERGIUSZ:
Czy ja wiem... Może i nie... Uratował mi niegdyś życie, i ja jemu...

MARCELLUS:
Nic nie znaczy... Źle z nami.

SERGIUSZ:
Cicho.
Wchodzą: Mataswintha, Eudoksja, Belizar i kilku urzędników pałacowych. Mataswintha staje na wzgórku, zakłada ręce za głowę i patrzy w milczeniu na pobojowisko.

EUDOKSJA:
Dlaczegoś mi tu przyjść kazała? Wróćmy. Późno już, boję się.

MATASWINTHA:
Patrz, patrz.

EUDOKSJA:
Widzę, nic ciekawego. Co oni robią?

SERGIUSZ:
Obdzierają trupy.

EUDOKSJA:
Czy to wolno?

BELIZAR:
W Rzymie wszystkich obdzierać wolno, i żywych, i umarłych. Spytaj się, księżniczko, prefekta.
(Niedaleko od nich, jakaś kobieta tańczy na trupie).

MATASWINTHA:
O tak, tak, doskonale... Wbij mu twarz w ziemię. Tupnij z całej siły, żeby aż zęby chrupnęły... Nie możesz? *(Kobieta klęka koło tru-*

pa i kamieniem tłucze go po głowie. Mataswintha wybucha śmiechem, wyrywa sakiewkę zza pasa i rzuca ją megierze).

PREFEKT *(ciągnąc ją za suknię)*:
Na Boga i Jego Świętą Rodzicielkę, księżno, nie mogę patrzeć spokojnie na podobne marnotrawstwo.

MATASWINTHA:
To nie patrz. Po coś przyszedł w ogóle?

BELIZAR:
Odbiera zdobycz żołnierzom.

PREFEKT:
Taki rozkaz wyszedł z pałacu. I słusznie, patrycjuszu, i sprawiedliwie. Należy zwrócić naszym biednym chłopom, złupionym przez Hunnów, ich dobytek.

BELIZAR:
Przysięgnij, że rozkaz wyszedł od cesarza... Nie możesz, co? O, wasz cały święty pałac, znam go dobrze... Od wielu lat... Gniecie was moja popularność, chcielibyście, żeby mnie lud nienawidził, jak was nienawidzi... I ot, co wymyślili... ale przysięgam wam, żołnierz wie doskonale, że nie ja...

PREFEKT:
Kto by tam o was myślał, patrycjuszu... Pieniędzy nam potrzeba, jak zwykle, no i mamy specjalny wydatek.

BELIZAR:
Jaki?

PREFEKT:
Pozwól, że zachowam to w tajemnicy. Duży wydatek, bardzo duży. W dodatku, o ile się nie przesłyszałem, księżna przyrzekała coś żołnierzom.

MATASWINTHA:
Obiecywałam we własnym imieniu...

PREFEKT:
I w imieniu swego syna. Słusznie, żeby przyszły cesarz skarbił sobie łaski ludu.

MATASWINTHA:
Nie, nie przyszły cesarz, jeno ja, wdowa po Germanosie, ich wodzu... Dlaczego wszystko przekręcasz, powiedziałam wyraźnie.

PREFEKT:
Tak jednak mówić będą w świętym pałacu...

MATASWINTHA *(po chwili)*:
Eudoksja była ze mną, może poświadczyć... *(Z nagłym wybuchem gniewu)*. Wszyscy przeciwko nam, wszyscy przeciwko nam... A Zofia? Jej wszystko wolno... O, ona jakby już była cesarzową, jakby już stała w amfiteatrze z koroną na głowie... Słyszałeś, co powiedziała wczoraj, nie, dwa dni temu do...

PREFEKT:
Cesarz wie o tym.

MATASWINTHA:
Wie? I co, i co? Kto mu powiedział, prefekcie? *(Ogląda się i widzi, że Eudoksja i młodzi żołnierze stoją cokolwiek dalej)*. Mów ciszej. *(Do Belizara)*: Patrycjuszu, ty zawsze kochałeś mego syna.

Belizar nie zważa na nią, wsparty na kiju, patrzy na pobojowisko zagasłymi oczyma. Mataswintha i prefekt szepcą do siebie. Eudoksja, która dotychczas spoglądała ukradkiem na młodzieńców, a oni na nią, mówi:

EUDOKSJA:
Wszystko słyszę. Umawia się z nim. Co ona już dziś nagadała. Wszystko powtórzę w domu, na to mnie też z nią posłali. *(Przysłuchuje się, po chwili)*: Czy to prawda, że cesarz zagniewany na mego ojca?

SERGIUSZ:
Nie wiem.

EUDOKSJA:
Uśmiecha się do niego, taka stara, a uśmiecha się, ale to jej nic nie pomoże.

JOANNES:
Dlaczego?

EUDOKSJA *(przechylając głowę)*:
Bo ja tak chcę, żeby mój ojciec był cesarzom. *(Niedaleko od nich jakaś kobieta przypadła, zawodząc do trupa, Eudoksja krzywi się)*:
Krzyczy. Nic przez nią nie słyszę.

SERGIUSZ *(potrącając kobietę)*:
Milcz.

EUDOKSJA:
Tak, przegoń ją.

SERGIUSZ *(ciągnąc kobietę za ramię)*:
Ruszaj stąd.

KOBIETA:
Puść mnie, ty zatraceńcze!

SERGIUSZ:
Czy nie słyszałaś?... Przeszkadzasz nam tutaj.
(Kobieta odwraca się nagle i gryzie go w rękę. Sergiusz wydaje lekki okrzyk i puszcza ją).

KOBIETA:
Boisz się, psie, choć ja ci trochę krwi utoczyłam, kiedy Hunnowie nie zdążyli.
(Ludzie zaczynają się zbierać koło nich).

SERGIUSZ:
Ty, diable wcielony! *(chce ją uderzyć).*

JOANNES *(zatrzymując go)*:
Zostaw, przecież kobieta.

SERGIUSZ *(pokazując zranioną rękę)*:
Patrz.

KOBIETA:
Czego chcecie ode mnie? *(Ze złością).* Wie Pan Bóg, co robi... Tylu was tu stoi zdrowych i całych... Co wy umiecie? Kłócić się w amfiteatrze i bić na ulicy... Potrzebniście może komu? Tu wam leżeć, na tej ziemi, zdychając, nie jemu.

EUDOKSJA:
Gniewa się, czy to jej mąż?

KOBIETA:
Co ja z dziećmi teraz zrobię. Potopię chyba jak szczeniaki... Ty mi może dasz na utrzymanie?

ANTEMIUSZ:
Oj, co to, to nie, znajdę sobie młodszą i ładniejszą.
Stojący w pobliżu śmieją się do rozpuku. Eudoksja pokłada się ze śmiechu. Mataswintha przerwała rozmowę z prefektem, patrzy na nich, jeden Belizar nie zwraca uwagi na kłótnię, stoi jak przedtem, z twarzą zwróconą ku zachodzącemu słońcu, mrucząc coś pod nosem.

KOBIETA:
Psy, psy nieczyste, wy dręczyciele, wy, pijawki krwi ludzkiej... Żałuję, żałuję, że Hunnowie miasta nie zdobyli, bylibyśmy wszyscy równi wtedy, a wy... *(płacze w bezsilnej złości).* Gorsiście od trzęsienia ziemi, od zarazy, od barbarzyńców. *(Do Eudoksji)*: Ty, kukło malowana.

EUDOKSJA:
Jak śmiesz, na śmierć cię zaćwiczyć każę.

PREFEKT:
Niech krzyczy, pani, niech krzyczy, trzeba ludziom zawsze na mówienie pozwalać, to im dobrze robi, a nam nie szkodzi.

KOBIETA *(do prefekta)*:
Po co przylazłeś? Chcesz z trupów ściągać podatki? Masz, masz, duś go teraz... Póki żył, żyć mu nie dawałeś... Płać i płać, wskrześ go teraz.

PREFEKT:
Moja kobieto, cudów robić nie umiem.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Wasza dostojność się nie docenia.

PREFEKT *(wybucha śmiechem)*:
Sądzisz? *(Po chwili)*. Gdyby to choć inni ocenić umieli. *(Z goryczą)*. Ale nikt nie napełni beczki bez dna.

KOBIETA *(głośno łka, wygraża pięściami i pluje w kierunku wzgórka)*.

EUDOKSJA *(w porywie szalonego gniewu, tupiąc nogami)*:
Przegnać ją, natychmiast. *(Podnosi kamień i rzuca nim w kobietę, trafia jednak w jednego ze stojących obok niej gapiów)*.

CZŁOWIEK 1:
Ej, ty, czego w ludzi rzucasz, uważaj.

SERGIUSZ:
Rzuca dokąd jej się podoba.

CZŁOWIEK 1:
I ja też rzucać potrafię.

SERGIUSZ:
Spróbuj!

CZŁOWIEK 1:
Mordę ci rozbiję, manichejczyku bezwstydny.

CZŁOWIEK 2:
Płakać nawet nie wolno? Niech wyje, kiedy chce.

CZŁOWIEK 3:
Póki bitwa była, w mysią dziurę się schowali, a teraz to ich pełno...

SERGIUSZ:
Aha, prawda twoja.

CZŁOWIEK 4:
Sam wódz...

CZŁOWIEK 2:
Ja też nie o wodzu, jeno o tych innych *(wskazując prefekta)*. Gruby taki.

CZŁOWIEK 2:
Prefekt praetorio.

CZŁOWIEK 5:
Toś ty przyszedł łupy nam odbierać.
(Na te słowa niechętny pomruk tłumu przechodzi w wycie, kamień przelatuje, świszcząc, koło głowy prefekta).

PREFEKT *(uchylając się od ciosu)*:
Oho, jakoś tu niespokojnie.

MATASWINTHA *(do Belizara)*:
Każ rozgonić ich, patrycjuszu.

BELIZAR *(odwracając wzrok od pola, mówi powoli)*:
Nie mam kim, oto moje wojsko.

EUDOKSJA:
Czy oni nam nic złego nie zrobią?

MATASWINTHA *(wzrusza ramionami)*.
(W tej chwili wbiega człowiek w podartej odzieży, jest to dowódca konwoju, za nim wdziera się na pole tłum ludzi).

OKRZYK:
Trzymajcie go!

OKRZYK:
Nogę mu podstawcie!

OKRZYK:
Oho! nic wymknie się!
(Dowódca konwoju stara się przerwać półkole ludzi, stojących przed wzgórkiem, i dostać do Belizara).

OKRZYK:
Nie puszczać go! Daninę wieźli Hunnom!

(Wycie rozlega się znowu).

OKRZYK:
Zabić go!

OKRZYK:
Chcieli na nas Hunnów sprowadzić!

OKRZYK:
Stronnictwo zielonych!

OKRZYK:
Rozerwać ich na kawałki!

DOWÓDCA KONWOJU *(bity i popychany)*:
Ratunku! Ratunku! Na miłosierdzie boskie!
(Tłum prze ku wzgórkowi).

BELIZAR *(zasłaniając sobą innych)*:
Jak to, na mnie, na mnie! Precz, psy!
Tłum nie zważa na niego. Młodzieńcy dobywają oręża. Eudoksja tuli się do Sergiusza, który obejmuje ją lewym ramieniem i całuje. Księżniczka chce go odepchnąć, ale nagle przechyla głowę i pozostaje tak bez ruchu, z ustami na jego ustach. Tłum zbliża się do wzgórka, wtem rozlega się głos Antemiusza.

ANTEMIUSZ:
Hunnowie nadciągają.
W mgnieniu oka scena opustoszała. Pozostaje tylko grupa ludzi na wzgórku i dowódca konwoju, który postękując, dźwiga się z ziemi. Sergiusz puszcza księżniczkę, która odwraca się od niego.

SERGIUSZ *(szeptem)*:
Wybacz, księżniczko.

EUDOKSJA *(milczy).*

PREFEKT *(ocierając sobie pot z czoła, mówi drżącym głosem)*:
Uch, myślałem, że już po nas... Takie nagłe awantury ludowe... Brr... *(Otrząsając się, do Belizara).* Ale jak tam z waszą popularnością, Illustrissime, nie sądziłem...

BELIZAR *(do dowódcy konwoju)*:
Coś ty za jeden?

DOWÓDCA KONWOJU:
Wiozłem daninę Hunnom.

PREFEKT *(gwałtownie)*:
Żołnierze zrabowali konwój?

DOWÓDCA KONWOJU:
Nie, nie... Ludzie moi obronili, już są za obozem.

PREFEKT:
Bogu Najwyższemu niech będzie chwała, dogoń ich natychmiast.

BELIZAR:
I każ im wrócić.

PREFEKT *(sucho)*:
I każ im jechać dalej.

BELIZAR:
Co to znaczy? Nie płacę daniny zwyciężonym wrogom.

PREFEKT:
Ale cesarz płaci. *(Do dowódcy konwoju)*: Dalej...

BELIZAR:
Stój... Ani kroku z miejsca...

PREFEKT:
Kto tu jest przedstawicielem woli cesarskiej, wasza dostojność, czy ja?

BELIZAR:
A ja go nie puszczę, póki się nie dowiem, dlaczego...

PREFEKT:
A ja odmawiam roztrząsania tajemnic naszej polityki w takim miejscu i w takim towarzystwie...

BELIZAR:
Na mój rozkaz żołnierze moi się oddalą, a i księżna...

PREFEKT:
W każdym razie pozostalibyście wy, patrycjuszu...

BELIZAR:
Dlaczego mi nie chcesz powiedzieć... Ja pobiłem Hunnów, ja uratowałem miasto...

PREFEKT:
Spełniliście tylko swój obowiązek, no i broniąc miasta, broniliście przede wszystkim własnej skóry.

BELIZAR:
Dość tego mędrkowania. Dlaczego posyłacie daninę Hunnom?

PREFEKT:
Czy nie sądzicie, patrycjuszu, że cesarz by wam sam zakomunikował przyczynę, gdyby chciał...

BELIZAR:
Puśćcie mnie do cesarza... Ja mu powiem, ja mu wytłumaczę... Przecie to hańba gorsza od śmierci. Wyście go omotali swoimi kłamstwami. Wstrzymaj konwój do jutra...

PREFEKT:
Nie....

SERGIUSZ:
Co za podłość!

PREFEKT *(przez ramię)*:
E, za dużo tam mówią.

BELIZAR:
Nie sprzeciwiałem się wydaniu łupów, sam oddałem przynależną mi część zdobyczy...

PREFEKT *(uśmiecha się drwiąco)*:
Nie radziłbym wam też, patrycjuszu, sprzeciwiać się woli cesarskiej.

BELIZAR *(trzymając dowódcę)*:
Nie pozwolę mu jechać dalej... Za co mnie cesarz obraża... Za zasługi moje, za długoletnią wierną służbę moją, wy... wszystko przez was, żeby mnie poniżyć, żeby mnie pohańbić...

PREFEKT:
O, znowu... Zaręczam wam, że nikt nawet uwagi na was nie zwraca... Jesteście tylko narzędziem w ręku cesarza, które w dodatku trzeba będzie zmienić niedługo...

BELIZAR:
Jeszcze raz zwyciężyłem...

PREFEKT:
To też cesarz gotów wam przyznać nawet zaszczyt triumfu...

BELIZAR:
Nic chcę... O, nie posyłaj daniny Hunnom, błagam cię. Przecież to moje ostatnie zwycięstwo na ziemi... Jestem stary, umrę niedługo, przestanę wam przeszkadzać... Powiem cesarzowi...

PREFEKT:
Nie wstyd wam przed ludźmi? *(do dowódcy konwoju)*: Wracaj do konwoju i w drogę.
(Dowódca konwoju wychodzi).

BELIZAR:
Bóg was pokarze za mnie.

PREFEKT:
Nie sądzę...

BELIZAR:
Może i nie. Przestałem wierzyć w sprawiedliwość boską tu na ziemi... I dobrze tak, bo ja sam nie jestem bez winy. *(Nagle, patrząc na Mataswinthę, zaczyna się śmiać)*: Mataswintho, gdyby Bóg karał za zbrodnie jeszcze za życia, co by się z tobą stało, ty patrycjuszko, wdowo po księciu cesarskim, matko przyszłego cesarza.

MATASWINTHA:
Nie rozumiem.

BELIZAR:

Co, nie zdradzałaś może swego męża i swego narodu, wtedy pod Rawenną, gdy byłaś jeszcze królową Gotów? Nie przesyłałaś mi może wiadomości z miasta? Nie pomagałaś nam, wrogom waszym?

MATASWINTHA:

I ty mi to wyrzucasz... Dla kogo zdradzałam, jeśli nie dla ciebie? Nigdy byś nie wziął Rawenny bez mojej pomocy i bez swojej kłamliwej przysięgi...

BELIZAR:

Powiedziałem: i ja nie jestem bez winy...

MATASWINTHA:

Pójdziesz do piekła, wiarołomco. Winniejszy jesteś ode mnie... Bo ja słusznie zrobiłam i miałam prawo... Dlaczego przymusił mnie do małżeństwa, on, który był niczym, mnie, córkę królewską... Wy tego nie rozumiecie, bo tu w Bizancjum nikt ojca nie ma, ale ja.... *(urywa)*. Myślisz, że żałuję? Pod Rawenną dwadzieścia razy tyle trupów było, co tu, z mojej winy, a nie żałuję.

BELIZAR:

Nie chwal się swymi zbrodniami, diablico...

MATASWINTHA:

Zbrodnia, żem pomogła basileusowi karać jego zbuntowanych niewolników. Psami cesarskimi byli Gotowie, a śmieli sprzeciwiać się jego woli... Świat cały należy do cesarza...

SERGIUSZ *(do silentariusza Pawła)*:

Słyszysz?

SILENTARIUSZ PAWEŁ:

O, słowa barbarzyńców są bezrozumne jak słowa małych dzieci, któż zważa na nie?

MATASWINTHA:

Zapłacisz za swoje słowa, patrycjuszu, gdy Justyn zasiądzie na tronie. Bo on będzie cesarzem, on jeden... W jego żyłach płynie krew królów, a nie dziewek ulicznych i niewolników, jak....

(Eudoksja zaciska z wściekłością pięści).

PREFEKT *(przerywając)*:
Nie słyszałem na lewe ucho, patrycjuszu, a teraz ogłuchłem zupełnie... Dla ciebie, bo cię kocham... Mowa twoja pachnie obrazą majestatu, patrycjuszu... Niepotrzebnie bierzesz sobie tak tę sprawę do serca, drobnostka. *(Do sług, którzy wrócili przed chwilą)*: No, coście znaleźli? *(Sługa podaje mu listę).*

PREFEKT:
Ehe, to już inaczej wygląda. Powiedziane jest: Szukajcie a znajdziecie. *(Do sług)*. I na pewno skradliście połowę, tak jak was znam, moje anioły. Sergiuszu, gdzie zakopałeś swoją zdobycz? Czy nie pod grubym dębem, koło...

SERGIUSZ:
Co?

PREFEKT:
Tak, tak, smaruj sługę, jeśliś ciekaw tajemnic jego pana.

SERGIUSZ:
Ach, ty, przeklęty złodzieju!

PREFEKT:
Ostrożnie, możemy ci nałożyć namordnik, chłopaczku, ale przebaczam ci... Ba, rozumiem cię doskonale, więc chociaż nikt jeszcze nie śmiał mówić do mnie w ten sposób...

ANTEMIUSZ:
E, naprawdę... A dwa dni temu?... Jeszcze musisz mieć ślady na pysku po naszej rozmowie.

PREFEKT *(marszcząc brwi)*:
Dla Boga! w złą godzinę mi przypomniałeś, bom już był zapomniał... Dwa dni temu miasto było w niebezpieczeństwie, dlatego... Nie szkodzi, porachujemy się przy okazji. *(Jowialnie)*: Ale widzę, żeście mi nie radzi, no i nic więcej tu nie wysiedzę... Bóg z wami, Bóg z wami *(odchodzi pośpiesznie ze swoją służbą).*

BELIZAR *(do Mataswinthy)*:
Pora i nam się oddalić.

MATASWINTHA:
Idź, dokąd chcesz, byleś ze mną nie szedł. Eudoksjo!

SERGIUSZ *(chwytając Eudoksję za suknię)*:
Gdybym przyszedł nocą do ogrodów świętego pałacu.

BELIZAR *(do Mataswinthy)*:
Wybacz, pani!

MATASWINTHA:
Nie wybaczę, ja ci tam twego wiarołomstwa nie wyrzucałam, nigdy, a ty...

BELIZAR:
Moja wielka wina, pani, stary jestem i żyć mi niesłodko.

MATASWINTHA:
Co to mnie obchodzi?

EUDOKSJA *(do Sergiusza szeptem)*:
Tam niebezpiecznie w nocy.

SERGIUSZ:
A ja jednak przyjdę.

MATASWINTHA:
Chcę wrócić do miasta.

BELIZAR:
Sama?

MATASWINTHA *(oglądając się ostrożnie)*:
Nie! *(niecierpliwie)*: Eudoksjo.

EUDOKSJA:
Idę już.

SERGIUSZ *(idąc za nią)*:
A więc?

EUDOKSJA:
Ześlę służebną z listem.

MATASWINTHA *(gniewnie)*:
Eudoksjo!

BELIZAR:
Boisz się, pani?

MATASWINTHA:
Ja? Kogo? Martwych Hunnów? Żywych się nie bałam.

BELIZAR:
W nocy wszystkie trupy są do siebie podobne.

MATASWINTHA:
I tamtych się nie boję, tych spod Rawenny... To tak dawno temu. I teraz jestem chrześcijanką, a oni byli heretykami i poszli do piekła, i nic mi nie zrobią... Nie mogą mi nic zrobić... Sam patriarcha powiedział... I nie żałuję, słyszysz, i nie żałowałam nigdy, bo mój syn będzie cesarzem... Teraz mi się nawet w nocy nie śnią... Tylko wczoraj, jakbym umrzeć miała *(ukrywając twarz w rękach)*, strasznie mi się śnili. *(Do Eudoksji)*: Chodź, jak długo mam czekać na ciebie? *(Bierze ją za rękę, obie wychodzą)*.

BELIZAR *(idąc za nimi)*:
Dobrej nocy, Sergiuszu.

SERGIUSZ:
Dobrej nocy, wodzu.

MARCELLUS:
I skończyło się.

SERGIUSZ:
Co właściwie?

MARCELLUS:
Z naszymi zdobycznymi pieniędzmi... Mieliśmy przecież kupić czwórkę koni.

SERGIUSZ:
Ech!

MARCELLUS:
Ech, nie ech... Gdyby choć od razu powiedzieli, nie byłbym się tak cieszył, a teraz...

ANTEMIUSZ:
Przestaniesz się cieszyć... Nie ty jeden. Spać chodźmy.

MARCELLUS:
Nam odebrali, a Hunnom posłali.

SERGIUSZ:
Nie mów o tym, bo mnie krew zalewa.

JOANNES:
Gdybym wiedział, kto doradził...

SERGIUSZ:
To byś wiele wiedział! Wracaj do pałacu, silentariuszu, już późno.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Nie... Zostanę jeszcze.

MARCELLUS:
A wiesz czyja to wina? Twojego Belizara. *(Przedrzeźnia).* Nie sprzeciwiałem się wydaniu łupów... Bo sam dość nakradł za poprzednich wojen i tyle dba o innych....

SERGIUSZ:
Milcz ty, bo ci wszystkie zęby wybiję.

MARCELLUS:
Nie będę milczał. Dlaczego pozwolił na odesłanie daniny Hunnom, miał wojsko za sobą.

JOANNES:
Rozkaz cesarza.

MARCELLUS:
Gdybym miał tysiąc ludzi własnego wojska i miłość ludu...

JOANNES:
Dużo na tym zbudujesz.

MARCELLUS:
Lud przyjmie z radością każdego nowego *(z naciskiem)* cesarza...

ANTEMIUSZ:
Za stary... Belizar niby.

MARCELLUS:
A dwadzieścia lat temu?... Zresztą znajdą się inni, młodsi.

JOANNES:
Na przykład Marcellus... Bądź zwycięski, imperatorze.

MARCELLUS:
Ech! Niechby był Justyn, syn Germanosa, albo choćby i zarządca pałaców. Te trzęsienia ziemi i dżuma... Myślicie, że to tak bez znaczenia... Za jego grzechy nas Pan Bóg karze, jego i tej bezbożnej rozpustnicy Teodory...

JOANNES:
Która od dziesięciu lat nie żyje.

MARCELLUS:
Ale żyją ludzie, którzy ust nie śmieli otworzyć, gdy ta heretyczka hańbiła tron Bizancjum. *(Milczenie).*

ANTEMIUSZ *(nagle)*:
Cesarz jest mało strzeżony, nawet podczas uroczystego silentium łatwo wejść do pałacu...

MARCELLUS:
Szczególniej podczas uroczystego silentium, tyle się wtedy ludzi kręci po tryklinium.

JOANNES:
Czy wy na serio? Diabeł was opętał... Przecież w razie czego... E, o głowy nasze idzie... I taka zbrodnia.

SERGIUSZ:
Nie rodził się w purpurze... I różnie ludzie o nim mówią...

ANTEMIUSZ:

Podobno jest demonem. Nie śmiejcie się... Widziała go straż... Chodził po pałacu bez głowy... Umrze dopiero wtedy, gdy sam zechce wrócić do piekła.

JOANNES:

W takim razie go nie zabijecie.

SERGIUSZ:

Bajki... Widziałem go nieraz... Człowiek, jak każdy inny... Stary. *(Po chwili).* On musi umrzeć, powiadam wam, prędko umrzeć, każda chwila jest droga... Wy nie wiecie, co się dzieje na granicy... Jeśli się nic nie zmieni, to za pół roku sprawdzą się twoje przepowiednie, Pawle...

SILENTARIUSZ PAWEŁ:

Zabijcie go, jeśli chcecie... Dosyć żył... Ale patrz, Sergiuszu, słońce zachodzi... Myślę, że gdybyś stanął tam, pod lasem, i chwycił się gałęzi drzew, to słońce także zajdzie...

SERGIUSZ:

Znowu zagadka? Tłumacz się jaśniej, bo zanadto zmęczony jestem, żeby... *(Paweł chce mówić).* Nie, rozumiem, ale jeśli, jeśli *(szukając słów)* będziemy mieli innego cesarza, prawdziwego cesarza rzymskiego, który potrafi postawić nogę na karku barbarzyńców...

SILENTARIUSZ PAWEŁ:

Gdzie go znajdziesz?

SERGIUSZ:

Znajdę... Każdy jest lepszy od Justyniana ... Choćby zarządca pałaców.

JOANNES:

Wolałbym syna Germanosa... Wódz, wojownik...

SERGIUSZ:

Poślesz mu gońców na granicę perską, co? Musimy porozumieć się z następcą, inaczej nowy cesarz głowy nam utnie...

MARCELLUS:

I darmo nie myślę spiskować.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Pomów z Mataswinthą.

SERGIUSZ:
A rzeczywiście, żeby jutro cale miasto wiedziało o spisku... Mało ona tu nagadała.

JOANNES:
Wierzyć mi się nie chce... Przecież my naprawdę spiskujemy... Jak we śnie...

SERGIUSZ:
Gdyby nie był posłał daniny Hunnom...

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Więc sądzisz, że curopalatus jest tym mężem opatrznościowym, który wskrzesi wielkość Rzymu...

SERGIUSZ:
Nie on, nie on... Ale nie zapominaj, że właściwie my będziemy rządzić...

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
A więc Marcellus, albo Antemiusz, albo może ty...

SERGIUSZ:
Dlaczego nie ja... Wątpisz, poczekaj chwilę, a zobaczysz... Tylko cierpliwości...

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
(kiwa głową).

JOANNES:
Kto pomówi z curopalatusem?

SERGIUSZ:
Ja...

JOANNES:
W jaki sposób, gdzie, kiedy...

SERGIUSZ:
Wiem już... Przyjdźcie do mnie *(namyśla się)* za tydzień... na pogawędkę przyjacielską przy winie... Dobrze?

JOANNES:
A curopalatus będzie?

SERGIUSZ:
Może... *(nagle śmieje się)*. Nie, na pewno będzie.

MARCELLUS:
Bądź ostrożny.

SERGIUSZ:
Nie mam lat piętnastu. *(Do Pawła)*. A ty przyjdziesz?

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Przyjdę, Sergiuszu, przyjdę, nie trzeba opierać się przypadkowi, bo on rządzi światem... On jeden, niestety...

AKT II

Wąska, brudna, ciemna ulica w Bizancjum. Z przodu sceny dom Justyna, syna Wigilancji, odbija kontrastem marmurowych ścian od nędznych lepianek okolicznych. Balkon na wysokich słupach tworzy dach obszernego ganku, połączonego z ulicą kilkoma stopniami. Na ganku, koło zamkniętych drzwi domu stoją Sergiusz i silentariusz Paweł, przyglądając się ruchowi ulicznemu. Przechodnie są to po większej części nędzarze o bladych twarzach. Brudni i obdarci. Wloką się leniwie i bez celu między domami, widocznie zmęczeni i niezadowoleni. Mówią mało, od czasu do czasu jednak słychać jakieś głośniejsze słowo. Oddzielne zdania dolatują do widzów jedynie wtedy, gdy stojący na ganku milkną. W ulicy wielka, ciemna kuźnia; w drzwiach jej stoi kowal, olbrzymi, brudny mężczyzna. Naprzeciwko niego dwie dziewczyny tkają przed swoim domem.

KOWAL *(do dziewcząt)*:
Przestaniecie nareszcie tkać, nie wiecie, że niedziela dzisiaj? A później, gdy dżuma w mieście, niby nikt nie wie, za jakie grzechy...

(Dziewczęta milczą). Czekajcie, jeszcze ja wam kiedy te wasze kijki połamię, bezbożnice. *(Zbliża się do nich).*

1 DZIEWCZYNA:
Nie, nie, my takie biedne.

2 DZIEWCZYNA *(ze złością)*:
Znowu nam te ścierwo przeszkadza, trzeba będzie przestać. *(Odsuwają warsztat i siedzą teraz spokojnie przed domem).*

1 DZIEWCZYNA *(oglądając swoją rękę)*:
Palce mi bolą.

1 PRZECHODZIEŃ *(który przed chwilą przystanął, podchodząc)*:
Ot, głupia, czego tkasz?

1 DZIEWCZYNA:
Trzeba żyć.

1 PRZECHODZIEŃ *(próbując ją objąć)*:
Chodź ze mną, zarobisz więcej.

1 DZIEWCZYNA *(odpychając go)*:
Nie chcę, wynoś się.

KOWAL: Puść ją, bo...

1 PRZECHODZIEŃ:
Aha, to tak... Po sąsiedzku, a darmo... No, chłop zdrów, na dwie starczy. *(Kowal rzuca się ku niemu z podniesioną pięścią, przechodzień ucieka, po drodze potrąca innego człowieka).*

2 PRZECHODZIEŃ:
Czego się pchasz, pokrako, bodaj byś kark skręcił, bodaj byś zgnił na szubienicy.

KOWAL:
Nie grzesz, trzeba przebaczać urazy.

2 PRZECHODZIEŃ:
A tyś go pewno błogosławić leciał z podniesioną pięścią... Taki to jeszcze uczyć chce.

SERGIUSZ:
Za dużo mi tu ludzi, Pawle. Czego się kręcą. I ten kowal... Podejrzany jakoś, nie?

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Pytałem się sług Justyna. Zawsze tu mieszkał. I mnie z początku wydawał się dziwny, chociaż... *(wzrusza ramionami).*

SERGIUSZ:
Dlaczego nam Justyn akurat tu przyjść kazał? Chyba żeby zwrócić uwagę prefekta... Ta ulica...

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Dom ma dwa wyjścia i... *(urywa, poziewając).* Aaa... przykrzy mi się.

3 PRZECHODZIEŃ *(do swego towarzysza)*:
Powiedziałem ci: na placu najgorzej... Aleś nie słuchał... A teraz masz... Wieleś widział, prawda?

4 PRZECHODZIEŃ:
Widziałem, co widziałem. Godna była procesja.

SERGIUSZ:
Czyżby cesarz już wrócił do pałacu? *(Przechyla się przez poręcz ganku).* Hola, już po procesji?

4 PRZECHODZIEŃ:
N... tak, już od dawna... Bo ja wiem zresztą... Ludzie się rozchodzili... Chyba i koniec.

SERGIUSZ *(zwracając się do Pawła)*:
Oczu w głowie nie ma, czy co! Bydlę! *(Po chwili).* Ten Justyn! On już dziś nie przyjdzie... Zresztą, czekaj. *(Dochodzi do drzwi i woła)*: Antemiuszu!

ANTEMIUSZ *(wychodząc)*:
Co się stało?

SERGIUSZ:
Nic, nic. *(Wskazując drzwi).* Jest?

ANTEMIUSZ:
Nie ma.

SERGIUSZ:
Daje nam czekać... Tylko żeby nam pokazać, jak mało mu na nas zależy... Mógłby sobie oszczędzić trudu, mnie nie oszuka. Ręce mu się trzęsą do korony.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Nie rozumiesz go, Sergiuszu, namyśla się jeszcze, czy nas zdradzić, czy też...

ANTEMIUSZ *(potrząsając głową)*:
Ty zawsze tak, wiem. Dawniej tom się dziwił, a nawet trochę i wierzył, ale teraz... *(macha ręką)*.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Jak ci się twój przyszły pan podoba, Antemiuszu?

ANTEMIUSZ *(krzywi się)*:
Fi... nic cesarskiego w nim nie ma.

SERGIUSZ:
Skąd? Jego matka bydło pasła tam w Ilirii.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
A jednak stary jest cesarzem.

SERGIUSZ *(ze złością)*:
Znowu mącisz... Zejdź po tych schodach na ulicę, nikt cię nie trzyma.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Nie trzeba sprzeciwiać się przypadkowi, Sergiuszu. *(Rozmowa się urywa)*.

5 PRZECHODZIEŃ:
Blady był Basileus.

6 PRZECHODZIEŃ:
Stary bardzo... śmierć mu z oczu patrzy.

5 PRZECHODZIEŃ:
Cyt!...

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Czy to przepowiednia? Jaka wzburzona ta ulica, jaka niespokojna... Jakby przeczuwali... Powiedz, będą nam wdzięczni jutro?

SERGIUSZ:
Może nie jutro.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Śmierć wisi nad miastem.

ANTEMIUSZ:
At, wałęsają się, bo niedziela i nic nie mają do roboty...

7 PRZECHODZIEŃ:
No, nie wmawiaj we mnie, żeś nic nie dał. Nie można wygrać sprawy bez posmarowania sędziego.

8 PRZECHODZIEŃ:
Przysięgam...

7 PRZECHODZIEŃ:
Nie przysięgaj, bo pomyślę, że twoja żona z kwestorem spała. *(Wchodzą w boczną ulicę).*

SERGIUSZ *(gniewnie)*:
Ile lat jeszcze przyjdzie nam czekać na Justyna... Czasami miałbym ochotę pokazać mu, że nie z pokornymi jagniętami ma do czynienia, jeno...

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(nie bez ironii)*:
Podobno mieliście wywierać przeważny wpływ na jego rządy.

SERGIUSZ:
Będę nim rządził, Pawle, zobaczysz *(wybucha śmiechem)*. Sądzisz, żem sobie przyszłości nie zabezpieczył? Aha... Mam go w ręku... Nie przez przysięgi i pisane pergaminy lub inne podobne głupstwa! Jestem pewny swego!... Niech się wzdraga, niech się ociąga. Godzinę, dwie... Mogę czekać... Niech szarpie za smycz, na której go trzymam. *(Oczy jego promienieją, pochyla się ku silentariuszowi).*

To wszystko moje, patrz: Święta Zofia, i statua Augusteonu, i pałac święty. *(Zakreśla koło ręką).* Wszystko, wszystko, kamienie i ludzie. *(Bardzo miękko)*: Bo ja kiedyś będę cesarzem, Pawle.

ANTEMIUSZ *(chmurnie)*:
Dlaczego akurat ty?

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Czy pozwolisz mi wtedy być twoim silentariuszem, Sergiuszu?

SERGIUSZ *(gryzie wargi)*:
Nie znacie się na żartach. *(Odwraca się niechętnie).*
(Przez ulicę przechodzi pstro ubrana kobieta, żołnierz obejmuje ją ramieniem. Oboje pijani, zataczają się, wybuchając od czasu do czasu śmiechem).

ŻOŁNIERZ:
Daleko jeszcze?

KOBIETA:
Nie, zaraz tu za rogiem... Dom mam.

KOWAL:
A wy, bezwstydne świnie, w biały dzień, w świętą niedzielę.

KOBIETA *(stając, mówi z trudem)*:
Dźgnij go nożem.
(Żołnierz wyjmuje nóż, ręka mu się trzęsie, trwa to długo. Następnie podchodzi do kowala, który najspokojniej odbiera mu oręż i jednym uderzeniem ramienia rzuca go na ziemię. Ulica wybucha śmiechem).

ANTEMIUSZ *(jednocześnie)*:
Patrzcie, ta kobieta, która ukąsiła Sergiusza po bitwie.

SERGIUSZ:
Pocieszyła się jednak prędko...

ANTEMIUSZ:
Zawsze miesiąc.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Po jej haftowanej sukni sądząc, pociesza się przynajmniej... od dwóch. *(Młodzieńcy śmieją się).*

ŻOŁNIERZ *(wstając niezgrabnie, do kobiety)*:
Chodź, to bardzo zły człowiek... Zabić może, chodź...

KOWAL:
Dokąd? Pilno ci do grobu i potępienia? Szatan szczerzy do ciebie zęby z tej dziewki i śmierć...

KOBIETA:
Milcz, będziesz ty mi tu zarobki psuł, złodzieju, heretyku...

KOWAL *(patrząc na nią)*:
Et! *(Kobieta przestaje mówić, kowal do żołnierza)*: Puść ją, wracaj do żony i dzieci.

ŻOŁNIERZ:
Do kogo? Ehe... A gdzie moja żona i dzieci, co? Może ty wiesz?... Z Dalmacji jestem... Dziesięć lat trwało zanim dom postawiłem jak należy, ze wszystkim... A później w jeden dzień, fiu... i nie ma. Bo to Antowie przyszli... Jakby tych dziesięciu lat nigdy i nie bywało... Jakbym znowu na świat przyszedł, golusieńki. I żona, i dzieci... *(robi ruch ręką).*

ANTEMIUSZ:
Dobrze ci tak. Po coś się żenił i dom stawiał?

JEDEN Z GAPIÓW:
E! Kto by podatki płacił, panie, gdyby takich głupich nie było?

ŻOŁNIERZ:
Prawda?... Alem zmądrzał... Żołnierzem jestem, wszystko mi wolno. Dawniej mnie bili, teraz ja biję. *(Do kowala, z nagłym gniewem)*: Ty, nóż mi oddaj, jak śmiesz, cesarskiego żołnierza nóż... Oddaj, powiadam, po dobroci, bo... *(podchodzi do kowala, ten rzuca mu ostre spojrzenie, żołnierz odwraca się do kobiety)*: Chodź, to bardzo zły człowiek. *(Oddala się ze swoją towarzyszką, po kilku krokach staje).* Czekaj, przyjdę z towarzyszami, podpalimy ci twoją ruderę, na kawałki cię posiekamy, że cię rodzona matka nie pozna.

KOWAL:
Nie boję się ciebie. Nie poda Bóg sprawiedliwego w ręce grzesznika.

ŻOŁNIERZ:
Zobaczymy. *(Wychodzi z kobietą).*

1 DZIEWCZYNA:
Widziałaś, jaką ta zaraza haftowaną suknię miała?

2 DZIEWCZYNA:
Nie szkodzi, za to ona pójdzie do piekła, a my...

KOWAL:
Wy także pójdziecie do piekła.

2 DZIEWCZYNA:
My? Jestem ciekawa za co?

KOWAL:
Każdy człowiek jest pełen grzechu, a wy i wiary prawdziwej nie macie.

1 DZIEWCZYNA:
A ty skąd wiesz, jakiej my wiary? Widziałeś, jak się modlimy, chodziłeś z nami do kościoła?

KOWAL:
Niech mnie Bóg i Jego święta Rodzicielka od takiego grzechu bronią... Nie ma kościołów teraz w Bizancjum, są tylko jaskinie bezbożności... Od czasu, gdy świątobliwa cesarzowa Teodora umarła...
(Przechodzący mnich stanął).

MNICH:
To tak, w samej stolicy, pod samym nosem basileusa... Ty, pokryty wrzodami ośle, ty śmierdzący heretyku!...

SERGIUSZ:
Ma rację, co za bezczelność... Miałbym ochotę rozumu tego kowala nauczyć.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Po co, niech każdy żyje jak chce i jak może...

SERGIUSZ:
Hę, jakiej ty wiary właściwie? Wszystko jedno, mówisz... Nie jestem, jak Marcellus, który by ich wszystkich pożarł na surowo, ale parę porządnych szubienic i parę heretyków na nich... Prawda, Antemiuszu?

ANTEMIUSZ:
Prawda, ale ja zawsze wolę, jak łby ścinają, zabawniej.

KOWAL *(do mnicha)*:
Tchu ci zabrakło? Mów, mów dalej, przywykłem do waszych obelg, nestorianie...

SERGIUSZ:
Przywykniesz jeszcze do kijów i do więzienia, heretyku, gdy będziesz tak bezczelnie szczekał.

MNICH:
Pójdę do prefekta, ten go już rozumu nauczy.

KOWAL:
Idź, idź, byle prędzej, bylebym się ciebie pozbył... Myślisz, że się boję? Opuściłem pałac swój i urząd i tu jestem. Nie boję się was, ani prefekta, ani cesarza.

1 CZŁOWIEK:
Owa! Jaki śmiały. Zobaczymy, zaśpiewasz pod szubienicą.

2 CZŁOWIEK:
Albo na torturach.

3 CZŁOWIEK:
Pełno ich teraz w mieście. Za ich grzechy nas Pan Bóg karze.

KOWAL:
A tak, za nasze grzechy zawaliła się kopuła waszej Świętej Zofii.

MNICH:
Ostrzeżenie to było, nic więcej...

(Na ganek wybiega z domu Marcellus).

MARCELLUS:
Antemiuszu!... Justyn...

ANTEMIUSZ:
Już jest?... Nareszcie...

MARCELLUS:
Co tam? Awantura na ulicy?

SERGIUSZ:
Nic, kłócą się... Idźże prędzej... Przecież do północy tu stać nie możemy... Teraz tylko dzień naznaczyć trzeba.
(Marcellus i Antemiusz wchodzą do domu).

SERGIUSZ:
O, cierpliwości, cierpliwości... Zobaczysz, że ze dwie godziny będą gadali. *(Spogląda na ulicę).* Jeszcze krzyki?... Myślałem, że go już zaprowadzono do prefekta...

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(który śledził z zaciekawieniem spór uliczny)*:
Cicho! Słuchaj!...

KOWAL:
Dlaczego nie spełniasz swej groźby? Nie będę się bronił. Patrzcie, wyciągam złożone ręce... Sznur leży w mojej kuźni... Zwiążcie mnie, powleczcie mnie do prefekta...

MNICH:
No, dalej, przecież ja sam, nie mogę...

CZŁOWIEK:
Ech, będę sobie niedzielę psuł tym ścierwem...

INNY:
Niech tam prefekt swoich ludzi przyśle... To do nas nie należy.

SERGIUSZ *(do ludzi)*:
Kto się będzie zawsze na prefekta oglądał. Pomóżcie mnichowi.

CZŁOWIEK:
A wasza dostojność dlaczego ręki nie przyłoży?

SERGIUSZ:
Nie mogę.

CZŁOWIEK:
Ot, to to... A ja też nie mogę i koniec.

SERGIUSZ:
Milcz, psie. *(Do Pawła)*: Bezczelny ten motłoch.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Czemu mówisz z nimi?

SERGIUSZ:
Z nudów, ze złości... Czy ja wiem zresztą... *(z nagłym gniewem)*. Żeby z tobą nie mówić może.

KOWAL:
Wydam wam braci moich. żebyście ich umęczyli i wypełnili miarę zbrodni waszych... Niech nareszcie nastąpi dzień sądu nad tym miastem przeklętym... Powiadam wam, że słońce zagaśnie nad wami i morze wystąpi z brzegów swoich. I ziemia rozpłynie się pod waszymi stopami jak woda... Spadnie na was ogień niebieski i spali domy wasze, a kto ujdzie śmierci, od miecza pobity będzie, bo przyciągną na was ludy dzikie, bez liczby i miary... *(wyciągając rękę)*: Tu kamień na kamieniu nie zostanie...

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(zakrywając twarz rękoma)*:
Skąd on wie, o, skąd on wie!

SERGIUSZ:
Każdy głupiec powtarza dziś to samo w Bizancjum i ty także.

MNICH:
Słyszeliście, jak was przeklinał.

1 CZŁOWIEK: *(wzrusza ramionami)*:
Psie głosy nie idą w niebiosy.

2 CZŁOWIEK:
Jużem ze sto razy takich szczekaczy słyszał.

3 CZŁOWIEK:
I co, sprawdzało się?

2 CZŁOWIEK:
Czasami się sprawdzało, a czasami nie... Ale nie od ich gadania.

1 CZŁOWIEK:
Ech, naprzód to się wszystko wydaje takie straszne, a później... *(macha ręką)*.

4 CZŁOWIEK:
Albośmy to Hunnów nie przepędzili?

SERGIUSZ:
Przysięgam, że to bydło uliczne jest mądrzejsze ode mnie... Bo ja ci prawie uwierzyłem, Pawle.

KOWAL:
Nawróćcie się, póki czas jeszcze, porzućcie wasze obrzydliwe błędy, a Bóg wam przebaczy i w miłosierdziu swoim ocali was i miasto wasze od zguby.

SERGIUSZ *(wybuchając śmiechem)*:
Doskonale radzi. *(Krzyczy do kowala)*: He, ty, kowalu, do kogo mam pójść, żeby mnie na monofizytyzm nawrócił? Do patriarchy Antemiusza, czy do Jana z Efezu?

KOWAL:
Tobie już nic nie pomoże.

SERGIUSZ:
Jak mnie to martwi.

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(nieśmiało)*:
Czy na serio go się radziłeś?

SERGIUSZ *(z oburzeniem)*:
Heretyka! Ach, żartujesz tylko... Zresztą to, co my zrobić zamierzamy, pomoże lepiej... *(Paweł wzrusza ramionami)*. Wiem, co my-

ślisz... Nie wzruszaj ramionami, człowieku bo... *(z gniewem)*. Zabiłbym cię z rozkoszą... Ty, ty... Nie ma podlejszego człowieka od ciebie *(odwraca się, nagle zdziwiony, mówi zupełnie innym głosem)*: Niebiescy, co oni tu robią... w tych zaułkach... O, rozbiłbym im ich bezczelne mordy, ich puste mózgownice.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Za dużo... Dziesięciu na ciebie jednego...

SERGIUSZ:
Nie boję się ich... Zawołam Antemiusza i Marcellusa. *(Dobiega do drzwi)*.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Na litość Boską, a spisek...

SERGIUSZ:
Ach... Znowu wygrali, po raz drugi od miesiąca... Kupili te konie... Im nikt łupów nie odbierał...

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Przecież wiesz, że to nieprawda.

SERGIUSZ:
Wszystko jedno, wygrali... Wahałem się jeszcze dawniej, ale po ich zwycięstwie...

OKRZYK Z DALEKA:
Długie życie niebieskim i ich woźnicy.

SERGIUSZ *(zaciskając pięści)*:
Och...

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(pchając go do domu)*:
Wejdź do mieszkania, bo nie wytrzymasz.

SERGIUSZ:
Przecież ty, niedołęgo, nie upilnujesz...

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Upilnuję, upilnuję. Skoro zobaczę coś podejrzanego, to świsnę na ciebie.

(Dziesięciu niebieskich wchodzi na scenę z krzykiem i śmiechem, bijąc o drzwi i okiennice domów i popychając ludzi, którzy im się nie dość szybko z drogi usunęli).

PRZECHODZIEŃ:
Setki zwycięstw niebieskim i ich woźnicy.

SERGIUSZ:
Niedoczekanie wasze.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Idź, Idź... *(wpycha go do mieszkania i zamyka drzwi).*
(Niebiescy rozpędzają ludzi, stojących przed kuźnią, jeden z nich wywraca warsztat tkacki, inny obejmuje broniącą się dziewczynę).

1 NIEBIESKI:
Z drogi, z drogi... Czego ulicę zapychacie?... Myślałby kto, że wasza.

MNICH *(wskazując kowala)*:
Heretyk, panie...

1 NIEBIESKI:
To mnie nic nie obchodzi, mam z nim ważniejsze porachunki.

MNICH:
Musimy go zaprowadzić do prefekta...

1 NIEBIESKI *(bijąc go w kark)*:
Idź z tym do prefekta...

MNICH:
Nie wstyd wam obrażać sługę Bożego...

2 NIEBIESKI:
Niech no sługa Boży idzie do diabła, bo mu jeszcze co na drogę dołożymy, a wy gapie... precz. *(Ludzie się rozchodzą).*

1 NIEBIESKI *(do towarzyszy)*:
To tu na pewno?

3 NIEBIESKI:
Naturalnie... Przecież pijany nie byłem.

2 NIEBIESKI *(do kowala)*:
Przyszliśmy pokłonić się waszej świątobliwości.

3 NIEBIESKI:
I posłuchać kazania...

5 NIEBIESKI:
O grzechach naszych i o zbrodniach, i o wyścigach, które są początkiem wszystkiego złego.

4 NIEBIESKI:
Dlaczego milczysz? Wczoraj umiałeś dość prędko mleć językiem.

KOWAL *(spokojnie)*:
Nie będziesz ciskał pereł przed świnie. *(Niebiescy wybuchają śmiechem).*

1 NIEBIESKI:
Na moją duszę, dobrze powiedział, co mu zrobimy?

2 NIEBIESKI:
Obetniemy mu uszy.

3 NIEBIESKI:
Nie, lepiej język.

4 NIEBIESKI:
Obić go należycie i kwita.

1 NIEBIESKI:
Wiecie co? Darujmy mu życie... Z powodu zwycięstwa niby.

3 NIEBIESKI:
Justyna na granicy perskiej?

1 NIEBIESKI:
E, naszego w cyrku... Co nas granica perska obchodzi?

2 NIEBIESKI:
Oto racja... Niech idzie do diabła.

6 NIEBIESKI:
Zabierzmy mu jego dziewczęta.

1 NIEBIESKI:
Doskonale... Tym bardziej, że nieszpetne.
(Wpychają kowala do kuźni i zamykają za nim drzwi. Następnie porywają dziewczęta i odchodzą z hałasem. Kowal wyważa drzwi i biegnie za nimi. Na ulicy znowu zaczynają zbierać się ludzie).

1 CZŁOWIEK:
A żeby ich nagła śmierć spotkała!

2 CZŁOWIEK:
Dobrze, że choć się tak skończyło.

3 CZŁOWIEK:
Antowie by gorsi nie byli!

4 CZŁOWIEK:
Milczcie, wy osły ze stronnictwa zielonych; zwyciężyliśmy znowu i dlatego pełną gębę macie przekleństw.

3 CZŁOWIEK:
Zdarzyło się ślepej kurze ziarno.

2 CZŁOWIEK:
Bodajście zdechli i wymarli, bodaj na was mór padł.
(Silentariusz Paweł tak był zajęty tymi wypadkami, że nie zauważył człowieka, który wszedł na ganek i stoi teraz przy drzwiach domu).

OBCY:
Sługo!

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(odwracając się, zdziwiony)*:
Wasza dostojność!

BELIZAR:
Cyt! Źle pilnujesz domu, silentariuszu. Chcę mówić z Justynem.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Teraz?

BELIZAR:
I z Sergiuszem... Wiem wszystko.

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(gwałtownie)*:
Kto nas zdradził?

BELIZAR:
Nikt. Sergiusz jest bardzo młody, silentariuszu, a ja znam go od dzieciństwa... *(Chwila milczenia).*

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(mówiąc z trudem)*:
Czy wasza dostojność zawiadomiła już prefekta?

BELIZAR:
Nie trzeba sprzeciwiać się przypadkowi. Co? Tak zawsze mówisz, prawda? A ja dziś sam chcę być przypadkiem, dzięki któremu będziemy mieli nowego cesarza w Bizancjum...

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Ciszej, panie. Patrz, stanęli nawet... *(Obaj milczą przysłuchując się rozmowie dwóch ludzi, którzy stoją niedaleko ganku).*

JEDEN Z NICH:
Kiedy dawniej? Kiedy jeszcze cesarz w Rzymie mieszkał?

DRUGI:
Wcale niedawno, może dwadzieścia lat temu... Po jakimś zwycięstwie... Już nie wiem. Ojciec mój opowiadał i ja byłem sporym chłopcem... Złote i srebrne naczynia rozrzucano w cyrku... I olbrzymi król barbarzyńców... Podobno głowę mu później ucięli... Triumf był dowódcy, nie pamiętam jak się nazywał, Narses czy Germanos...

BELIZAR *(mimowoli, szeptem)*:
Nie, Belizar.

PIERWSZY:
Musieli się ludzie pchać.

DRUGI:
Rozumie się, trzech na śmierć zadusili.

BELIZAR:
Zajęci swoimi sprawami. *(Chce wejść do domu).*

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(stając między nim a drzwiami)*:
Wasza dostojność tam nie wejdzie...

BELIZAR:
Dlaczego?...

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Bo wasza dostojność nam nie pomoże, a jeśli mamy umrzeć, to jest nas i tak za wielu.
(Chwila milczenia. Przechodzi 2 ludzi).

PIERWSZY:
Bo ty się zawsze pchasz bezwstydnie.

DRUGI:
Przecież widzisz, że mam tylko trzy obole.

PIERWSZY:
Kłamiesz, zawsze kłamałeś, i twój ojciec kłamał przed tobą.

BELIZAR:
Postąpiłem jak młodzieniaszek.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Wasza dostojność rzeczywiście jest jeszcze bardzo młody jak na swoje lata...

BELIZAR *(gniewnie)*:
Ty, nie zapominaj do kogo mówisz...

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Mówię do spiskowca, do swego towarzysza w zbrodni...

BELIZAR:
Może masz rację. Jestem ci równy w tej chwili... Ale zbrodnia! *(Wzrusza ramionami).* Nie wiem, za dużom spisków widział i wojen, i wszelakiego rozlewu krwi... Zresztą, kiedym już przyszedł... *(chce wejść do domu).*

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Nie.

BELIZAR:
Uparty jesteś.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
O panie, czy tak koniecznie chcesz umrzeć z ręki kata?

BELIZAR:
Może się spisek uda.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Sądzisz, panie, a jeśli nawet. Tu się nic nie zmieni, bo się nic zmienić nie może.

BELIZAR:
Więc wszystko tak znieść, na wszystko się zgodzić, przeboleć każdą obrazę, każde upokorzenie i to najgorsze nawet, zniszczenie całego życia, całego dzieła mojego.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Trzeba żyć byle jak i umrzeć jak się zdarzy, ale czemu *(po chwili wahania)* tak głupio?

BELIZAR:
A ty?

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(wzruszając ramionami)*:
O, ja!

BELIZAR *(po chwili)*:
Zapomnij, żeś mnie tu widział, silentariuszu.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Zapomnę, panie. Ale jeśli przypomnę sobie rozmowę naszą na torturach...

BELIZAR:
O, wtedy!... Szkoda, żem tu Sergiusza nie zastał zamiast ciebie, byłbym spokojniejszy.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Tak, wielka szkoda, panie.

BELIZAR:
Dobrej nocy. *(Schodzi po schodach i ginie w półmroku).*

CHŁOPIEC *(przebiegając przez scenę i końcem swego kija uderzając o drzwi domów)*:
Prędzej, prędzej, wychodźcie...

CZŁOWIEK *(wychodząc z domu)*:
Co się stało?

CHŁOPIEC *(zadyszany)*:
Odnieśliśmy zwycięstwo... Rozrzucali pieniądze koło Świętego Sergiusza. Patrz *(pokazuje mu w garści kilka monet)*. Teraz podobno jeszcze koło Hippodromu...
(Biegnie dalej, za nim kilka ludzi, którzy wyszli z domów okolicznych. W głębi sceny spotykają gromadkę ludzi idącą im naprzeciw).

JEDEN Z PRZECHODNIÓW:
Dokąd? Jeszcze sobie nogi połamiecie...

CHŁOPIEC:
Do Hippodromu...

JEDEN Z PRZECHODNIÓW:
Nie macie po co... Już myśmy ledwo resztki dostali.

CHŁOPIEC:
Może gdzie indziej?!

INNY:
E, już po wszystkim.

JAKIŚ CZŁOWIEK *(z westchnieniem)*:
Nie mam szczęścia: jak nie zapracuję, to nie zarobię.

KOBIETA:
A podatki zawsze płacić trzeba... O, gdyby oni wiedzieli, co to znaczą podatki.

CZŁOWIEK *(z nienawiścią)*:
Myślisz, że nie wiedzą? Wiedzą doskonale, że z nas ostatnią krew piją, ale co to ich obchodzi.
(Wchodzą dwie dziewczyny, sąsiadki kowala).

1 DZIEWCZYNA:
Niech Bóg da zdrowie kowalowi, że nas wspomógł. Dobry człowiek, choć heretyk.

2 DZIEWCZYNA:
Całą suknię mi podarli... *(spostrzega zbiegowisko na ulicy).* Tyle ludzi... *(zbliżając się do nich).* Co się stało?

MŁODA KOBIETA:
Rozrzucali pieniądze... Odnieśliśmy zwycięstwo.

2 DZIEWCZYNA:
Gdzie?

MŁODA KOBIETA:
E, nie macie po co chodzić, już dawno przestali...
(Silentariusz Paweł świszcze).

1 DZIEWCZYNA:
Takie to już nasze szczęście... Chciałam pójść, ale ty zawsze: robota, robota...

2 DZIEWCZYNA:
O matko Boga Jedynego. *(Płacze).*

SERGIUSZ *(wychodząc)*:
He? Co się stało?

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Podobno odnieśliśmy zwycięstwo.

SERGIUSZ:
Dobrze, żeś mnie zawołał. Nie wiesz, gdzie?

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Nie, może kto na ulicy będzie wiedział.

PRZECHODZIEŃ *(do dziewczyny)*:
Nie płacz, tylko obole. *(Pokazuje jej srebrne monetki).*

1 DZIEWCZYNA:
Toć wiem, że nie statery...

PRZECHODZIEŃ:
Nie docisnęłabyś się wcale...

KOWAL *(który wrócił przed chwilą)*:
Ot, pokarał Pan Bóg waszą chciwość.

2 DZIEWCZYNA *(ze złością)*:
Ty ze swoimi karami Boskimi, mam cię dosyć... Chciwość, że co dzień chcę choć kęs chleba do ust włożyć.

1 PRZECHODZIEŃ:
Nie wolno. Prefekt takie prawo wydał: nikomu nie wolno jeść co dzień pod karą publicznej chłosty i konfiskaty majątku.

2 PRZECHODZIEŃ:
Niech konfiskuje, wiele znajdzie.

1 PRZECHODZIEŃ:
Oj, nie zabawne to wcale.

SERGIUSZ:
Tak się nic nie dowiem. *(Zbiega ze schodów).* Statera temu, kto mi powie, gdzie odniesiono zwycięstwo!

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Sergiuszu!...

KTOŚ Z TŁUMU:
W Afryce.

SERGIUSZ:
Nad kim?

KTOŚ Z TŁUMU:
Nad Gotami.

SERGIUSZ:
Kto?

KTOŚ Z TŁUMU:
Belizar.

SERGIUSZ:
Ach ty, bezczelny kłamco i hultaju!

KOWAL:
Dlaczego lżysz go... Sameś go wwiódł na pokuszenie, a teraz...

SERGIUSZ:
Obejdę się bez nauk... No, gdzie odniesiono zwycięstwo: w Afryce, nad Dunajem, na granicy perskiej, w Noricum...

CZŁOWIEK:
Justyn, syn Germanosa, zwyciężył na granicy perskiej.

SERGIUSZ:
Możliwe. *(Rzuca mu pieniądz)*: Kto przywiózł wiadomość?

CZŁOWIEK:
Sam Justyn.

SERGIUSZ:
Teraz kłamiesz.

JAKAŚ DZIEWCZYNA:
Patrycjusz Justyn przyjeżdża... To dobrze. Widziałam patrycjusza. Jest młody i piękny, i uśmiechał się do mnie.

KTOŚ Z TŁUMU:
Aha... Jest stary i brzydki, i uśmiecha się chyba do złotej korony na głowie basileusa.

CZŁOWIEK *(wyskakując z tłumu)*:
Kto to powiedział, kto to powiedział?

TŁUM *(odpychając go)*:
Patrzcie go, jaki ciekawy. Ruszaj stąd, bo ci wszystkie kości połamiemy...

CZŁOWIEK *(do Sergiusza)*:
A ty kto jesteś?

SERGIUSZ:
Jestem, kto jestem. Co ci do tego?

CZŁOWIEK:
A bardzo mi do tego... Toś ty krzyknął.

TŁUM:
Nieprawda!

KTOŚ Z TŁUMU:
Idź, przysięgaj... Nie pierwszy raz krzywoprzysiężesz, szpiegu.

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(biegając niespokojnie po tarasie krzyczy)*:
Antemiuszu, Antemiuszu!
(Wychodzi Justyn, syn Wigilancji, i jego domesticus).

JUSTYN:
Gdzie Sergiusz?

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Tam, na ulicy, w awanturę się wplątał...

JUSTYN *(podnosząc głos)*:
Hola, ludzie, co tam robicie przed moim domem? Rozejdźcie się.

CZŁOWIEK:
Obrażono was, panie.

JUSTYN:
Dobrze, dobrze, innym razem będziesz dbał o cześć moją. *(Woła)*:
Sergiuszu!

SERGIUSZ:
Idę, panie. *(Wchodzi na ganek, ludzie powoli się rozchodzą).*

JUSTYN:
Nikogo już nie ma. Na co czekacie jeszcze?

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Nie wiedzieliśmy, panie...

JUSTYN *(spoglądając na ulicę)*:
Nic podejrzanego na ulicy, prawda? Idźcie do domu, ciemno już. Niebezpiecznie tu wieczorami.

SERGIUSZ:
Mamy broń przy sobie...

JUSTYN:
Dobrze... A więc jutro podczas silentium... Ty wykonasz, a silentariusz Paweł ci dopomoże... Dobrej nocy...

SERGIUSZ:
Chwilę, panie. *(Opiera się o poręcz).*

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Dlaczego właśnie jutro?

JUSTYN *(niecierpliwie)*:
Bo jutro. Trzeba było wziąć udział w naradzie, teraz zmieniać trudno... Przecież codziennie silentium nie ma, ale jeśli nie chcesz...

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Owszem, zgadzam się.

JUSTYN:
Dlaczego nie odchodzicie?

SERGIUSZ:
Tak mi jakoś nagle tchu zabrakło... Dziwna ta mgła i przykra.

JUSTYN:
Może wam dać sługę, który was wyprowadzi z tych zaułków?

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Nie, nie trzeba, chodź, Sergiuszu. Czy nie widzisz, że przeszkadzamy? Dobrej nocy, panie. *(Schodzą z ganku i giną w mgle).*

JUSTYN:
Nareszcie... Myślałem, że nigdy nie odejdą. Jutro będzie w stolicy, powiadasz. Lud go obwoła cesarzem po zwycięstwie. To jeszcze zawsze robi takie wrażenie. Widziałeś, jaka ulica była wzburzona.

DOMESTICUS:
Uprzedziłem dość wcześnie... Wasza dostojność mogła ostrzec spiskowców... Zresztą i jutro jeszcze czasu dosyć... Nie dopuścić do wykonania zamachu.

JUSTYN:
Dobryś... Oni radzi mu będą... O, on... ciągle mi nim oczy wytykali. Jeden wprost powiedział: Gdyby syn Germanosa nie był na granicy perskiej...

DOMESTICUS:
Wejdźmy do domu, panie.

JUSTYN:
Żeby nas żona moja usłyszała, dziękuję.

DOMESTICUS:
Mgła, wasza dostojność, ciemno, nie zobaczymy, jak się kto podsunie.

JUSTYN:
Mniejsza z tym, nie boję się.

DOMESTICUS:
Chodźmy chociaż na górny ganek, panie.

JUSTYN *(po chwili namysłu)*:
Dobrze, ale ostrożnie na schodach... Powiedziałem Zofii, że wrócę do pałacu. *(Wchodzą cicho, jakby skradając się do domu).*
(Ciemność wypełnia scenę. W oknach domów pojawiają się światła. Trzy dziewczyny biegną przez pustą ulicę. Jedna z nich zatrzymuje się przed domem Justyna).

1 DZIEWCZYNA *(łapiąc z trudem powietrze)*:
Nie mogę, nie mogę i... sandał mi się rozwiązał. *(Stawia nogę na stopniu i zaczyna wiązać rzemienie).*

2 DZIEWCZYNA *(oglądając się trwożnie)*:
Prędzej, prędzej, teraz akurat nikogo nie ma. Kto wie, kogo tu spotkać można.

1 DZIEWCZYNA:
Zaraz, zaraz...
(3 dziewczyna chodzi niespokojnie koło nich, nagle z daleka rozlegają się kroki przechodnia. Dziewczęta uciekają, na scenę wchodzi jakiś człowiek i puka do drzwi domu. W oknie ukazuje się głowa człowieka).

CZŁOWIEK NA ULICY:
Przyszedłem po te dwa ubrania, któreś mi sprzedał...
(Człowiek z okna znika i po chwili wraca z węzłem bielizny, którą podaje człowiekowi na ulicy).

CZŁOWIEK NA ULICY:
Moglibyście wpuścić mnie do domu?

CZŁOWIEK W OKNIE:
Nie...

CZŁOWIEK NA ULICY *(rozwiązując węzeł)*:
Nawet porządnie obejrzeć nie można... Gdzieś to znalazł?

CZŁOWIEK NA ULICY: Służysz u prefekta?

CZŁOWIEK NA ULICY *(oglądając szmaty przy słabym świetle sączącym się z okna)*:
Plamy.

CZŁOWIEK W OKNIE:
Nie mam kobiety teraz, a sam prać nie umiem...

CZŁOWIEK NA ULICY:
Czy to nie krew?...

CZŁOWIEK NA ULICY:
Może...

CZŁOWIEK NA ULICY:
Słuchaj no ty... Kradzione to i owszem, ale jeśliś, broń Boże...

CZŁOWIEK W OKNIE:
Mnich jesteś?
(Na górnym ganku ukazują się Justyn i domesticus. Domesticus trzyma kaganek w ręku, który stawia na stole. Justyn siada wygodnie na krześle).

JUSTYN:
Zdaje mi się, że nas nie zauważyła... Dobrze, żeś kaganek przyniósł, przyjemniej rozmawiać przy świetle, prawda?...

DOMESTICUS:
Ale nas z dołu łatwo zobaczyć można.

JUSTYN:
Mniej szpiegów w Bizancjum niż sądzisz... I każdemu życie miłe... Niebezpiecznie tu wieczorami. *(Zrywa się).* Ja życie narażałem, a on cesarzem zostanie. Radź mi... Przecież tak wcale być nie może.

DOMESTICUS:
A, wasza dostojność, skąd mnie, słudze, radzić, jeśli wasza dostojność nawet... Nie umiem, nie wiem...

JUSTYN:
Zapewniałeś mnie o swojej wierności.

DOMESTICUS:
To też nie na wierności mi zbywa, jeno na rozumie... Ale gdyby wasza dostojność zechciał napisać list. Zaniosę go, wasza dostojność, nawet dziś w nocy jeszcze, nawet do świętego pałacu, *(szeptem)* do cesarza.

JUSTYN *(po chwili)*:
Czy on ich skaże na śmierć?

DOMESTICUS:
Niezawodnie, chociaż czasami jego świątobliwość bywa łaskawy.

JUSTYN:
To dawniej, póki był młodszy. *(Namyśla się).* Jest ich tylu.

DOMESTICUS:
Kto ma zamach wykonać?

JUSTYN:
Silentariusz Paweł i Sergiusz.

DOMESTICUS:
O, to, to... Napisać: silentariusz Paweł i Sergiusz, dowódca straży Belizara, chcą....

JUSTYN *(kończąc)*:
Jutro podczas silentium...

DOMESTICUS:
Bardzo dobrze... A jeśli oni, nie wytrzymawszy tortur, wydadzą innych, to już nie będzie wina waszej dostojności.

JUSTYN *(siadając znów przy stole i wyjmując tabliczkę i gryfel)*:
Czy się podpisać?

DOMESTICUS:
A naturalnie... Niech cesarz wie, kto go kocha. I wasza dostojność należał do spisku, żeby wydać zbrodniarzy.

JUSTYN:
Nie mogąc przeszkodzić...

DOMESTICUS:
O tak, tak, doskonale.

JUSTYN *(próbuje pisać, po chwili odsuwa tabliczkę)*:
Nie, ręka mi się trzęsie. Pisz, mówię ci, pisz, bo ja... *(z nagłym gniewem)*. Twoja rada i twój grzech. Nie chcę z tym mieć nic do czynienia.

DOMESTICUS *(nie bez ironii)*:
Dobrze, wasza dostojność... Im śmierć, a mnie grzech w służbie waszej dostojności.

JUSTYN *(z gniewem)*:
Nie mędrkuj, tylko pisz. *(Domesticus zaczyna pisać w stojącej postawie)*.

JUSTYN:
W mojej służbie? Doprawdy! Sergiusz przyłoży mi nóż do gardła... Musiałem wziąć udział w spisku... Na śmierć zasłużył, przysięgam ci... *(z nienawiścią)*. Bodajby go długo męczyli przed śmiercią... silentariusza Pawła to mi nawet żal...
(Wchodzi Zofia).

ZOFIA:
Co tam robisz po ciemku?

JUSTYN:
Rozmawiam z Silweriuszem.

ZOFIA:
Kogo tam znowu stręczysz memu małżonkowi, rajfurze?

JUSTYN:
To dziwne, Zofio, zawsze myślisz o jakichś niedozwolonych związkach. Nie zdradzaj, najdroższa, tak często swego pochodzenia.

ZOFIA:
Milcz! *(do Domesticusa)*: Co bazgrzesz? Dawaj list, mówię ci, bo... *(wyrywa mu list z ręki i czyta)*. Do kogo to, do cesarza?

DOMESTICUS:
Tak, pani.

ZOFIA:
A więc tak... Stchórzyłeś w ostatniej chwili...

JUSTYN:
Nie, nie... Wejdźmy do mieszkania, Zofio.

ZOFIA:
Dość... Prawdę mów... Nie szukaj wykrętów... Ten list...

JUSTYN:
Justyn, syn Germanosa, przybywa jutro do miasta.

ZOFIA *(wybuchając śmiechem)*:
Och ty, och ty... Urządzać spisek na korzyść współzawodnika... Jak to do ciebie podobne.

JUSTYN:
Przestań drwić... Daj tabliczkę... Domesticus skończy list i zaniesie go cesarzowi, a później...

ZOFIA:
Nie, teraz albo nigdy... Nie mogę dłużej czekać... Życie mi się sprzykrzyło... I Mataswintha... Jej pogardliwe uśmiechy, jej spojrzenia... Tchu mi brak, gdy myślę o niej... Królewska córka, bo jej dziad kupie dzikich przewodził... Chcę nareszcie być cesarzową, chcę nareszcie postawić nogę na jej głowie. Niech błaga o życie swego syna... na próżno.

JUSTYN:
Jeśli nie wydamy spiskowców, to prędzej ona niż ty...

ZOFIA:
Słuchaj.... Jutro w nocy urządzimy powstanie w mieście. Porozumiemy się z zielonymi... I pieniędzmi, Bogu dzięki, jeszcze wszystko w Bizancjum zrobić można... Justyn na pewno przybywa bez wojsk, a choćby... musi być na silentium. Postarasz się, żeby z pałacu nie wyszedł żywy... Niech później koronują trupa na cesarza!

JUSTYN:
Pst! Nie krzycz... Śni ci się twoja babka Teodora, zbrodniarko... A jeśli się nie uda?

ZOFIA:
To umrzesz.

JUSTYN:
Łatwo tobie mówić, ale ja mam tylko jedno życie...

ZOFIA:
Och, ty z twoją ostrożnością, bodajbyś się nią udławił i udusił, bodajby ci kiedyś była kamieniem u szyi, ty tchórzliwe i ostrożne kurczę!
(Domesticus tymczasem skończył pisać list. Justyn bierze z jego ręki tabliczkę).

JUSTYN:
Doskonale! *(Do Zofii)*: Chcesz przeczytać?

ZOFIA:
Daj!.. Nawet listu nie potrafi napisać, przyszły cesarz.

JUSTYN:
Dość tego. Myślałby kto, że ty jesteś dziedziczką tronu, a nie ja.

ZOFIA:
Wiem, że nie mogę panować bez ciebie. *(Do Domesticusa)*: Dobrze... Pisz teraz: Córka moja, Eudoksja, pomagała mi w trudnym zadaniu...

JUSTYN:
Nie wtrącaj się, proszę, kiedy nie rozumiesz.

ZOFIA:
Siebie zabezpieczyłeś, a ona...

JUSTYN:
Dajże spokój, kobieto, takaś niby mądra.

ZOFIA:
A jeśli oni ją wydadzą.

JUSTYN:
Nie wydadzą, powiadam. Silentariusz Paweł nie wie, a Sergiusz ma obowiązki... wdzięczności...

ZOFIA:
Jak to mam rozumieć?

JUSTYN:
Jak najprościej.

ZOFIA *(zrywając się z krzesła)*:
Nie może być.

JUSTYN:
Tak! A to czemu? Twoja matka, Zofio, była tak publiczna, jak plac Augusteonu, więc co dziwnego, że i córka...

ZOFIA:

Milcz!... Nie znałeś może mojej matki, kiedyś mnie brał, nie wiedziałeś, psie podły, że... Dlaczego to zrobiłeś, ty bezwstydny hańbicielu własnej córki? Mów, bo wydam cię cesarzowi zanim zdążysz napełnić mu uszy swymi kłamstwami...

JUSTYN:

Przysięgam ci, Zofio, że to nie moja wina... Poznali się w obozie... Pamiętasz, po zwycięstwie nad Hunnami Eudoksja poszła z Mataswinthą...

ZOFIA:

To przez nią, przez tę sukę barbarzyńską... To jej wina. Wszystkie nieszczęścia moje przez nią. *(Zaczyna płakać).*

JUSTYN:

Później, kiedy mi Sergiusz powiedział... Co miałem robić ? Nie mogłem jej przecież zamknąć w klasztorze... Nasze jedyne dziecko!... Cesarz by się dowiedział i nas wydziedziczył... Sergiusz miał zostać naszym zięciem, gdyby się spisek udał...

ZOFIA *(płacząc)*:

O, jakże ja się zemszczę kiedyś.

JUSTYN:

No tak... Ale widzisz, nie mogę pisać o Eudoksji, nie mogę zwracać uwagi cesarzowi na nią... On taki podejrzliwy, zaraz domyśli się prawdy, a wtedy...

ZOFIA:

Nie poślesz tej tabliczki, bo...

W tej chwili z donośnym krzykiem: „Zabije, zabije!" przebiega człowiek koło domu, za nim drugi. Po chwili słychać przeraźliwy jęk i upadek ciała. Natychmiast światła w oknach domów gasną. Domesticus tłumi ręką płomień kaganka. Zofia i Justyn, drżąc, tulą się do siebie. W ciemnej ulicy domy zaczynają szeptać:

Zabił go.
Może żyje jeszcze.
Idź mu z pomocą.
Nie można. Zabójca jeszcze blisko.
Trzeba go schwytać.

Pewno uzbrojony.
(Ranny jęczy).

JUSTYN *(bezdźwięcznie, jakby bezmyślnie)*:
Wnieście go do domu.

DOMESTICUS:
E, po co, wasza dostojność?

JUSTYN:
Nie wiem. Może Bóg zlituje się nad nami, gdy okażemy miłosierdzie... Śmierć przebiegła koło nas... O, Zofio... *(ukrywa twarz w rękach, po chwili do Domesticusa)*: Weź, weź dużo ludzi ze sobą, idź natychmiast do pałacu, bo inaczej...

ZOFIA *(obejmując go, błagalnie)*:
Justynie!

JUSTYN:
Nic jej się nie stanie. Nie bój się, Zofio... *(Gładzi ją po głowie).* Przecież ona jest także moim dzieckiem.

ZOFIA:
Ona cała moja... Tobie każda dziewka urodzi dziecko, a ja mam ją jedną... Nie dam jej... Ty tylko ojcem jesteś, nie rozumiesz... Czujesz, jak mi serce bije?... Ulituj się nade mną... Jeden włos z jej głowy... Nie, nie... Przecież myśmy się niegdyś kochali.

JUSTYN:
Nic jej się nie stanie.

ZOFIA:
Ale... może... jednak... Patrz, noc przejdzie i dzień, a ja ciągle myśleć będę: może jednak... Zlituj się nade mną... Ja nie mogę żyć bez niej... Cóż się z życia mego zostanie, jeśli ona umrze?
(Tymczasem Domesticus wziął tabliczkę, którą Zofia rzuciła na stół, i wymknął się cichaczem).

JUSTYN:
I nam śmierć grozi.

ZOFIA:
Jesteśmy starzy... To nie tak strasznie umierać, tylko ludziom bezdzietnym...

JUSTYN *(odsuwając się gwałtownie od niej)*:
Nic chcę umierać.

ZOFIA:
Nikt nie czyha na życie twoje.

JUSTYN:
Syn Germanosa zostanie basileusem, a wtedy...

ZOFIA:
Ale Eudoksja żyć będzie...

JUSTYN *(po chwili)*:
Co zrobisz z dziećmi Justyna, gdy będziesz cesarzową?...

ZOFIA:
Nie wiem, może... *(urywa)*. Tak, zabiję je, ale on będzie miłosierny.

JUSTYN:
I Mataswintha...

ZOFIA:
I Mataswintha nawet. *(Nagle krzyczy)*: Gdzie ten człowiek?... Co, poszedł już?...Nie dam zamordować swojej córki... Puść mnie, schronię się z nią do kościoła... Eudoksjo! Eudoksjo!...

JUSTYN:
Milcz, pójdziesz z nią jutro do pałacu, cesarz kazał... Czy chcesz nas wszystkich zgubić?...

ZOFIA:
Eudoksjo, Eudoksjo.
(Na progu ganku staje Eudoksja, światło z komnaty pada na blade twarze Zofii i Justyna).

EUDOKSJA:
Wołałaś mnie, matko?
(Zofia rzuca się ku niej, obejmuje ją i pokrywa pocałunkami).

EUDOKSJA *(odpychając ją z lekka)*:
E, przypomniały ci się młode lata... Ale ty nie jesteś pięknym chłopcem, mamo.

AKT III

Uroczyste silentium w wielkim tiriklinium pałacu. Pośrodku na tronie basileus Justynian, starzec niemal stuletni, okryty wielkim wspaniałym płaszczem cesarskim, z koroną na głowie. Z prawej jego strony siedzą: patriarcha i Justyn, syn Wigilancji, curopalatus, z lewej strony Justyn, syn Germanosa. Obok nich stoją: prefekt Piotr Barsymes, Belizar, kwestor Konstanty i dwóch, trzech innych dostojników, za nimi urzędnicy dworscy i żołnierze gwardii cesarskiej, a przy trzech bocznych drzwiach senatorowie, patrycjusze, magistrowie, każdy stan przy innych drzwiach. Pośrodku sali praepositus i magister ceraemoniarum. Przed tronem silentariusz na kolanach.

BASILEUS:
Czy schwytano zbrodniarzy?

SILENTARIUSZ:
Tak, wasza świątobliwość.

BASILEUS:
Przeszukano ich?

SILENTARIUSZ:
Tak, wasza świątobliwość.

BASILEUS:
Co znaleziono?

SILENTARIUSZ:
List, wasza świątobliwość, i miecz krótki.
Basileus prawie niepostrzeżenie zwraca oczy na praepositusa. Ten podchodzi do silentariusza, bierze z jego rąk list i miecz i na klęczkach podaje je cesarzowi. Basileus odtrąca oręż, czyta tabliczkę, następnie z wolna, jakby z trudem, odwraca głowę i patrzy na Justyna, syna Wigilancji.

BASILEUS *(patrząc na Justyna)*:
Przyprowadźcie zbrodniarzy do tej sali. *(Silentariusz wstaje i wychodzi)*. Justynie!

JUSTYN:
Wasza świątobliwość.

BASILEUS:
Każ zawołać swoja córkę, Justynie. *(Odwraca głowę)*. Niech przyjdzie jeden z referendarzy.

JUSTYN *(blednąc, bełkoce)*:
Moja małżonka, Zofia...

BASILEUS:
Każ zawołać swoją córkę, tylko swoją córkę... Zrozumiałeś? *(Justyn odwraca się i mówi kilka słów do eunucha stojącego za jego krzesłem, w tej chwili wprowadzają Sergiusza i silentariusza Pawła pod strażą)*.

BASILEUS *(do referendarza, który nadszedł tymczasem i stoi z tabliczką i gryflem w ręku u stóp tronu oczekując rozkazów)*:
Pytaj.

REFERENDARZ *(do Sergiusza)*:
Twoje imię?

SERGIUSZ:
Sergiusz, syn Doroteusza, dowódca doryforów jego dostojności patrycjusza Belizara.

BASILEUS *(odwracając głowę w stronę Belizara)*:
A więc jednak. *(Do referendarza)*: Czy przyznaje się do winy?

REFERENDARZ:
Czy przyznajesz, że wtargnąłeś do pałacu w zbrodniczym zamiarze... *(urywa zmieszany)*.

BASILEUS *(do referendarza)*:
Mów dalej! *(Ponieważ referendarz milczy, dodaje)*: Zamordowania świętej osoby basileusa.

SERGIUSZ:
Do winy się nie przyznaję.

REFERENDARZ:
Znaleziona pod twoją tuniką broń świadczy przeciwko tobie.

SERGIUSZ:
Spróbuj bez broni przejść nocą przez ogrody świętego pałacu.

BASILEUS:
Dlaczego przyszedł tutaj?

REFERENDARZ:
Dlaczego przyszedłeś...

SERGIUSZ:
Nie jestem głuchy... Przyszedłem z rozkazu patrycjusza.

BELIZAR:
Kłamiesz!

SERGIUSZ:
Doryfor Marcellus, któremu wasza dostojność kazał towarzyszyć sobie na silentium, zachorował, więc ja...

REFERENDARZ:
Dlaczego chciałeś przemocą wedrzeć się do pałacu?

SERGIUSZ:
Nie przemocą... Kazałem tylko zawołać swego przyjaciela Pawła, bo sprzykrzyło mi się stać na dworze w nocy... *(urywa).*

REFERENDARZ *(nie ciągnie dalej indagacji, zaambarasowany, wreszcie po krótkim milczeniu)*:
Może by tortury...
(Nikt mu nie odpowiada. W tej chwili wchodzi księżniczka Eudoksja, Basileus podnosi się ze swej wpółleżącej pozycji i wlepia przenikliwe, ostre, młode oczy w dziewczynę. Eudoksja nie zmieszana pada przed nim na twarz i powstaje).

BASILEUS *(głos mu się zmienił, mówi teraz prędko, urywanymi zdaniami)*:
Znasz tych ludzi?

EUDOKSJA:
Nie.

BASILEUS:
Sergiusz utrzymuje, żeś mu naznaczyła schadzkę w pałacu.

EUDOKSJA *(plując w twarz Sergiuszowi)*:
Psie!... Strach ci chyba rozum pomieszał. Nigdym go nawet nie widziała.

BASILEUS *(do referendarza)*:
Pisz, księżniczka zna Sergiusza, syna Florusa...

REFERENDARZ *(pisząc, powtarza)*:
Sergiusza syna Doroteusza...

BASILEUS *(drgnął)*:
Ach!
(Eudoksja milczy, marszcząc brwi).

BASILEUS *(do Eudoksji)*:
Który z nich jest twoim kochankiem? Obaj może?
(Eudoksja zacina wargi).

BASILEUS:
Odpowiadaj, przed sędzią swoim stoisz.
(Eudoksja milczy).

BASILEUS *(do Sergiusza i silentariusza Pawła)*:
I wy także... Mówcie, wyznajcie waszą winę, błagajcie o moją łaskę, póki jeszcze chcę i mogę przebaczyć *(osuwa się na krześle i patrząc w przestrzeń, mówi wolno i cicho)*: Bo ja nie czuję do was gniewu, o mordercy moi, i żałuję, że czyjeś usłużne ręce zasłoniły tron mój przed wami... Stary jestem i zmęczony, spragniony spokoju i ciszy, którą znaleźć można tylko w grobie...

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(drżącym głosem)*:
I w klasztorze, wasza świątobliwość.

BASILEUS *(zrywając się, ostro)*:
Gdybym dzieci miał, ale te dwie żmije, wyhodowane na moim łonie. *(Wskazuje synowców swoich. Justyn, syn Germanosa, rzuca mu krótkie spojrzenie. Curopalatus chce protestować, cesarz ciągnie dalej)*: W czyje ręce złożę rządy świata, komu oddam ludy powierzone mi przez Boga? Czy temu głupiemu żołdakowi, który tylko grabić i łupić potrafi...

JUSTYN, SYN GERMANOSA *(zrywając się z krzesła)*:
Za co? Jak ten pies stałem na granicy perskiej.

BASILEUS *(mierząc go złymi oczyma)*:
Milcz!.. Czy temu chytremu lisowi, temu zdrajcy zdrajców, bo on was zdradził, słyszycie, on, który was do spisku namówił, on, który... *(urywa)*. Zaprzecz, jeżeli możesz, Justynie.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
A co będzie po śmierci waszej świątobliwości?
(Poruszenie na sali wobec bezprzykładnej bezczelności silentariusza. Basileus drgnął i wstrząsnął się).

KWESTOR:
Wasza świątobliwość robi za wielki zaszczyt tym łotrom mówiąc do nich, tortury wymuszą z nich zeznania.

BASILEUS *(dając mu znak rękę, żeby milczał)*:
Gdy Bogu spodoba się powołać mnie do swojej chwały, znajdzie Pan nasz i następcę, na którego barki złoży ciężar... *(zrywając się i pochylając)*. A wy kogo upatrzyliście na cesarza?... Którego z tych dwóch, myślę? Żadnego? Wy sami chybaście o koronie nie marzyli... Komuście ją dać chcieli? *(Wodząc oczyma po obecnych)*. Przyjrzyjcie się im... Każdy godny korony, co? Krew niewinna na rękach, pycha i chciwość w sercach, a myśli lubieżne w duszy. Nie ma grzechu, którym by się nie zmazali i zbrodni, której by nie popełnili. Oto siedzą upici krwią i dojrzali do śmierci, jak syte pijawki na trupie konia... I sądzą, że nie znam ich przestępstw. I wierzą, że mnie oszukać potrafią. Lecz ja wiem wszystko. *(Zamyślony)*: Tylko rządzić nie umiem bez nich i przeciw ich woli. *(Po chwili, ostro)*: Imię tego, który miał być cesarzem po mnie?

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Świat nie kończy się na złoconej sali posiedzeń.

BASILEUS *(dając ręką znak referendarzowi, który coś notuje skrzętnie)*:

I gwałt się nie kończy, i łupiestwo, i siedem grzechów głównych... Oto królestwo moje na tej ziemi, królestwo łotrów, zbójców, złodziei, strzygących głupie owce ludzkie do dziesiątej skóry, bo się dają, bo milczą, bo... *(urywa)*.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:

Daj innemu, panie, spróbować, czy lepiej rządzić nie potrafi...

BASILEUS *(stanowczo)*:

Nie, nikt nie odwróci klęski wiszącej nad miastem, gdy ja jej zażegnać nie mogłem...

SERGIUSZ:

O, nieprawda, jeszcze nie wszystko stracone, jeszcze dość nas w Bizancjum młodych. I silnych, i śmiałych... Niech tylko przyjdzie ten, co zechce poprowadzić nas do zwycięstwa, młody, i silny, i śmiały, jak my...

BASILEUS:

Kto poradzi przeciw woli Bożej?

SERGIUSZ:

Przynajmniej nie posłałby Hunnom okupu po zwycięstwie.

BASILEUS:

A więc dlatego? O, nie doniosą swoich skarbów nad Dunaj. Dałem znać Awarom, że Hunnowie wracają obładowani zdobyczą i teraz, w tej chwili może, ku chwale Rzymu, barbarzyńca morduje barbarzyńcę o złoto bizantyjskie.

SERGIUSZ:

Gdyby nie wstrzymano pogoni, Awarowie nie mieliby kogo mordować.

BASILEUS *(osuwając się na krześle)*:

Dość!... Odczytaj zeznania oskarżonych, referendarzu.

REFERENDARZ:

Sergiusz, syn Doroteusza, i Paweł, syn Florusa, przyznają, że przybyli do świętego pałacu w celu zamordowania najjaśniejszego basi-

leusa Justyniana. Do czynu tego pobudziła zbrodniarzy okoliczność, że zapłacona została danina Hunnom po zwycięstwie. Na tronie zamierzali osadzić nieznanego człowieka, nie pochodzącego z rodziny cesarskiej.

SERGIUSZ:
Kłamstwo, żaden z nas tego nie powiedział.

BASILEUS:
Belizarze, czy protokół zgadza się z zeznaniami oskarżonych?

BELIZAR *(smutnie)*:
Niestety, tak, o Sergiuszu.

SERGIUSZ:
Chciałbym wiedzieć, kto nas wydał, który z tych podłych łotrów.

BASILEUS:
Ostrzeżony zostałem przez najukochańszego mego siostrzeńca, Justyna, zarządcę pałaców.

SERGIUSZ:
Więc naprawdę.

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(do Justyna)*:
Życzę ci, panie, dużo szczęścia... Jesteś cokolwiek podlejszy niż sądziłem, ale niewiele...
(Justyn milczy).

BASILEUS:
Słusznie robisz, Justynie, że nie odpowiadasz na tę obelgę... Trzeba przebaczać... *(z naciskiem)* umierającym.
(Milczenie).

PATRIARCHA:
Miłosierdzie twoje, panie...

BASILEUS:
Z mocy swego urzędu musisz domagać się łaski... Przypuść, żeś już powiedział długą, nudną mowę i milcz. *(Do oskarżonych)*: Wy zaś pamiętajcie, że życie wasze jest małym, szarym ptaszkiem w moim ręku. *(Wyciąga i zamyka rękę)*.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Wiemy, panie, i dlatego szykujemy się na śmierć.

BASILEUS:
Kto spiskował razem z wami...

SERGIUSZ:
Nikt, my dwaj tylko...

BASILEUS:
Kłamiesz, nigdy bym o spisku nie wiedział, gdyby was więcej nie było... *(urywa, po chwili)*. Jestem źródłem wszelkiej łaski, lecz nie mogę przebaczyć, póki wiem, że tam w ciemności czyha na mnie śmierć.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Śpij spokojnie, panie, wszystko skończone.

BASILEUS:
Nie wierzę... Ich nazwiska... Być może, że nie ukarzę ich wcale, lecz chcę wiedzieć, kto mi jest wrogiem, bo nie mogę żyć z mieczem wiszącym nad głową moją.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
O, panie, nie jesteśmy dziećmi.

BASILEUS:
Jak śmiesz mi nie wierzyć, mnie, cesarzowi twemu. Odpowiadaj, kto...

SERGIUSZ:
Dosyć, daj nam chwilę spoczynku, panie, przed śmiercią.

BASILEUS:
Nie słyszałeś, że radzono mi użyć tortur... Czy moje słowa straszniejsze są od narzędzi katowskich, że wolisz...

SERGIUSZ:
Wolę, wolę... Byle stąd wyjść. *(Opiera się o kolumnę).*

BASILEUS:
Odepchnijcie go od kolumny, niech stoi prosto przed naszym obliczem... Ich nazwiska... życie za życie, Sergiuszu.

SERGIUSZ *(próbując się uśmiechnąć)*:
Jesteś złym kupcem, panie, nie dobijesz targu.

BASILEUS:
Który z tych obwieszonych złotem łotrów jest waszym wspólnikiem? *(Wodząc oczyma po zebranych)*: Piotr Barsymes, Belizar, Patriarcha ? *(Zwraca znów oczy na Sergiusza)*.

SERGIUSZ:
Nikt, nikt.

BASILEUS:
Wydaj, ich... Na twoim miejscu każdy by cię zdradził, każdy, nie znasz ich tak, jak ja. Wydaliby cię na jedno groźne zmarszczenie moich brwi, na jedno skinienie moje, a może za jedną sztukę złota... Zrób jak oni.

SERGIUSZ:
Nie, nie... O, przez litość, panie, każ nas zaprowadzić do więzienia...

BASILEUS:
Nie pójdziecie do więzienia, nie chcę tortur, nie chcę odkładać, zwlekać... Przed pałacem czeka na was ksiądz i kat. *(Głośno)*. Pomiędzy wami a śmiercią stoi tylko moja wola.

SERGIUSZ:
Dziś! *(Zakrywając sobie twarz rękoma)*. Och!

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(cicho)*:
Już dziś. Koniec więc...

BASILEUS:
Nazwiska wspólników twoich, a żyć będziesz...

SERGIUSZ:
Nie, nie... Przecież jeszcze sądu nie było... I jakże to, już... Bez obrony nawet... Gdzie sędziowie moi... Dajcie mi mówić, dajcie mi choć myśli zebrać... Wasza świątobliwość nie ma prawa...

BASILEUS:
Jestem najwyższym sędzią i wola moja jest prawem... Czy nic nie zeznasz?

SERGIUSZ:
Nie, wolę jednak umrzeć.

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(biorąc go za rękę)*:
Chodź.

SERGIUSZ:
Nie dotykaj się mnie... To ty wszystkiemu winien jesteś, twoje gadanie... O, dlaczego, dałem się wciągnąć do spisku, przecież mnie tak dobrze było na świecie.

BASILEUS:
Młody byłeś... Życie stało przed tobą i czekało na ciebie... Pamiętasz: wszelkie szczęście na ziemi. Prawda, zwycięzco? O, ty mnie rozumiesz, Sergiuszu. Zwycięstwo w amfiteatrze, bieg rączych koni, twoich rączych koni u mety. Zwycięstwo na polu bitwy, usypane w kopce ciała wrogów, wrzawa i krzyk pogoni, zdobycz, godna okupu króla, triumfalny wjazd do miasta i tam, w mgłach przyszłości, konsulat, dowództwo nad wojskami, a może nawet złota korona basileusów, nie, więcej jeszcze, władza nad światem, nad całym światem, jak niegdyś, jak przed latami, imperatorze rzymski... *(urywa)*. To wszystko było twoje i wszystko umrze z tobą za chwilę przed pałacem moim...

SERGIUSZ:
(płacze).

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Nie płacz... Grałeś i przegrałeś... Zapłać swoją stawkę, jak mąż...

BASILEUS *(wskazując Eudoksję)*:
Spójrz na nią, czy nie piękna... księżniczka, dziedziczka tronu, ale w twoich objęciach tylko kobieta. *(Podnosząc tabliczkę, podaną mu*

przez praepositusa). Oto słowa jej, najsłodsze słowa, pisane do ciebie... I ślady twoich ust... *(urywa).* Szaleńcze, czyż ona warta takiej miłości... Są inne, młodsze, piękniejsze, bardziej rozkochane, i wszystkie czekają na ciebie, i wszystkie będą twoje, jeżeli zechcesz. Bo świat cały należy do młodości i życie... Przysięgam wam, że więcej jest goryczy w starości niźli w śmierci... Ale ty mógłbyś jeszcze bardzo długo być młodym, Sergiuszu.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:
Młodość nie jest tak piękna, jak się starcom wydaje, i życie także nie.

BASILEUS:
Sergiuszu, to było, a teraz kat oczekuje cię za progiem tej sali i śmierć.

SERGIUSZ *(padając na kolana)*:
O, żyć, za wszelką cenę żyć!

SILENTARIUSZ PAWEŁ *(zatykając mu usta ręką)*:
Pamiętaj, że gorzko jest umierać, nie gub ich.

BASILEUS:
Rozdzielcie oskarżonych! *(Straż odsuwa Pawła od Sergiusza).* Kto brał udział w spisku?

SERGIUSZ *(wstając z klęczek)*:
Nie... Niech się wasza świątobliwość zwróci do niego *(wskazuje Justyna).*

BASILEUS *(jakby rozważając jego słowa)*:
Justyn? Gdybyś prędzej mi wszystko wyznał, Justynie, co? Prawda? *(Nagle groźnie).* Nie chcę. *(Do Sergiusza)*: Bez rad się obejdę, ty mi wydasz swoich wspólników, ty jeden. Ich nazwiska, słyszysz...

SERGIUSZ:
Nie, wasza świątobliwość... O, wyprowadźcie mnie stąd, choćby na śmierć.

BASILEUS *(miękko)*:
Dlaczego się tak spieszysz do śmierci, Sergiuszu?... Gdybym był tobą... Patrz, upij wzrok światłem tych ścian, napełnij uszy dźwię-

kiem mowy ludzkiej, bo wielka ciemność idzie na ciebie i milczenie, i między tobą a światem żyjących... *(urywa)*. Kto brał udział w spisku?...

SERGIUSZ *(ledwo dosłyszalnym głosem)*:

Antemiusz, syn Antemiusza z Trallesu, Marcellus, doryfor ze stronnictwa zielonych, i Joannes... *(głos jego się łamie)*.

SILENTARIUSZ PAWEŁ:

Kłamiesz, my dwaj tylko i curopalatus Justyn.

BASILEUS:

Wiem, był waszym wspólnikiem. *(Do Justyna)*: Dałbym rok życia, a nie mam ich za wiele przed sobą, żeby odgadnąć, dlaczego tyś ich wydał... Zląkłeś się w ostatniej chwili, co? Boś ty naprawdę spiskował, Justynie. *(Do Sergiusza)*. Kto więcej?

SERGIUSZ:

Nikt, nie pamiętam, nie wiem... O Matko Boga jedynego!

BASILEUS:

Zapomniałeś najważniejszego przestępcę. Patrycjusz Belizar.

BELIZAR:

Jestem niewinny.

BASILEUS:

Naprawdę? O ty! Od dwudziestu lat czuję cię w każdym spisku przeciwko naszej osobie, od dwudziestu lat wlepiasz oczy w moją koronę i czekasz, czekasz... Ty, niewdzięczny, fałszywy sługo, ty bezczelny kłamco, ty podstępny łotrze... Ułowiłem cię nareszcie, wężu. *(Wskazując Sergiusza)*. Dowódca twojej straży miał mnie zabić... Ośmiel się zaprzeczyć, żeś ty uzbroił jego rękę.

BELIZAR:

Na krzyż przysięgnę, żem do spisku nie należał. Czy to wystarcza?

PATRIARCHA:

Musi wystarczyć.

BASILEUS:

Jeśli ja zechcę...

SERGIUSZ:
Na zbawienie duszy mojej, patrycjusz o spisku nie wiedział.

BASILEUS:
A może o nim nie wiedziała... ona? *(Wskazuje księżniczkę Eudoksję).*

SERGIUSZ *(wlepiając wzrok w ziemię)*:
Księżniczka Eudoksja.

EUDOKSJA:
Powiedz, że nie wiedziałam, przysięgnij, jakieś przed chwilą przysięgał, żem niewinna... Mów, na śmierć mnie skazujesz swoim milczeniem. *(Bierze go za rękę, miękko).* Choćby dlatego, żem cię kochała.

BASILEUS:
Przed chwilą zaparłaś się swego kochanka, Eudoksjo.

EUDOKSJA:
Bom go znów tak nie miłowała, żeby dla niego pójść do klasztoru. *(Do Sergiusza)*: O, dlaczego dajesz mi czekać... Przecież to tak łatwo... Powiedz, żeśmy mówili tylko o naszej miłości, o sobie, o wszystkim, tylko nie... Sergiuszu!

SERGIUSZ *(odwracając się od niej)*:
Co to pomoże, księżniczko, on wie wszystko.

EUDOKSJA:
A choćby wiedział, a choćby czytał w twoim sercu, a choćby miał tysiące dowodów... Zaprzecz, powiedz mu, że kłamie, powiedz, że wolisz umrzeć niż... *(Sergiusz milczy).* Nie... *(odstępując od niego do Basileusa)*: Jestem winna, czy zadowolony jesteś, panie?

BASILEUS:
Ja? Czy nie widzisz, jak strasznie cierpię w tej chwili, *(miękko)* moje dziecko.

EUDOKSJA:
Nie kłam, cieszysz się... Nienawidzisz mnie i nienawidziłeś od chwili urodzenia mego, bo ty już wtedy byłeś stary... Zazdrościłeś mi mojej młodości, wiem, wy wszyscy mi zazdrościcie, chociaż umrę za

chwilę, mojej gorącej krwi i mego dumnego serca... Bo straszna jest starość... I jeśli dziś nie boję się śmierci, *(poprawia się)* nie tak bardzo boję się śmierci, to tylko dlatego, że wolę umrzeć niż być, jak wy pośmiewiskiem ludziom i obrazą Bogu na ziemi.

BASILEUS:
Ty się nie zestarzejesz, Eudoksjo.

EUDOKSJA:
Wiem, skażesz mnie na śmierć... I wszystko mi jedno.

BASILEUS *(do Justyna)*:
Justynie, nie ma gorszego przekleństwa niż bezdzietność.
(Justyn próbuje odpowiedzieć, ale głos nie wydobywa mu się z gardła, zbielałe jego wargi poruszają się bez dźwięku).

BASILEUS:
Nie będziesz już miał innych dzieci, Justynie, za starzy jesteście, ty i twoja żona. Mógłbym cię na śmierć skazać, Justynie, boś ty naprawdę spiskował przeciwko mojej świętej osobie, ale wolę ukarać cię inaczej. Eudoksjo, czy żałujesz swoich zbrodniczych zamiarów?

EUDOKSJA:
Żałuję, że pozostały tylko zamiarami.

BASILEUS:
Jesteś okrutna, Eudoksjo. Dlaczego pastwisz się nade mną, za co? Czyż cię nie kochałem, czy nie byłem ci ojcem i matką zarazem, bo rodzice twoi... *(urywa)*. O, jedyna radości oczu moich, ostatnie moje szczęście na ziemi, ty, która masz oczy mojej Teodory. Jakże mogłaś, córko, obłudnie całować mi ręce wiedząc, że śmierć mi grozi.

EUDOKSJA:
Pora ci było umierać. Dlaczego żyjesz tak długo... Dość jest starców w Bizancjum... Słońce się zestarzało patrząc na was, ziemia się wzdryga. Fu! *(Wstrząsa się)*.

BASILEUS:
Gdybym cię posłał do klasztoru?

EUDOKSJA:
Nie chcę do klasztoru... Jestem cesarską księżniczką i chciałam być kiedyś cesarzową, a jeśli nie...

BASILEUS:
W takim razie musisz umrzeć, bo ja nie mogę pozwolić, żebyś po mojej śmierci ty rządziła światem.

EUDOKSJA:
Nazywaj to, jak chcesz... Wiedziałam zaraz, że mi nie przebaczysz i dlatego nie płakałam i nie błagałam o litość... Zawiodłeś się, prawda? Myślałeś pewno: będzie nogi moje całowała... Otóż właśnie nie. *(Przechylając głowę w stronę Sergiusza).* A jemu darujesz życie?

BASILEUS:
Przyrzekłem.

EUDOKSJA:
Ty mnie naprawdę kochałeś, panie, tak mi się wydaje, teraz, gdy przypomnę sobie... i dlatego spełnisz mi jedną, jedyną prośbę przed śmiercią. Jedną to nie dużo... I nie za trudną, panie.

BASILEUS:
Mów.

EUDOKSJA:
Każ go zamurować w podziemiach klasztoru, niech żyje tam aż mu włosy w mur wrosną, aż mu ciało odpadnie od kości, aż nam zacznie zazdrościć śmierci, nam, którzy umieramy przez niego...

BASILEUS:
Prośba twoja zostanie wysłuchana.

SERGIUSZ:
Odwołuję swoje zeznania... Przysięgam, że nikt nie jest winny oprócz mnie. Z małodusznego strachu wymieniłem nazwiska swoich przyjaciół...

PRAEPOSITUS *(na znak cesarza)*:
Rozkaz wydany.

MAGISTER CAEREMONIARUM:
Zamilczcie.
(Głębokie milczenie na sali).

BASILEUS:
Mocą swojej władzy skazuję doryfora Sergiusza na zamurowanie w podziemiach klasztoru Dalmatusa, a silentariusza Pawła i księżniczkę Eudoksję na śmierć... Wyprowadźcie skazanych i niech wyrok będzie wykonany dziś w nocy... *(po chwili).* Czy sprawiedliwie osądziłem?
(Niektórzy z obecnych milczą, inni nieśmiało mówią: tak).

KWESTOR:
Wyrok twój, panie, musi być sprawiedliwy, bo ty jesteś sprawiedliwością samą. Czasami obawiam się, że jak Eliasz za życia jeszcze zostaniesz porwany do nieba.
(Tymczasem straż wyprowadziła Sergiusza i Pawła i zbliża się do księżniczki Eudoksji).

EUDOKSJA:
Już! Nie... Jeszcze chwilę... Moja matka niech przyjdzie... Jakże ja sama wobec tylu ludzi, tylu obcych ludzi... Moja matka...

BASILEUS:
Niech Zofia oczekuje skazaną przed pałacem, ale do mnie jej nie wpuszczać, ani dziś, ani jutro.

EUDOKSJA:
Dlaczego nie wstawiacie się za mną, wy wszyscy, którzy jutro żyć będziecie? *(Bada oczyma wszystkie twarze, z westchnieniem).* Nikt... Choćby ty, ojcze... Ja wiem, że to nic nie pomoże, ale błagaj, błagaj go o życie moje. *(Milczenie, wszyscy patrzą na Justyna, który siedzi nieruchomo, blady jak płótno).* Jestem twoim jedynym dzieckiem, ojcze. *(Milczenie).* Moja matka, Zofia, była chyba tak rozpustna, jak cesarzowa Teodora, twoja małżonka, panie, bo tyś przecież nie jest moim ojcem.

BASILEUS:
Wyprowadźcie skazaną.

EUDOKSJA:
Jeszcze, jeszcze chwilę... *(straż zatrzymuje się).* Choćby do jutra... Nie, raz skończyć trzeba. *(Wychodzi pod strażą).*

PATRIARCHA:
Miłosierdzia, panie, umieliście niegdyś przebaczać.

BASILEUS:
Byłem młodszy wtedy.

PATRIARCHA:
W imię Pana naszego, Chrystusa...

BASILEUS:
Ojciec Sabatiusz oczekuje waszą świątobliwość w mojej sypialni i ja przyjdę tam niedługo... Ani słowa więcej... Zapomniałeś widać, że od tygodnia śmiesz być innego zdania niż ja *(mierząc go złymi oczyma)* i że *(półgłosem)* nie byłbyś pierwszym patriarchą skazanym na wygnanie przeze mnie.

PATRIARCHA:
To będzie, jak się Bogu spodoba, panie.

PRAEPOSITUS *(na znak basileusa)*:
Rozkaz wydany.

MAGISTER CAEREMONIARUM:
Rozejdźcie się.
Stojący u ścian patrycjusze, senatorowie, magistrowie, jako i służba dworska wychodzą bocznymi drzwiami, natomiast wyżsi urzędnicy przechodzą przed cesarzem i padają przed nim na twarz. Patriarcha jedynie poprzestaje na ukłonie. Justyn, syn Wigilancji, pozostaje bez ruchu, jakby zemdlony, na podłodze. Robi się zamieszanie, ale dwóch silentariuszy podnosi go i, na wpół unosząc, wyprowadza. Belizar podchodzi do praepositusa, który usunął się nieco na stronę, i zamienia z nim słów kilka. Tymczasem vestiarii zdjęli już z nieruchomo siedzącego cesarza płaszcz i koronę. Praepositus pada na twarz przed tronem i pozostaje w klęczącej postawie.

PRAEPOSITUS:
Patrycjusz Belizar prosi o posłuchanie.

BASILEUS:
Dobrze.
(Belizar podchodzi i pada na twarz).

BASILEUS:
Wstań, patrycjuszu, i mów, byle prędko... *(przesuwa ręką po czole).* Zmęczony jestem... Ojciec Sabatiusz i Patriarcha czekają na mnie.

BELIZAR:
Czy mogę prosić o posłuchanie bez świadków? *(Basileus daje znak ręką).*

MAGISTER CAEREMONIARUM:
Rozejdźcie się.
(Straż i reszta służby opuszcza salę, pozostają tylko Justynian na tronie, przed nim Belizar. Basileus leży znów w swoim krześle).

BASILEUS:
Czekam.

BELIZAR:
Wiedziałem o tym spisku, panie.

BASILEUS *(bardzo zmęczony)*:
Chciałeś przysięgać na krzyż...

BELIZAR *(kończąc)*:
Żem w nim udziału nie brał i teraz jeszcze przysięgnę.

BASILEUS:
Tak, nie pamiętam zresztą, ale chcę ci wierzyć, patrycjuszu, bo zmęczony jestem i dość mam tego wszystkiego. *(Nie bez ironii).* Ach, wiedziałeś tylko... Czego żądasz za to, żem cię niewinnie posądził?

BELIZAR:
Zasłużyłem na śmierć, panie.

BASILEUS:
Co mi po twoim życiu, stary, niech umierają młodzi.

BELIZAR:
Więc wolno mi odejść, panie...

BASILEUS:
Tak, prędko... Ja ci jeszcze nie przebaczyłem, patrycjuszu...

BELIZAR:
Sądziłem...

BASILEUS:
Darowałem ci tylko życie, jakem je Sergiuszowi darował. *(Belizar robi ruch pełen zdziwienia i przerażenia).* Nie bój się, nie mam zamiaru cię ukarać, ale jeszcze ci przebaczyć nie mogę... Mów, usprawiedliwiaj się, a może... jesteśmy sami... Nikt nie stoi między nami... Ty często uskarżasz się na urzędników dworskich, wiem o tym...

BELIZAR:
Czego wasza świątobliwość żąda ode mnie?

BASILEUS:
Chcę pomówić z tobą. Dlaczego przyznałeś się do winy dobrowolnie?

BELIZAR:
Nie wiem... Tak nagle życie mi obrzydło i podłość ludzka... *(z gniewem).* Ten Konstanty!...

BASILEUS *(zdziwiony)*:
I Konstanty?

BELIZAR:
Wasza świątobliwość nie słyszał?

BASILEUS:
Nie wiem, nie pamiętam. Stary jestem i zapominam, z każdym rokiem bardziej... Przed chwilą pomieszałem imiona ojców Sergiusza i Pawła i zląkłem się śmiertelnie swego niedołęstwa.

BELIZAR:
Przeklęta jest starość...

BASILEUS:
Nasza starość jest przeklęta... Tyle lat życia, i nic ... Pustka przed nami i za nami.

BELIZAR:
Czy to moja wina? Kto zburzył, co ja budowałem? Czy nie zdobyłem pół świata, czy nie przyprowadzałem ci królów barbarzyńskich niewolnikami do stolicy twojej, czy nie osypałem łupami ulic Bizancjum?... Coś ty zrobił ze zwycięstw moich? Nic, nic... Co rok odpadają prowincje od państwa, prowincje, które ja zdobyłem, a ty milczysz. Na co czekasz jeszcze?... Przeżyłem dzieło mojego życia, a może przeżyję i Rzym... przez ciebie.

BASILEUS *(z wyrzutem)*:
Przeze mnie!

BELIZAR *(ze wzrastającym gniewem)*:
Tyle krwi, tyle trudu, tyle bólu... Czy ja jeden byłem... Życie nam ukradłeś, wykreśliłeś nas z księgi żyjących... Dlaczego, dlaczego? Czy to prawda, że jesteś demonem ciemności, zesłanym na ziemię za grzechy nasze, czy to prawda, że nas nienawidzisz i że umyślnie...

BASILEUS:
Dość...

SILENTARIUSZ *(wchodząc)*:
Wyrok wykonany. *(Wychodzi. Basileus i Belizar nie zwracają na niego uwagi).*

BASILEUS *(ciągnie dalej)*:
Ty także, Belizarze. Myślałem, że tylko motłoch uliczny powtarza te brednie.

BELIZAR *(zawstydzony)*:
Wybacz, panie.

BASILEUS:
Nie, nie wybaczam... Kto ty jesteś, że śmiesz znieważać mnie słowami za pracę moją, za trudy moje. Włożyłem duszę w mury Bizancjum i dusza moja umiera razem z miastem, a wy przeklinacie mnie za klęski, za własną słabość i niedołęstwo, za wolę Bożą, któ-

ra wam ginąć każe... Czego chcecie ode mnie? Walczyłem póki mogłem, a teraz... *(macha ręką)*. Jestem nieszczęśliwszy od ciebie, Belizarze, bo chciałem więcej.

BELIZAR:
Więc musimy zginąć?

BASILEUS:
Bóg tak chce... Stary jestem, umrę niedługo, przestanę wam przeszkadzać.... *(po chwili, szeptem)*: Boję się śmierci, bo ze mną umrze dzieło życia mego, bo ze mną umrze Rzym, który odbudowałem, wszystko, wszystko... Tylko póki ja żyję, za cnoty moje, za wiarę moją, za długoletnie trudy... A później nic, wielka ciemność... Koniec Bizancjum... Ja jeden stoję między miastem a zagładą, ja jeden, którego przeklinacie, któregoście zgładzić chcieli. O, zbrodniarze, gorsi od Kaina, czy nie wiedzieliście, na kogo rękę podnosicie? Ale ja cię nie ukarzę, Belizarze... Śmierć cię czeka, ciebie i imię twoje, i to, co wzniosłeś w pocie swego czoła. Bóg cię ukarał bardziej niż ja bym ciebie ukarać potrafił, kiedy wiesz, że żyłeś na próżno i umrzesz bezpotomnie... *(urywa, po chwili)*. Jak ja.

BELIZAR:
Tobie zostanie zawsze Święta Zofia.

BASILEUS:
Podczas ostatniego trzęsienia ziemi zawaliła się jej kopuła. *(Milczenie, Basileus schyla się i podnosi niewielką glinianą amforkę, stojącą przy tronie)*. Zbliż się.
(Belizar zbliża się).

BASILEUS *(pokazując mu amforę)*:
Widzisz te znaki, ja ich przeczytać nie umiem, ani ty, ale mówił mi pewien Egipcjanin, że to imię króla, wielkiego króla.

BELIZAR:
Egipskiego?

BASILEUS:
Nie wiem, może... *(z naciskiem)*. Wielkiego króla imię. *(Podnosi naczynie i rzuca je na ziemię)*. Patrz, co się z jego wielkości zostało. *(Wstając)*: Bo wieczny jest tylko Bóg.

Przygoda Kasi

Baśń dramatyczna w 4 aktach

AKT I

Scena przedstawia polankę w lesie. Wchodzi Kasia z 3 drużkami i Jasiem.

KASIA:
Dość, dość, wracajcie!

1 DRUŻKA:
Jeszcze chwilę, jeszcze chwilę.

KASIA:
Ja tak nigdy chyba do miasta nie dojdę.

1 DRUŻKA:
Nie chodź do miasta, zostań lepiej z nami.

2 DRUŻKA:
W mieście wcale nie ładnie, ani lasu, ani pól, tylko domy i kamienie, kamienie i domy.

3 DRUŻKA:
I ludzie tacy źli. Ani się spostrzeżesz, jak cię oszukają albo okradną.

KASIA:
A ja jednak pójdę do miasta, bo być pomywaczką na królewskim dworze, to zgoła co innego, niż pracować na polu lub nawet służyć w naszym dworze.

1 DRUŻKA:
A nie boisz się, Kasiu, przejść sama przez ciemny las?

KASIA:
Nie.

2 DRUŻKA:
A nie boisz się, Kasiu, pójść sama do wielkiego miasta?

KASIA:
Nie.

3 DRUŻKA:
A nie boisz się, Kasiu, wejść sama do królewskiego zamku?

KASIA:
Nie.

3 DRUŻKA:
Za śmiała jesteś, Kasiu, za śmiała. Zobaczysz, niejedna cię jeszcze zła przygoda spotka przez tę twoją śmiałość.

KASIA:
Dam sobie radę... A teraz pocałujcie mię i wracajcie do domu.

1 DRUŻKA:
Tak ci spieszno? Czekaj, jeszcze sobie oczy wypłaczesz z tęsknoty za nami.

KASIA:
Nie bójcie się.

1 DRUŻKA:
Czy ci nie żal, Kasieńko, Czy pamiętasz, gdy błękitnie
Kiedy idziesz w dal, W twym ogródku len zakwitnie
Pod okienkiem malwy krasnej, Niby niebios szmat,
Za drzewami strugi jasnej, Jak się brzozy młode puszczą,
Czyż ci nic nie żal? Jak wiosenne deszcze pluszczą
Po okienkach chat?

KASIA:
O, nie powiadajcie mi,
Bo się zaraz serce cni.

1 DRUŻKA:
Gdybyś serce miała ino,
Nie odeszłabyś, dziewczyno,
Nam wszystkim na dziw. Jasio tobie śpiewał tkliwie,

Pomagałam ci przy żniwie Nikt ci nie był krzyw.

KASIA:

Co mówicie? O mój Boże...
Czy mi nie żal? Może... może...

JASIO:

Dokąd idziesz, Kasiu miła, Gdy wiatr drzewem zakolebie,
Od swojego Janka? Gdy zaszumi pole.
Tyś mi jedna krasna była, I ty, pewnie, moja Kasiu,
Ty jedna kochanka. Za borem, za lasem,
Oj, zapłaczę ja na ciebie O twym biednym, wiernym Janku
Wspomnisz sobie czasem.

KASIA:

Wspomnę sobie? Jeszcze czego!
A nie znajdę to lepszego?
Mnie, Janku, dla ciebie szkoda,
Bo jestem jeszcze za młoda,
A gdy wydam się nareszcie,
Znajdę sobie męża w mieście.
Tak, mój drogi, gdy będę pomywaczką na królewskim dworze, wyjdę za mąż nie inaczej, niż za kuchcika, a może za samego pana kuchmistrza.

JASIO:

Niedobra z ciebie dziewczyna, Kasiu, ale wiedz, że nie opuszczę cię i pójdę z tobą do miasta.

KASIA:

A co byś w mieście robił, niezdaro? Ani się ruszyć, ani mówić nie potrafisz. Przecież nigdy ze swej wsi nosa nie wytknąłeś. Ja to co innego. Ja do dwunastego roku życia chowałam się u chrzestnej w stolicy. Patrz, jak ja umiem się kłaniać *(kłania się przesadnie)*. Patrz, ja umiem chodzić *(chodzi śmiesznie)*. Posłuchaj, jak ja umiem mówić *(mówi bardzo prędko)*. Rączki całuję jaśnie pani, i padam do nóżek, kłaniam się uniżenie... Tak samo mówiłam u chrzestnej w sklepie *(z triumfem)*. A co?

JASIO:

Wiem, że się z tobą, Kasiu, wedle edukacji a nauki równać się nie mogę, ale bardzo cię kocham i nigdy, nigdy nie opuszczę.

KASIA:
Opuścisz, bo ja tak chcę. *(Do drużek).* I wy także, pora już *(całuje się z nimi).* Bądź zdrów, Jasiu, gdy będę panią kuchmistrzową, to o tobie nie zapomnę, ale teraz idź.

1 DRUŻKA:
Chodź, Jasiu, jej się zdaje, że pan kuchmistrz już po nią swaty przysłał. Nic tu po nas. Zobaczysz Kasiu, pożałujesz jeszcze gorzko, że nas opuściłaś.

KASIA:
Nie pożałuję... Idźcie sobie.

2 DRUŻKA:
Bądź zdrowa, niedobra Kasiu.

3 DRUŻKA:
Wcaleś niewarta, że się o ciebie martwimy.

KASIA:
Niewiele ja tam stoję o wasze zmartwienie.

1 DRUŻKA:
Chodźmy nareszcie. Do widzenia pani kuchmistrzowej *(wychodzą).*

KASIA:
No wreszcie poszły sobie... Dobre dziewuchy, ale bez żadnej edukacji... Dopiero by oczy zrobiły, gdybym naprawdę za kucharza królewskiego poszła i przyjechała w złotej karecie do wsi... Ho, ho, ho... I to się zdarzało... A może królewicz kiedy przyjdzie do kuchni, zobaczy mię, pokocha i poślubi... i w ten sposób zostanę królową... Ho, ho, ho... I to się zdarzało... Ale idźmy do miasta. Zobaczę tylko, co mi na drogę dano *(otwiera zawiniątko).* Biały chleb, ser i kiełbasa... Trzeba skosztować... *(kosztuje).* E, zjem wszystko, to mniej będę miała do noszenia... *(siada i je. Wchodzą królewna i błazen).*

BŁAZEN:
Dość, nie pójdę ani kroku dalej!

KRÓLEWNA:
Pójdziesz, pójdziesz, gdy ja każę.

BŁAZEN:
Tak, jej królewska wysokość królewna każe, ale jego królewska mość król ojciec nie każe, a w końcu błazen dostanie kije za to, że królewny słuchał...

KRÓLEWNA:
Albo kije za to, że królewny nie słuchał... Nie lamentuj, mój drogi, nie lamentuj... Myślałby kto, żeś kijów niezwyczajny.

BŁAZEN:
Myślałby kto, że do kijów przyzwyczaić się można. Chociaż Bogiem a prawdą, niejeden tuzin kijów na mnie połamano i to wszystko z twojej łaski, najmiłościwsza królewno... Bo ile razy królewnie spodoba się co zbroić, a podoba jej się to, niestety, dość często...

KRÓLEWNA *(przerywając)*:
Ja co zbroiłam? ty, Boże... A, niegodziwy, niewdzięczny błaźnie, ślepy na moje wielkie zalety... Czy nie jestem szczytem doskonałości, wzorem wszystkich cnót możliwych i niemożliwych...

BŁAZEN:
Głównie niemożliwych, to prawda...

KRÓLEWNA:
Sądzisz? Wielki poeta Kiełbik, który przez dwie godziny śpiewał odę na moją cześć, innego był zdania...

BŁAZEN:
Tak cenisz kupne pochwały tego głodomorka...

KRÓLEWNA:
Ani trochę, nudne jak lukrecja. Ale kto jak ja, miał dwanaście wieszczek-chrzestnych matek...

BŁAZEN:
Tylko jedenaście, bo wieszczka Pimplipa z powodu ciężkich czasów przybyć nie chciała.

KRÓLEWNA:
Stare, obrzydliwe skąpiradło, bez niej się obejdę. W każdym razie jedenaście wieszczek-chrzestnych matek wystarcza, żeby obdarzyć jedną biedną królewnę wszystkimi zaletami ciała i ducha, które

królewna z bajki mieć powinna. Przede wszystkim jestem najpiękniejsza...

BŁAZEN:
Tylko tyle.

KRÓLEWNA:
Tak, mój złośliwy błazenku, mówili mi to wszyscy królewicze, którzy gościli na dworze króla, mego ojca.

BŁAZEN:
Zapewne,
Bo by nie uszło nikomu na sucho,
Gdyby ośmielił się nazwać cię ropuchą.

KRÓLEWNA:
Nawet wierszem mi przemawiasz, niegodziwy. Ropuchą... poczekaj, zapłacę ci przy okazji. Mój kochany, gdybym była brzydka jak ropucha, nie zakochałby się królewicz Gwoździk w moim portrecie, tak, że teraz ani spać, ani jeść nie może, a jego ojciec, król Ćwieczek, nie przysłałby posłów do mego ojca, prosząc o moją rękę dla swego syna.

BŁAZEN *(kiwając głową)*:
Oj, królewno, królewno, i ty nawet w takie brednie wierzysz... Ponieważ jesteś dziedziczką swego ojca i królestwo twoje o miedzę, więc król Ćwieczek sobie życzy, żebyś za jego syna poszła, a i twój król-ojciec rad widzi wasze małżeństwo... Ale trzeba grzecznie rzecz przedstawić, dypol... dyple... aha, dyplomatycznie... Poseł robi płaczliwą minę i mówi: „Od czasu, gdy królewicz Gwoździk zobaczył portret królewny Jagódki, nie może ani spać, ani jeść, tak silnie ją kocha i tak bardzo pragnie ją poślubić... A oto jest portret królewicza Gwoździka"... Królewna spogląda na portret królewicza Gwoździka...

KRÓLEWNA:
Wcale na niego nie spojrzałam.

BŁAZEN:
Doprawdy, ani kącikiem oka? Takaś nieciekawa. Zresztą, kto wie, może i on twojego portretu oglądać nie raczył...

KRÓLEWNA:
Bodajby to prawdą było... Bo przyznaj, że wziąć za męża królewicza, który umie zakochać się w kawałku malowanego płótna... Br... Ale nie o tym chciałam mówić... Czy wiesz, dlaczego przyszliśmy tutaj?

BŁAZEN:
Nie wiem.

KRÓLEWNA:
Nie, nie tak trzeba zacząć... Czy wiesz, dlaczego zgodziłam się wyjść za mąż za królewicza Gwoździka?

BŁAZEN:
Przypuszczam dlatego, że sobie twój król-ojciec tego małżeństwa życzył...

KRÓLEWNA *(wzruszając ramionami)*:
Od czasu do czasu robię wprawdzie memu ojcu przyjemność i udaję, że go słucham, ale wiesz sam chyba najlepiej, że posłuszeństwo nie liczy się do nieskończonej ilości cnót, które mię zdobią... zgaduj dalej, błazenku, dlaczego zgodziłam się wyjść za królewicza Gwoździka?

BŁAZEN:
Może dlatego, że królewicz Gwoździk uchodził za zwierciadło wszystkich cnót rycerskich, mężny w boju, łagodny podczas pokoju, łaskawy, uprzejmy...

KRÓLEWNA *(przerywając)*:
Trafiłeś, jak kulą w płot... Oczywiście, nie poślubiłabym królewicza łagodnego w boju, a mężnego podczas pokoju – ale to sprawa podrzędna... Widzę, że nie zgadniesz, choćbyś nie wiem jak wysilał resztki swego rozumu... Otóż według odwiecznego zwyczaju, panującego w królestwie króla Ćwieczka, narzeczona króla lub królewicza musi spędzić na granicy państwa samotnie dwie godziny, zanim jej wysłany ze stolicy dwór nie spotka i nie powita... Gdy po raz pierwszy o tym zwyczaju usłyszałam, postanowiłam poślubić królewicza Gwoździka... I dopięłam swego... Czy to nie wspaniałe?.. Dwie godziny spędzić samotnie... Być zupełnie samą bez nikogo, bo ty się przecież nie liczysz... robić, co mi się podoba...

BŁAZEN:
A dotychczas zawsze się do cudzej woli stosowałaś?

KRÓLEWNA:
No, nie zawsze i nie bardzo... W każdym razie, gdybym miała ze sobą ochmistrzynię i panny dworskie, nie mogłabym biegać po lesie, śpiewać, skakać, zbierać poziomki...

BŁAZEN:
Poziomki we wrześniu...

KRÓLEWNA:
No, to czereśnie, maliny, ananasy... przecież coś rośnie teraz w lesie...

BŁAZEN:
At, niewiele, tylko borówki, grzyby i orzechy laskowe.

KRÓLEWNA:
No to będę zbierała borówki, grzyby i orzechy laskowe... Borówki rosną na drzewach?

BŁAZEN:
Ależ nie, rosną na ziemi.

KRÓLEWNA:
W takim razie orzechy lub grzyby rosną na drzewach...Coś musi rosnąć na drzewach, bo ja chcę koniecznie wleźć na prawdziwe drzewo w prawdziwym lesie.

BŁAZEN:
W tej sukni?

KRÓLEWNA:
Rzeczywiście, w tej sukni nie można... *(zamyśla się)*. Mam myśl.

BŁAZEN *(ironicznie)*:
Mądrą?

KRÓLEWNA:
Bardzo mądrą właśnie... Pójdziesz do najbliższej wsi i przyniesiesz mi ubranie jakiejś dziewczyny wiejskiej.

BŁAZEN:
Ani myślę.

KRÓLEWNA:
Błazenku, dostaniesz kije...

BŁAZEN *(uciekając)*:
Nie dostanę.

KRÓLEWNA *(goniąc za nim)*:
Dostaniesz, dostaniesz, niech cię tylko złapię... Pójdziesz na wieś?

BŁAZEN:
Nie pójdę!
(Biegnąc potrąca siedzącą pod krzakiem Kasię, która zrywa się z krzykiem; zawiniątko pada na ziemię i rozsypuje się).

BŁAZEN:
O, przepraszam!

KASIA:
Nie szkodzi, jaśnie panie, nic się nie stało *(schyla się, żeby podnieść rozrzucony prowiant).*

KRÓLEWNA:
Co ty tu robiłaś, dziewczyno?

KASIA *(prostując się i kłaniając)*:
Za przeproszeniem jaśnie pani, jadłam.

KRÓLEWNA:
To *(pokazuje na ziemię).*

KASIA:
Tak, jaśnie pani.

KRÓLEWNA:
Błazenku, podnieś. *(Błazen podnosi i pokazuje. Królewna bierze i ogląda).* Co to?

KASIA:
Kiełbasa.

KRÓLEWNA:
Nigdy nic podobnego nie widziałam *(odgryza kawałek)*. Brrr... okropne, prawda błazenku?

BŁAZEN *(zabierając jej kiełbasę)*:
Daj mi skosztować, to ci powiem... Straszne... *(je bardzo prędko)*.

KRÓLEWNA:
Ale nie jedz tak prędko, udławisz się. Nie rozumiem, jak można coś podobnego jeść... *(zabiera mu kiełbasę i je)*.

BŁAZEN *(wyrywając jej kiełbasę)*:
Nie pozwolę, żeby moja miłościwa królewna czymś podobnym kalała swoje usta.

KASIA:
Królewna, oj rety, królewna!

KRÓLEWNA *(biorąc znów kiełbasę)*:
Ja, ja muszę się do tego przyzwyczaić.

BŁAZEN:
A to dlaczego?

KRÓLEWNA:
Ach, na dworze króla Ćwieczka, w obcym kraju, kto wie, czy nie codziennie będę musiała podobną strawę jadać.

BŁAZEN *(zabierając jej kiełbasę)*:
Ale skąd znowu... *(do Kasi)*. Moja dziewczyno, codziennie kiełbasę jadasz?

KASIA:
Codziennie kiełbasę? Tylko król codziennie kiełbasę jada.

KRÓLEWNA *(do błazna)*:
Słyszysz? *(Chce mu znów odebrać kiełbasę)*.

BŁAZEN *(pakując resztkę kiełbasy do ust)*:
Już nic nie ma.

KASIA:
No i zjedli mi całą kiełbasę... Ale królewna, prawdziwa królewna... a może ten zielony tylko tak zmyślał... *(ciągnie królewnę za suknię)*. Panienko, jaśnie panienko!

KRÓLEWNA:
Czego chcesz ode mnie?

KASIA:
Czy panienka naprawdę jest prawdziwą królewną?

KRÓLEWNA:
Jak najprawdziwszą.

KASIA:
O rety! A pozwoli jaśnie panienka królewna swojej sukienki dotknąć...

KRÓLEWNA: Proszę.

KASIA:
O Jezu! Co za wełniak, tak się po nim palce ślizgają, jak nogi po lodzie... A pozwoli się jaśnie panienka królewna choć leciutko szpileczką ukłuć, żebym się przekonać mogła, czy jaśnie panienka królewna, z przeproszeniem, taka sama jak my?

BŁAZEN *(odpychając ją)*:
Idź, głupia!

KASIA *(zmartwiona)*:
Ja tam jaśnie wielmożnej królewnie ubliżyć nie chciałam.

KRÓLEWNA *(do błazna)*:
Daj jej spokój, zabawna dziewczyna! Ale, ale... mam myśl *(do Kasi)*. Nie chciałabyś się ze mną zamienić sukniami...

KASIA:
Ja! Za nicbym nie śmiała...

KRÓLEWNA:
Tak, daj mi twoją suknię na pół godzinki, a będziesz mogła tymczasem włożyć moją.

KASIA:
Za nic, za nic... To nie przystoi jaśnie wielmożna panienko królewno.

BŁAZEN:
Chyba, że nie przystoi... Doprawdy, ta dziewczyna wiejska więcej ma rozumu od ciebie.

KRÓLEWNA *(uderzając go z lekka laseczką po głowie)*:
Milcz, błazenku i nie wtrącaj się do spraw nie swoich. *(Do Kasi)*. A ty nie bój się, nagrodzę cię hojnie...

KASIA:
Kiej się boję.

KRÓLEWNA:
E, co tam, chodź tylko! *(Ciągnie Kasię w krzaki)*. *(Do błazna)*: A ty uważaj, żeby znienacka kto nie nadszedł. *(Wychodzą)*.

BŁAZEN:
A kto by przypuszczał, że mojej miłościwej królewny jeszcze teraz będą się psie figle trzymały? *(Błazen chodzi po scenie i nuci. Wbiega królewna w sukniach Kasi)*.

KRÓLEWNA:
Coś powiedział, niegodziwy błaźnie, psie figle!

BŁAZEN:
Co to ciebie obchodzi, moja panienko, ja o królewnie mówiłem.

KRÓLEWNA:
A ja kto jestem?

BŁAZEN:
Ty! *(Przygląda się jej bystro)*.

KASIA *(wchodzi z drugiej strony)*:
Jużem gotowa.

BŁAZEN *(odwracając się)*:
Ach, kto by to powiedział... Królewna, nie królewna... Tak to suknie zmieniają ludzi.

KRÓLEWNA:

Daj no mi, Kasiu, twoją dłoń,
Niech ci pierścienie włożę.
Ten kamień niby morska toń,
Albo jak wiosną wczesną błoń.
A znów ten jako zorze.
Ot, klejnot, dobrej wróżki dar,
Sędziwej mej piastunki,
Według tajemnych swoich wiar
Zaklęła w nim zwycięski czar
Na smutki i frasunki.
Weź pierścień, co tęczami gra,
I tamten z czarną perłą,
Lecz ten zatrzymam, moc w nim trwa,
Która mi droższą, Kasiu ma,
Niźli królewskie berło.
Ten pierścień złoty i bez skaz,
W którym blask lśni czerwony,
Otrzyma, kiedy przyjdzie czas,
Z królestwem mym i sercem wraz
Mój młody narzeczony.
No, królewna gotowa... *(do Kasi).* Obróć się *(Kasia obraca się z rękami podniesionymi do góry).* Spuść ręce!

KASIA:

Kiej się boję powalać wełniak.

KRÓLEWNA:

Spuść, spuść, nie bój się! *(do błazna).* Jak ci się nowa królewna podoba?

BŁAZEN:

Omylić się można... Ale patrzcie, nie musiało się dwanaście, nie, przepraszam, jedenaście twoich chrzestnych matek wieszczek wysilić, kiedy zwyczajna dziewczyna wiejska może być do ciebie podobna.

KRÓLEWNA:

Prawda? Miejmy nadzieję, że przy obdarzaniu mnie zaletami wewnętrznymi były hojniejsze. Zresztą może i jej chrzestna matka jest wieszczką.

KASIA:
Za przeproszeniem jaśnie królewny, moja chrzestna matka ma sklepik spożywczy na targu.

KRÓLEWNA:
A to mi wieszczka!

BŁAZEN:
Oho, wieszczka to nie lada, ręczę ci, na pewno umie zaczarować wodę w mleko albo piasek w mąkę.

KASIA:
Nieprawda, nigdy takich nieuczciwości moja chrzestna matka nie robiła.
(Gałęzie krzaków rozsuwają się, wchodzi szambelan).

SZAMBELAN *(kłania się głęboko przed Kasią)*:
Ach, nasza najmiłościwsza królewna Jagódka!

BŁAZEN:
Masz, babo, placek!

SZAMBELAN:
W tej chwili cały dwór stawi się na twoje rozkazy *(wychodzi)*.

KASIA:
O Jezu! Co to będzie, nijak wziął mnie za królewnę.

KRÓLEWNA:
Oddaj mi zaraz moją suknię... Prędzej, spiesz się... Nie stój jak drąg.

KASIA:
Nie zdążym, już idą...

KRÓLEWNA:
Co tu robić... Piękne będą mieli o mnie wyobrażenie na dworze króla Ćwieczka.

BŁAZEN:
Mam pomysł doskonały... Powiesz im, że obawiałaś się napadu jakiegoś odrzuconego pretendenta do twojej ręki... i dlatego włożyłaś suknie swojej siostry mlecznej.

KRÓLEWNA:
Ja kłamać... Nigdy.
(Wchodzi dwór, na przedzie wielka ochmistrzyni, za nią dwóch paziów niesie koronę na poduszce).

OCHMISTRZYNI *(dygając głęboko trzy razy)*:
Najmiłościwsza królewno, przyjm łaskawie swoją najpokorniejszą sługę, Agatę, księżnę na Oślich Głowach, od dnia dzisiejszego twoją ochmistrzynię.

KRÓLEWNA *(zbliżając się)*:
Muszę jednak...

OCHMISTRZYNI *(odtrąca ją)*:
Precz, dziewczyno!
(Królewna wzrusza ramionami i usuwa się na stronę).

OCHMISTRZYNI *(kłaniając się głęboko, do Kasi)*:
Racz o najdostojniejsza, włożyć koronę na głowę....

KASIA *(ogląda się za królewną)*:
Ależ....
(Królewna robi jej znak, żeby to zrobiła).

BŁAZEN *(wyrywając się)*:
Nie mogę pozwolić...

KRÓLEWNA:
Milcz, błazenku...

OCHMISTRZYNI:
Dlaczego się wahasz, królewno? Ten punkt ceremoniału dokładnie był opisany i przesłany twojej ochmistrzyni, księżnie Skręcalskiej. Racz więc spełnić moją pokorną prośbę, włóż koronę na głowę.

KRÓLEWNA:
Ale kładźże tę koronę, gdy cię proszą... *(podbiega i wkłada jej koronę na głowę).*

OCHMISTRZYNI:
Ach! *(Pada zemdlona. Cały dwór zajęty jest ochmistrzynią, za wyjątkiem hajduków, którzy stoją sztywno i bez ruchu od początku sceny. Przez ten czas królewna odciąga Kasię na stronę).*

KRÓLEWNA *(do Kasi prędko)*:
A udawaj królewnę, kiedy tego chcą koniecznie.

KASIA:
Kiej nie potrafię... Co mam robić?

KRÓLEWNA:
Kiwaj głową, gdy ci się kłaniają...

KASIA *(pokazuje koronę)*:
To mi zleci.

KRÓLEWNA:
A więc nie kiwaj głową, tylko trochę wyciągaj szyję... *(robi śmieszny ruch głową, który Kasia naśladuje).* I mów mało.

KASIA:
Ale co?

KRÓLEWNA:
„Bardzo mi przyjemnie", albo: „Jestem uszczęśliwiona", albo coś takiego... Rozumiesz?

KASIA:
Rozumiem.

BŁAZEN *(ciągnąc królewnę za suknię)*:
Uciekajmy, bo już ochmistrzyni odzyskuje przytomność.

KRÓLEWNA:
Dobrze. *(Oboje ukrywają się w krzakach).*

OCHMISTRZYNI:
To straszne, to okropne, jak świat światem, nic równie okropnego się nie zdarzyło... Z lasu wyszła dziewczyna wiejska i śmiała dotknąć się świętej osoby... Nie mogę dokończyć wcale... Gdzie ona jest?... O, najmiłościwsza królewno, umieram z rozpaczy!... O czym

ta księżna Skręcalska myślała? Co powie królowa? Gdzie ta dziewczyna, gdzie ta dziewczyna? *(Do hajduków)*: Szukać i gonić! Gonić i szukać! *(Hajducy biegają niezręcznie po scenie, trącając się i wpadając bezustannie jeden na drugiego, potrząsają konarami drzew, jakby kogoś zrzucić chcieli, zaglądają pod leżące na ziemi gałęzie krzaków itp.).*

OCHMISTRZYNI:

Wierz mi, królewno, że obraza, jaka cię spotkała, nie pozostanie bez kary; niech ją tylko złapią! Naprzód będzie ścięta, później spalona, potem poćwiartowana, a w końcu zamknięta do więzienia aż do końca dni swoich...

KASIA *(drżącym ze strachu głosem, nieśmiało)*:

Może by darować jej winę...

OCHMISTRZYNI:

O, najmiłościwsza królewno! Dobroć twoja zbyt wielka, a wspaniałomyślność wyższa nad wszelkie pochwały. Prośba twoja jest dla mnie rozkazem, tym bardziej, że nasi hajducy i nasza policja jeszcze nigdy nikogo nie złapali... *(do hajduków)*: Dość tego! Na miejsca! *(Hajducy wracają na miejsca i stają znów sztywno i bez ruchu).*

OCHMISTRZYNI *(do Kasi)*:

Teraz, królewno, dwór twój ci przedstawię:
Hrabia Zapilski, herb Nigdy na sucho,
Książę Osłowski, herbu Długie Ucho,
Baron Głąb starszy na Baranowicy,
Baron Głąb młodszy we złotej zbroicy.

KASIA:

Bardzo mi przyjemnie, albo jestem uszczęśliwiona, coś takiego.

OCHMISTRZYNI *(podskakuje ze zdziwienia, ale ciągnie dalej)*:

Hrabina Pudło, herbu Papiloty,
Książę Zanepski, na dobrach Drzekoty,
Pan wojewoda, herbu Na łbie kołki,
Książę Łgarz starszy, na dobrach Dwa stołki.

KASIA:

Bardzo mi przyjemnie, albo jestem uszczęśliwiona, coś takiego.

OCHMISTRZYNI *(jw.)*:
Pan Dworakowski, herbu Liżypięta,
Dalej zaś damy, paziowie, pazięta.
(Dwór przechodzi w podskokach koło Kasi, następnie wbiegają paziowie i dziewczęta, obsypują ją kwiatami i wyprowadzają, tańcząc. Wychodzą z krzaków królewna i błazen).

KRÓLEWNA:
Było to najkomiczniejsze widowisko, jakie kiedykolwiek miałam szczęście oglądać. Przyznaj, że zabawna spotkała nas przygoda.

BŁAZEN:
Tak, zabawna, ogromnie zabawna, chciałbym tylko wiedzieć, jak zabawnie się ta zabawna przygoda skończy.

KRÓLEWNA:
Nie gderz, gdero... Przede wszystkim zostaniemy kilka dni w lesie.

BŁAZEN:
A później?

KRÓLEWNA:
Nie wiem.

BŁAZEN:
A ja wiem: Królewicz Gwoździk ożeni się z dziewczyną wiejską. Król Ćwieczek pomyśli, że twój król-ojciec umyślnie go tak obraził i pohańbił, wypowie wojnę i...

KRÓLEWNA:
Oooo..... No więc, co teraz zrobić?

BŁAZEN:
Radź sobie, moja kochana, radź sobie... Co mnie to obchodzi, nie z mojej winy ten cały galimatias.

KRÓLEWNA:
Tak, wiem, wiem... Trzeba uprzedzić króla Ćwieczka i przeszkodzić temu małżeństwu... Ale w jaki sposób? *(namyśla się).* Aha, mam myśl... Wrócę do domu...

BŁAZEN:
Chyba beze mnie, bo ja na dworze twego ojca końca nosa nie pokażę; ze skóry mnie tam obedrą.

KRÓLEWNA:
No to chodźmy na dwór króla Ćwieczka.

BŁAZEN:
Na własnych nogach sto mil! Wolne żarty.

KRÓLEWNA:
Możemy pojechać...

BŁAZEN:
Szkoda, że cię twoje chrzestne matki-wieszczki czarować nie nauczyły, bo skąd ja ci powóz i konie wezmę?

KRÓLEWNA:
Idź, poszukaj, może gdzie znajdziesz...

BŁAZEN:
Zaraz nam konie i powóz dadzą, choćbym je i znalazł.

KRÓLEWNA:
W takim razie trudno, pójdziemy pieszo.

BŁAZEN:
A co po drodze jeść będziemy, gdzie nocować?

KRÓLEWNA:
Jeść i pić nam chyba każdy da.

BŁAZEN:
Bez pieniędzy? Akurat!

KRÓLEWNA:
To bez pieniędzy nic dostać nie można?

BŁAZEN:
Nie, nic.

KRÓLEWNA *(zmartwiona)*:
Oooo... A ty pieniędzy nie masz?

BŁAZEN *(wywracając kieszenie)*:
Nie, ani grosza, ani marnego grosika, nic... Tak to bywa... Nigdy mnie się pieniądze nie trzymały. Co prawda, że i ja nie trzymam się ich zbyt mocno.

KRÓLEWNA *(szukając w kieszeniach)*:
Ale ja mam pieniądze, albo raczej dziewczyna, której suknie noszę. *(Podaje mu sakiewkę).*

BŁAZEN *(otwierając sakiewkę)*:
Dukat, dwa złote, trzy dydki. No, nieźle, na suchy chleb starczy. Co jeszcze znalazłaś w kieszeni?

KRÓLEWNA:
(wyciągając list): list, list... Zobaczymy, do kogo: do jaśnie wielmożnego i dostojnego pana kuchmistrza królewskiego. List otwarty. Przeczytać?

BŁAZEN:
Czytaj!

KRÓLEWNA:
(oglądając list): Od kogo? Aha, od tej wieszczki ze sklepiku spożywczego, chwilowo mojej chrzestnej matki *(czyta)*:
„Mości kuchmistrzu, dobrodzieju, kumie,
Tak sobie roję w mym lichym rozumie,
Żeby (bo mam coś w głowie oleju),
Zwrócić się do was, mości dobrodzieju!
Rzecz idzie o to, że właśnie w tym czasie
Chcę gdzieś umieścić mą chrześniaczkę Kasię,
Chciałabym właśnie, co tu gadać długo,
By w dworskiej kuchni mogła zostać sługą,
Bo mi mówiła dziś bratowa praczki,
Że tam na dworze potrza pomywaczki.
Proszę powiedzieć parę słów do króla
Za naszą Kasię
Półgłówek Urszula".

Dobrze przynajmniej, że wiem, jak się nazywam. *(Namyśla się).* Mam myśl. Pójdę na dwór królewski, zostanę tam pomywaczką i postaram się rozmówić z królem Ćwieczkiem.

BŁAZEN:
To wcale rozsądnie, jak na ciebie, moja najmiłościwsza królewno. Usiądź tu sobie na chwilę, a ja pójdę i przepytam, którędy droga do stolicy. *(Wychodzi).*

KRÓLEWNA *(sama)*:
Pójdę i ja, żeby poszukać drogi do miasta.
(Wychodzi, po chwili rozlega się za sceną krzyk i szczęk oręża).

KRÓLEWNA *(wbiega)*:
Och, jak się przelękłam. *(Po chwili, dumnie)*: Nie, nie przelękłam się, tylko było mi nieprzyjemnie. Ale, dzięki Bogu, że ten waleczny rycerz przyszedł mi z pomocą, byliby mnie zbóje zamordowali, albo zawlekli gdzie w góry... Czy aby się memu obrońcy nic złego nie stanie, jest ich dziesięciu, a on jeden. *(Zagląda ostrożnie za kulisy).* Nie, już wraca.

RYCERZ *(wchodząc)*:
Uspokój się, moja dziecino, zbóje już ci żadnej krzywdy nie zrobią, dostali za swoje.

KRÓLEWNA *(z wysoka)*:
Dziękuję waćpanu, ojciec mój nie omieszka hojnie go nagrodzić.

RYCERZ *(wybuchając śmiechem)*:
Dziękuję ci serdecznie! Ale doprawdy, mogę się obejść bez skarbów i darów twego ojca. Czego ci ludzie chcieli od ciebie?

KRÓLEWNA *(krótko)*:
Nie wiem.

RYCERZ *(po chwili)*:
Obraziłem cię, widzę... Doprawdy, tego nie chciałem. Przebacz mi nieostrożne słowa, które mi się wyrwały niechcąco. O, ten mój obrzydliwy język, zawsze powie coś nie w porę. Przebacz mi, proszę. Dobrze? Już nie gniewasz się na mnie? Powiedz, że się nie gniewasz.

KRÓLEWNA:
Byłabym bardzo niewdzięczna, gdybym się za niewinny żart gniewała na mego wybawcę. Dziękuję ci jeszcze raz, panie, z całego serca.

RYCERZ:
Nie mów o tej drobnostce, bo mnie zawstydzasz. Gdzie mieszkasz? Odprowadzę cię do domu, bo tym zbójom może przyjść ochota napaść na ciebie po raz drugi.

KRÓLEWNA:
Nie idę do domu, idę na dwór króla Ćwieczka.

RYCERZ *(zdziwiony)*:
Na dwór królewski?

KRÓLEWNA:
Zaraz, mój panie, dowody ci złożę,
Że pomywaczką mam zostać na dworze.

RYCERZ:
Wielka, o pani, nieśmiałość mię bierze:
Ty masz królewskie wycierać talerze?

KRÓLEWNA:
Jeszcze ci powiem – prawda to najczystsza –
Że do samego niosę list kuchmistrza.

RYCERZ:
Pani, przed tobą chylę skroń w obawie,
W poczet sług swoich zalicz mię łaskawie.

KRÓLEWNA:
Powstrzymać śmiechu już nie jestem w stanie,
Wy kpicie ze mnie, mój dostojny panie.

RYCERZ:
O, moja droga, słowa niełaskawe...
Kto by kpił z ciebie, ze mną miałby sprawę.

KRÓLEWNA:
A teraz, panie, pozwólcie, że po raz trzeci podziękuję wam od serca i duszy za uratowanie mnie z niebezpieczeństwa i poproszę pokor-

nie o odprowadzenie mnie na dwór królewski – to za daleko – ale na drogę, gdzie mi już chyba nic nie będzie groziło. Jestem biedną dziewczyną i nic więcej nie mogę ci ofiarować prócz wdzięczności...

RYCERZ *(przerywając)*:
Dość, dość, na litość boską... Najlepiej mi dowiedziesz swojej wdzięczności, gdy nie wspomnisz więcej o tej przygodzie. Ale zawiozę cię na dwór królewski. Drogi są niepewne, lasy ciemne, a złość serc ludzkich bez granic. Poczekaj tutaj chwilę, a przyprowadzę mojego konia, który nas zaniesie oboje. *(Wychodzi. Królewna patrzy za nim. Wbiega błazen).*

BŁAZEN:
Królewno, królewno!

KRÓLEWNA:
Cicho! Mów do mnie Kasiu.

BŁAZEN:
Dlaczego?

KRÓLEWNA:
Ach, nie pytaj tyle! Czego chcesz?

BŁAZEN:
Znalazłem drogę do miasta i poczciwego chłopa, który nas tam zabierze...

KRÓLEWNA:
Nie potrzeba...

BŁAZEN:
A to czemu?

KRÓLEWNA:
Bo ja wprawdzie nie znalazłam drogi do miasta, ale za to poczciwego rycerza, który mnie tam zabierze.

BŁAZEN:
A ja?

KRÓLEWNA:
Radź sobie, mój kochany, radź sobie, jak umiesz i możesz. Co to mnie obchodzi! Nie z mojej winy cały ten galimatias.

BŁAZEN:
Nie z twojej winy? Doprawdy? Może z mojej?

KRÓLEWNA:
No, nie sprzeczajmy się, błazenku. Rób jak chcesz, jedź wozem lub biegnij za naszym koniem, jak wyżeł.

BŁAZEN:
Daj pokój żartom, nie możesz jechać sama z obcym rycerzem, to królewnie nie przystoi...

KRÓLEWNA:
Zapewne, ale pomywaczce przystoi.

BŁAZEN:
Bogiem i prawdą, to nawet i dla pomywaczki Kasi nie uchodzi.

KRÓLEWNA:
Bzdurzysz, błazenku, pomywaczce Kasi wszystko wolno, szczególnie wtedy, kiedy jest jednocześnie królewną Jagódką.

RYCERZ *(za sceną)*:
Dziewczyno!

KRÓLEWNA:
Idę! Bądź zdrów, błazenku, znajdziesz mnie w królewskiej kuchni *(wybiega)*.

BŁAZEN *(załamując ręce)*:
Tego tylko brakowało!

AKT II

Plac przed pałacem króla Ćwieczka. Pałac zajmuje cały tył sceny. Pośrodku olbrzymie drzwi wchodowe, w tej chwili otwarte, nad nimi napis: „Wejście paradne". Koło schodów drugie wejście z napisem: „Wejście od podwórza". Z dwu stron schodów plakat z ogłoszeniem:

„Nie wolno stawać na schodach". Z prawej strony niskie domki, w jednym z nich sklep szewski z butem i szyldem: „Majster Dratewka, dostawca nadworny". W otwartych drzwiach pałacu siedzą: król Ćwieczek, kanclerz i skarbnik, za nimi dwór. W połowie schodów stoją dwaj halabardnicy, niżej na schodach i na ziemi tłum ludzi.

KRÓL:

Zgonić tę hołotę ze schodów. *(Halabardnicy zganiają ludzi ze schodów. Do herolda):* Co tam jeszcze?

HEROLD *(schodzi tyłem ze schodów, przy halabardnikach staje, odwraca się, trąbi i woła)*:

Wielki król Ćwieczek pozwala łaskawie,
Byście doń przyszli w wszelkiej trudnej sprawie,
Niechaj nam przyśle każda państwa strona
Tego, co z krzywdy lub rozpaczy kona,
A sprawiedliwość będzie wymierzona!
(Przychodzi Sędzia z majstrem Bartłomiejem i z majstrem Maciejem; majster Bartłomiej trzyma gruby kij w ręku).

SĘDZIA:

Racz, o prześwietny heroldzie, zawiadomić króla, że przyszedł sędzia Przemądrzały z Głuptasowa, z majstrem Maciejem i z majstrem Bartłomiejem, ażeby światły... co mówię, niebotyczny umysł naszego monarchy rozstrzygnął zawiłą sprawę sądową.

HEROLD:

Dla sprawy sądowej nie potrzeba żadnych ceremonii. Dalej, maszerujcie przed króla śmiało.
(Sędzia Bartłomiej i Maciej wchodzą po schodach i kłaniają się głęboko przed królem).

SĘDZIA:

Najmiłościwiej panujący nam królu! Jestem sędzią w Głuptasowie i słusznie, czy niesłusznie, uchodzę za najmądrzejszego człowieka w promieniu mil piętnastu.

KANCLERZ:

A na szesnastej?

SĘDZIA:
Nigdy żaden człowiek z Głuptasowa tak daleko od Głuptasowa nie odjeżdżał.

KANCLERZ:
A w stolicy?

SĘDZIA:
O, wasza wysokość! Gdzież nam się mierzyć z rozumami stołecznymi Toż najgłupszy człowiek w stolicy więcej pytać potrafi niż najmądrzejszy w Głuptasowie odpowiedzieć. *(Skarbnik i król podskakują z radości na krzesłach).*

KRÓL:
Doskonale, mości sędzio z Głuptasowa, doskonale! A jakaż sprawa sprowadza waszą przemądrość przed nasz tron?

SĘDZIA:
Sprawa niezmiernie zawiła, którą tylko głęboki rozum waszej królewskiej mości rozstrzygnąć potrafi.

KRÓL:
Słucham.

SĘDZIA:
Otóż tu obecny majster Maciej pożyczył tu od obecnego majstra Bartłomieja sto dukatów dwa lata temu.

KRÓL:
Bardzo dobrze, majstrze Macieju.

SĘDZIA:
Dwa tygodnie temu majster Bartłomiej zażądał zwrotu pieniędzy od majstra Macieja.

KRÓL:
Bardzo dobrze, majstrze Bartłomieju.

SĘDZIA:
Ale majster Maciej odpowiedział, że pieniądze Bartłomiejowi zwrócił, wobec czego zjawili się obaj w sądzie przede mną prosząc, bym spór ich rozstrzygnął.

KRÓL:
Bardzo dobrze, panie sędzio!

SĘDZIA:
Kazałem przysiąc Bartłomiejowi, że pieniędzy nie odebrał – przysiągł. Kazałem przysiąc Maciejowi, że pieniądze oddał – przysiągł.

SKARBNIK:
Jeden z nich więc krzywoprzysiągł!

SĘDZIA:
Bez wątpienia, ale który z nich?

KRÓL:
Może by w naszej obecności przysięgli raz jeszcze. Pamiętajcie, że krzywoprzysięstwo przed królem jest dwa razy ciężej karane niż krzywoprzysięstwo przed zwyczajnym sędzią! Starajcie się więc mówić prawdę, o ile możecie.

MACIEJ i BARTŁOMIEJ:
Powiemy prawdę...

KRÓL:
A więc przysięgajcie!

BARTŁOMIEJ:
Przysięgam, że Maciej nie zwrócił pożyczonych ode mnie stu dukatów.

KRÓL:
A teraz wy, Macieju!

MACIEJ *(do Bartłomieja)*:
A potrzymajcie, kumie, mój kij... *(Bartłomiej bierze kij)*. Przysięgam, że pożyczone od Bartłomieja sto dukatów wręczyłem mu do rąk własnych. Tak mi Panie Boże dopomóż, jak mówię prawdę! Oddajcie no mój kij, kumie! *(Bierze kij)*.

SĘDZIA:
I cóż wasza królewska mość?

KRÓL:
Muszę sprawę rozpatrzyć... Odstąpcie na bok! *(Sędzia odchodzi z dwoma majstrami).* Dalej... *(Sędzia schodzi).* Jeszcze dalej... *(Sędzia z majstrami postępuje jeszcze parę kroków).* A teraz stójcie! *(Do kanclerza)*: Kanclerzu, co o tej sprawie myślisz?

KANCLERZ:
Nic nie myślę.

KRÓL:
Rozkazuję ci myśleć o niej!

KANCLERZ:
Mimo najszczerszych chęci nie potrafię.

KRÓL:
Kanclerzu, ja po twojej minie poznaję, że sprawę już rozstrzygnąłeś, nie daj się więc prosić, tylko mów.

KANCLERZ:
A będzie król jeszcze raz skakał z radości, gdy mi kto naurąga?

KRÓL:
Jako żywo, nie będę!

KANCLERZ:
A zawoła król jeszcze raz: doskonale, gdy mi kto głupstwo odpowie?

KRÓL:
Nie będę.

KANCLERZ:
Ustępuję zresztą, żeby wasza królewska mość widział moje dobre serce.

KRÓL:
Dziękuję ci. A co mam zrobić?

KANCLERZ:
Zawezwij, panie, sędziego i dwóch majstrów, oświadcz, że obaj przysięgli prawdę, ale zażądaj od Macieja kija i każ go rozłamać.

KRÓL:
Widzisz, jakie mam do ciebie zaufanie, nawet nie pytam, co z tego wyniknie. *(Woła)*: Hej, ludzie! *(Sędzia, Bartłomiej i Maciej zbliżają się w pokłonach).*

KRÓL:
Zarówno Maciej jak i Bartłomiej przysięgli prawdę. A teraz, Macieju, dajcie swój kij!

MACIEJ:
A po co królowi jegomości mój kijaszek? Ja przyniosę z domu ładniejszy.

KRÓL:
Hajduku, zabierz mu kij!

MACIEJ:
Taki zwyczajny kijaszek! *(Hajduk zabiera mu przemocą kij).*

KRÓL:
Rozłam go! *(Hajduk rozłamuje kij, dukaty sypią się na schody).*

SĘDZIA *(bijąc się w czoło)*:
Że mi to na myśl nie wpadło! Dukaty były w kiju oczywiście. Maciej oddawał go zawsze Bartłomiejowi przed przysięgą i w ten sposób mógł z czystym sumieniem przysiąc, że mu pożyczone dukaty wręczył. O, wasza królewska mość, sam król Salomon lepiej by tej sprawy nie przeniknął.

KANCLERZ:
Bez wątpienia, bo miłościwie nam panujący król Ćwieczek jest naprawdę drugim Salomonem.

KRÓL *(do kanclerza)*:
Dobrze, dobrze, nie przechwalaj się tak bardzo. *(Do Bartłomieja)*: Idź, Bartłomieju, ze swymi pieniędzmi do domu, a i ty, sędzio, ruszaj z powrotem do Głuptasowa i pamiętaj, żebyś na drugi raz nie przymawiał mojemu kanclerzowi, bo u nas łatwo można kije dostać, nawet gdy się jest najmędrszym sędzią w Głuptasowie. Co zaś do Macieja, to powędruje na dwa lata do więzienia, a przy tym dostanie sto kijów za to, że dzięki jego chytrości sprawę wytoczono aż

przed nasz trybunał. Hajducy! *(Hajducy chwytają i sprowadzają Macieja ze schodów; sędzia i Bartłomiej kłaniają się i wychodzą).*

KRÓL *(do herolda)*:
Idź i oznajmij, że sprawa skończona, niech hołota krzyczy.

HEROLD *(schodzi jak wyżej, trąbi i woła)*:
Sprawa skończona!

LUD *(krzyczy)*:
Miłościwie nam panujący król Ćwieczek niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!

KRÓL:
A teraz zgonić mi tę hołotę ze schodów. *(Halabardnicy zganiają publiczność ze schodów).* Znowu mi zadeptali całe schody, świeżo szorowane. Dopiero królowa gniewać się będzie! Żeby też można było sposób znaleźć na oduczenie tych durniów od stawania na schodach.

KANCLERZ:
Jest na to sposób. Niech halabardnicy staną na ziemi przy schodach.

KRÓL *(przerażony)*:
Halabardnicy na ziemi przy schodach? Czy nie wiesz, że za mego ojca Gwoździka Dwieście Pięćdziesiątego Trzeciego, Panie, świeć nad jego duszą, halabardnicy stali w połowie schodów, i za mego dziada, króla Ćwieczka Dwieście Pięćdziesiątego Drugiego, i za mego pradziadka, króla Gwoździka Dwieście Pięćdziesiątego, i za mego prapradziadka i praprapradziadka, i nawet za króla Ćwieczka Pierwszego, którego najstarsi ludzie nie pamiętają, zawsze halabardnicy stali w połowie schodów. Czy wiesz o tym?

KANCLERZ:
Wiem, ale myślałem...

KRÓL:
O to idzie, abyś nie myślał tak dużo!

KANCLERZ:
Nigdy waszej królewskiej mości dogodzić nie mogę, raz myślę za mało, drugi raz za dużo...

KRÓL:
Naucz się myśleć w sam raz i to wtedy, kiedy mnie się podoba, a nie tobie!

SKARBNIK:
Gdy ktoś tak nieodzownie potrzebny, jak pan kanclerz...

KRÓL:
Nieodzownie potrzebny! Nikt nie jest nieodzownie potrzebny. Może sądzisz, że sobie nie dam rady bez ciebie?

KANCLERZ:
Nie wątpię, że słaba pomoc moja jest królowi zupełnie zbyteczna... Wobec tego wasza królewska mość pozwoli, że się oddalę.

KRÓL:
A idź sobie, nie będę cię prosił!

KANCLERZ:
Błagam o pozwolenie udania się na czas dłuższy do swoich dóbr.

KRÓL:
Bardzo dobrze! Jedź i nie wracaj więcej!

KANCLERZ:
Dziękuję waszej królewskiej mości. *(Kłania się i wychodzi, król patrzy za nim; milczenie).*

SKARBNIK *(po chwili)*:
Ludzie czekają.

KRÓL:
To co? Niech czekają! Ja mam może czekać na nich?

SKARBNIK:
Zapewne, ich obowiązkiem jest czekanie...

HEROLD *(jak wyżej)*:
Wielki król Ćwieczek pozwala łaskawie, Byście doń przyszli...

KRÓL *(przerywając)*:
Co to znowu? Kto ci kazał trąbić?

HEROLD:
Zdawało mi się...

KRÓL:
Zdawało ci się... To nie do wytrzymania, doprawdy! Jeden myśli, a drugiemu się zdaje!

SKARBNIK:
Sądów już dziś nie będzie?

KRÓL:
A nie będzie! Dość mam tego wszystkiego! Jak ja bez kanclerza mam sądy sprawować?

SKARBNIK:
Przecież to niewielka sztuka!

KRÓL:
Aha, niewielka sztuka, a jak przyjdzie do czego, to nic poradzić nie potrafisz. Zawsze ty albo ten nicpoń Gwoździk go rozgniewacie, a później ja go przepraszać muszę. Jak ci się zdaje, pojechał do swoich dóbr?

SKARBNIK:
On? Ależ skąd, na pewno siedzi w swoim pałacu i czeka, pewny, że wasza królewska mość po niego przyśle.

KRÓL:
Pewny jest? Niech czeka, może długo czekać. Sam sobie poradzę, nawet sądy będę sprawował bez niego. Pewny, że po niego przyślę, patrzcie go!
(Wbiega goniec).

GONIEC:
Najjaśniejszy panie, królewna Jagódka nadjeżdża.

KRÓL:

Wygnać tę hołotę, wygnać tę hołotę! Zawiadomić królową! Przynieście mi mój płaszcz i brylantowe sprzączki do butów. *(Do skarbnika)*: A ty ruszaj do skarbca i przynieś świeżo polerowaną koronę, berło odświętne i jabłko z rubinami *(skarbnik wychodzi)*. Wygnać tę hołotę nie tylko ze schodów, ale z całego placu! Prędzej, żeby i śladu po nich nie było! *(Halabardnicy wykonują rozkaz; król do dworu)*: Idźcie się przybrać przystojnie na przyjęcie królewny. *(Dwór wychodzi, król schodzi ze schodów, za nim kilku ze służby, król pyta)*: Gdzie jest królewicz Gwoździk?
(Wchodzi królowa, paziowie niosą ogon jej płaszcza).

KRÓLOWA:

Nasza synowa, królewna Jagódka, nadjeżdża?

KRÓL:

Tak.

KRÓLOWA:

Co to? Znowu schody zadeptane? Ile razy ci mówiłam, że nie chcę tych tam twoich sądów, słyszysz? Dość jest nieporządku w pałacu bez tego, żeby mi się co tydzień urwisy i brudasy z całego miasta zbiegali! Żeby to był ostatni raz, rozumiesz?

KRÓL:

Ależ, moja duszko, mój ojciec, król Gwoździk Dwieście Pięćdziesiąty Trzeci...

KRÓLOWA:

I twój dziad, król Ćwieczek Dwieście Pięćdziesiąty Drugi, i twój pradziad... Wiem, co chcesz powiedzieć, wszyscy sprawowali sądy. A ja na to nie pozwalam, zrozumiano?
(Królowi przynoszą nowy płaszcz i zarzucają na ramiona).

KRÓL:

Moja kochana, ja ci się mój nowy płaszcz podoba?

KRÓLOWA:

Obrzydliwy! Ale nie zagaduj, nie będzie więcej sądów, zrozumiałe? Jak te schody wyglądają, wstyd doprawdy! *(Tymczasem służba ubrała króla w nowy płaszcz i koronę)*. A jak ty wyglądasz? Płaszcz

porządnie nie oczyszczony, korona źle wypolerowana, wstyd doprawdy.

KRÓL:
Mniejsza z tym... Ale gdzie jest nasz syn Gwoździk? Pora, żeby tu przyszedł oczekiwać razem z nami swojej narzeczonej.

KRÓLOWA:
Gwoździk? Ach, byłabym o tym zapomniała... Gwoździka nigdzie znaleźć nie można... Znikł i zostawił w swoim pokoju ten list... Masz, czytaj, co twój syn pisze. *(Daje mu list).*

KRÓL *(bierze list i czyta)*:
„Kochany ojcze! Ożenię się wtedy, gdy się mnie, a nie twojemu kanclerzowi będzie podobało, i z żoną, którą sam sobie upatrzę, a nie twój kanclerz wybierze. Nie będzie to prawdopodobnie księżniczka, a w żadnym razie królewna Jagódka – ten nieludzko nudny wzór wszystkich cnót niewieścich, ten przerażająco szczytny ideał księżniczki, ta kwintesencja wszelkich doskonałości... Wydajcie ją za kanclerza lub za kogokolwiek innego, byle nie za mnie. Tymczasem znikam... Wasz kochający i posłuszny syn Gwoździk".
To tak za moją dobroć, za moją pobłażliwość, za moją miłość rodzicielską takie podziękowanie, poczekaj, mości paniczu, oberwiesz ty za swoje.

KRÓLOWA:
Nie krzycz, nie wygrażaj, każ go lepiej szukać, bo naprawdę nigdzie go znaleźć
nie można.

KRÓL:
Szukać księcia i dostawić go żywego, czy też martwego, na jego własnych nogach,
czy na cudzych, prędzej, prędzej!...

KRÓLOWA *(wzruszając ramionami)*:
Nic z tego nie będzie...

KRÓL:
Zobaczymy. *(Do sługi)*: Niech kanclerz natychmiast stawi się przed nami, natychmiast!

(Sługa wychodzi). Znajdziemy panicza, choćby się pod ziemię schował.

KRÓLOWA:
A tymczasem nadejdzie królewna Jagódka i co zrobisz, gdy jej narzeczonego nie będziesz mógł przedstawić?

KRÓL:
Przedstawię jej narzeczonego, nie bój się, pójdę za radą Gwoździka i wydam ją za kanclerza, ogłoszę go swoim następcą, a Gwoździka przez próg nie puszczę.

KRÓLOWA:
At, bzdurzysz.

KRÓL:
Nie puszczę, a gdy się zjawi na moich publicznych posłuchaniach, każę mu wlepić sto kijów za to, że bez przyczyny wystarczającej ośmielił się zgłosić.

KRÓLOWA:
Dość tego gadania, ludzie słyszą... Oto i kanclerz.
(Wchodzi kanclerz).

KANCLERZ:
Wasza królewska mość, przychodzę nie jako kanclerz, którym już nie jestem, lecz jako osoba prywatna.

KRÓL:
Nie mów od rzeczy, kanclerku, stała się rzecz okropna, przerażająca, wywracająca...

KANCLERZ:
Bardzo mi przykro, mam nadzieję, że mój następca...

KRÓL *(przerywając)*:
Ani słowa więcej! Jesteś w dalszym ciągu moim kanclerzem.

KRÓLOWA:
Ano, nie możemy teraz na łeb, na szyję posyłać do kantoru służby po nowego kanclerza.

KANCLERZ *(kłaniając się królowej)*:
Bardzo waszej królewskiej mości jestem zobowiązany.

KRÓL:
Zostaniesz, dobrze?

KANCLERZ:
A powie mi król raz jeszcze „ośla głowo"?

KRÓL:
Jako żywo, nigdy więcej nie powiem.

KANCLERZ:
A będzie król utrzymywał, że się beze mnie obejść może?

KRÓL:
Tylko w święta i niedziele, i jak od czasu do czasu muszę mieć przyjemność.

KANCLERZ:
A dostanie skarbnik sto kijów za to, że się ze mną kłócił?

KRÓL:
Zostanie skazany na sto kijów, a później ułaskawiony z okazji ślubu Gwoździka. Bądź rozsądny, kanclerku, skarbnik może się rozgniewać i mnie rzucić, a gdzie ja skarbnika znajdę, który tak mało kradnie, jak on?

KANCLERZ:
Niech będzie i tak, ustępuję, żeby wasza królewska mość widział moje dobre serce... Co się stało?

KRÓL:
Królewicz Gwoździk nie chce się żenić.

KANCLERZ:
Namówimy go.

KRÓLOWA:
Ale królewicz Gwoździk uciekł tej nocy i nigdzie go znaleźć nie można.

KANCLERZ:
Znajdziemy go.

KRÓL:
Ale co powiemy królewnie Jagódce, gdy zapyta o swego narzeczonego.

KANCLERZ:
Królewna Jagódka zbyt dobrze wychowana, żeby się o byle drobnostkę pytała. Hola, służba, wnieście do pokojów krzesło przeznaczone dla królewicza Gwoździka. *(Służba uskutecznia rozkaz).* Królewnie Jagódce, gdyby się jednak pytała, powiemy... powiemy... *(namyśla się).* Aha, powiemy, że wróg potężny napadł na naszą najbardziej od stolicy oddaloną granicę i że królewicz Gwoździk wyruszył przeciwko niemu. W ten sposób zyskamy na czasie, znajdziemy księcia, przemówimy mu do rozumu.

KRÓL:
Do czyjego? Chyba nie do jego własnego, bo go nie ma. Rada twoja zresztą doskonała. *(Odgłos trąb).* Siadamy, królowo, siadamy, bo już królewna się zbliża.
Król i królowa wchodzą na schody i siadają na tronach, pośrodku pozostaje jedno krzesło niższe; na ziemi i wokół schodów grupuje się dwór, wzdłuż schodów stają halabardnicy. Przy odgłosie trąb wchodzi orszak: na czele trębacze, za nimi ochmistrzyni, następnie Kasia, której dwaj paziowie niosą ogon od sukni, przed nią młode dziewczęta tańcząc sypią kwiaty, za nią jej dwór. Król i królowa wstają i schodzą ze schodów, Kasia stoi i nie wie, co ze sobą zrobić.

OCHMISTRZYNI *(szeptem)*:
Ukłon, wasza królewska wysokość, ukłon! *(Kasia kłania się niezręcznie).*

KRÓL:
Witamy cię, moja córko!
(Wyciąga do niej rękę. Kasia mamrocze coś niezrozumiałego i całuje go w rękę).

KRÓL *(wyrywa się zdziwiony)*:
Hm... ahm... co chciałem powiedzieć... *(Kasia stoi nieruchomo, ogólne milczenie i konsternacja).*

KANCLERZ *(pchając poetę nadwornego)*:
Idź, powiedz wiersz powitalny!

POETA:
Teraz? Według porządku ceremoniału dopiero później, gdy ...

KANCLERZ *(przerywając)*:
Idź teraz, nie bój się, trzeba zrobić jakąś dywersję. *(Poeta zbliża się do Kasi i kłania głęboko).*

KRÓL *(uradowany)*:
Ach to ty, panie poeto nadworny, chcesz w imieniu państwa i poezji powitać naszą synowę. *(Poeta kłania się).* A więc mów!

POETA:
Mówią, że Wenus, gdy wybiegła z piany,
Modrego morza na przedświt różany,
Zanim ku bogom zwróciła swe lico,
Witała ziemię błękitną źrenicą.
I ty, o pani, równa Afrodycie,
Zanim nam znikniesz gdzieś, na tronu szczycie,
Pozwól przez chwilę cieszyć się nam, małym,
Postaci twojej widokiem wspaniałym.
(Milczenie).

OCHMISTRZYNI *(szeptem do Kasi)*:
Może by wasza królewska wysokość powiedziała słów parę poecie.

KASIA:
Bardzo mi przyjemnie, albo jestem uszczęśliwiona, albo coś takiego. *(Ogólna konsternacja i zdziwienie).*

KRÓL:
Hm... Ahm... co chciałem powiedzieć...

KANCLERZ:
Może wasza królewska mość zechce wprowadzić królewnę na przygotowany dla niej tron, żeby uroczystość powitalna mogła pójść przepisanym trybem.

KRÓL:

A tak, rzeczywiście. *(Bierze Kasię za rękę, królowa podaje jej drugą, oboje wprowadzają ją na górę i siadają. Na dany znak tańce na cześć królewny Jagódki. Po tańcach król, królowa i Kasia wstają i wychodzą do pałacu, za nimi idzie dwór, chwilę scena jest pusta. Wchodzi błędny rycerz i królewna).*

RYCERZ:

Już się skończyła uroczystość, wszyscy odeszli, a więc możemy spokojnie przyjść tutaj. Moja piękna, przyprowadziłem cię bez przygód i szczęśliwie do bram pałacu.

KRÓLEWNA:

Ani szczęśliwie, ani bez przygód... Bo oto patrz, zgubiłam na drodze moje buty, moje najukochańsze buty.

RYCERZ:

Naprawdę? Ale dlaczego ich nie pilnowałaś, Kasiu?

KRÓLEWNA *(śpiewa)*:

Zasłuchałam się po drodze
W ciche szepty pól,
W drżenie drobnych listków drzewa,
W pieśni ptaka, co tam śpiewa.
Usłyszałam w słodkiej trwodze
Nie wiem co.
Zapatrzyłam się po drodze
W miękki słońca blask,
Stara wierzba, nieco krzywa,
Chwiejna trawa, zła pokrzywa
Wskazywały mnie po drodze
Nie wiem co.
Powiedz, panie, co się stało,
Że me serce drży.
Biedne serce w ciągłej trwodze
Zobaczyło, usłyszało
Nie wiem co.

RYCERZ:

Czy naprawdę nie wiesz, Kasiu, co się stało?

KRÓLEWNA:

Ależ wiem doskonale, zgubiłam buty, swoje piękne buty, swoje najukochańsze buty. A jeśli ja bez butów pójdę do samego pana kuchmistrza, to mnie sam kuchmistrz nie przyjmie na pomywaczkę, a jeśli mnie sam pan kuchmistrz nie przyjmie, będę musiała wrócić do wsi, a co wtedy powiedzą wszystkie moje przyjaciółki?

RYCERZ:

Wobec tego nie pozostaje nic innego, jak kupić nowe buty.

KRÓLEWNA *(dygając)*:

Zapewne, panie rycerzu, zapewne... Czy nie obiecaliście cało i bez szwanku przywieźć mnie do pałacu?

RYCERZ *(bijąc w szyld mieczem)*:

Majstrze Dratewko, majstrze Dratewko!

MAJSTER DRATEWKA *(wyskakując ze sklepu i kłaniając się)*:

Czym mogę służyć, dostojny panie, czym mogę służyć... Mam towar przedni.
Co za buty, co za buty, Oto but pana
Każdy mocny i podkuty. Aż po kolana,
Niech pan przymierza Safjan tłoczony,
Buty rycerza, Jak krew czerwony.
Z długą ostrogą, O, piękność jaka,
Co brzęczy srogo. Bucik dworaka.
Ze złotych nitek Gdy trzeba w pole,
Uszyty zbytek. Te nosić wolę.
A tu los zdarza Co za buty, co za buty!
But gospodarza. Każdy mocny i podkuty.

RYCERZ:

Dość, dość, majstrze Dratewko, nic mi nie potrzeba. Chcę tylko kupić buciczki dla tej panienki...

DRATEWKA:

Dla tej dziewczyny, chce wasza wielmożność powiedzieć. Nie wiem, czy się buciki dobiorą. *(Śpiewa)*:
Złote, złocone Które mają
Srebrne, srebrzone, Nóżki małe,
Dla panienek przeznaczone Nóżki białe
Bo mam tylko Jakby z cukru były całe.

RYCERZ:
Zobaczymy... W każdym razie każ przynieść wszystkie swoje buciczki, żeby Kasia jakieś sobie wybrać mogła.

DRATEWKA:
(klaszcze w ręce, wbiegają szewczyki i ustawiają na scenie pantofle w dość dużych odstępach jeden od drugiego).

RYCERZ:
Weź, Kasiu, te, które ci się podobają.

KRÓLEWNA:
Dziękuję waszmość panu. *(Tańczy między pantofelkami śpiewając)*:
Te za szerokie, Te nic nie warte.
Te za wysokie, Tu zła cholewa,
Te mają dziury, Te są jak z drzewa.
Te z twardej skóry. A tamte? Może
Tamte podarte Ja jednak włożę.
(Szewczyki tańcząc podnoszą pantofle i uderzają nimi jak kastanietami; po ostatnich słowach piosenki królewna się zatrzymuje, chłopcy tańczą wkoło niej, wreszcie wybiegają w podskokach, z majstrem Dratewką na czele).

KRÓLEWNA *(składa ukłon rycerzowi)*:
Podziękowanie składa Kasia. *(Odwraca się i puka do drzwi z napisem: „Wejście od podwórza").*

RYCERZ:
Jak to – już?

KRÓLEWNA:
Panie, zmrok zapada *(puka znowu).*

RYCERZ:
Ach, jeszcze chwilę!

KRÓLEWNA:
Nie, nie mogę.

STRÓŻ *(w okienku przy bramie)*:
Hola, kto puka tam do bramy?

KRÓLEWNA:
Ja, Kasia.

STRÓŻ:
Co za Kasia?

KRÓLEWNA:
Kasia pomywaczka. Do samego pana kuchmistrza królewskiego niosę list.

STRÓŻ:
Teraz uczta w pałacu, pan kuchmistrz nie ma czasu. I ja czasu nie mam. *(Zamyka i otwiera okno).*

KRÓLEWNA *(podając list)*:
Błagam was, oddajcie ten list.

STRÓŻ:
Nie mam czasu.

KRÓLEWNA:
Co ja zrobię sama tutaj, boję się, noc bliska.

STRÓŻ:
Nie mam czasu. *(Robi ruch ręką).* Co to, nie rozumiesz?

KRÓLEWNA:
Ach, rozumiem. *(Daje mu pieniądze).* A teraz czas się znajdzie?

STRÓŻ:
Trochę go jeszcze mało.

KRÓLEWNA:
A teraz?

STRÓŻ:
Dawaj list i czekaj na odpowiedź *(znika i zamyka okno).*

KRÓLEWNA *(oglądając się)*:
Jeszczeście tu, panie rycerzu?

RYCERZ:
Oczywiście. Gdyby jednak pan kucharz nie chciał cię przyjąć, Kasiu?

KRÓLEWNA:
Broń Boże!

RYCERZ:
Daj Boże! Miałbym szczęście odprowadzenia cię tą samą drogą z powrotem do wsi.

KRÓLEWNA:
Do wsi? Za nic w świecie!

RYCERZ:
A do mojego zamku?

KRÓLEWNA:
Czy waszej wielmożności potrzeba pomywaczki?

RYCERZ:
Nie, ale żony. Czy nie wiesz, Kasiu, że cię kocham?

KRÓLEWNA:
O Jezu, tak prędko mnie pan rycerz pokochał?

RYCERZ:
Tak, pokochałem cię, bo wkoło
Każdy cię musi piękną zwać,
Bo śmiech twój dźwięczy tak wesoło,
Jak jam się nigdy nie mógł śmiać.
Tak, pokochałem cię, bo śmiało
Opuszczasz swój rodzinny próg,
Bo mężne serce twe nie drżało,
Gdy ci potężny groził wróg.
A gdy nas droga prowadziła
Na ten daleki, obcy dwór,
Miłosne słowa tobie, miła,
Szeptało pole, szeptał bór.
Ach, mej miłości ci nie trzeba
Wszak ciebie kocha cały świat,
Szemrzące wody, słońce z nieba,
Więdnący pod twą stopą kwiat.

KRÓLEWNA:
I naprawdę chce się pan rycerz ze mną żenić? A co na to powie mój narzeczony?

RYCERZ:
Twój narzeczony? Któż to taki?

KRÓLEWNA *(namyślając się)*:
Mój narzeczony... mój narzeczony zwie się Jasio.

RYCERZ:
Czy tak cię pokochał, jak kochać cię trzeba?
Czy serce-ć dał całe, co nosi w swym łonie?
Czy Jasio też pragnie przychylić ci nieba?
Czy pocałunkami osypał twe dłonie?
Czy w chacie swej da ci spokojność, wesele?
Czy duszę ci całą pod stópki podściele?
Czy będzie tak patrzył w blask ócz twych niewinny?
Czy tak cię pokochał, jak kocha kto inny?

KRÓLEWNA:
Ja nie wiem, rycerzu! Zbyt górne to słowa!
Jasiową być żoną jam zawsze gotowa,
Jam nie na szlacheckie stworzona pokoje,
Posiłek zgotuję i krowę wydoję.
I izbę wyprzątnę, i co dzień tak samo.
Na zamku? Ja nie wiem... nie umiem być damą.

RYCERZ:
Ty, Kasiu, byłabyś ozdobą nawet królewskiego dworu.

KRÓLEWNA:
Znowu kpicie ze mnie, łaskawy panie. Zresztą nie mówmy o tym. Dałam słowo, muszę je dotrzymać!

STRÓŻ:
Kasiu, Kasiu.

KRÓLEWNA:
Czego?

STRÓŻ:
Pan kuchmistrz cię woła.

KRÓLEWNA:
Doskonale. Żegnaj, panie rycerzu, na zawsze.

RYCERZ:
O, nie na zawsze. Zobaczymy się jeszcze.

AKT III

Kuchnia królewska zupełnie pusta. Wchodzi pomocnik kuchmistrza.

POMOCNIK *(klaszcząc w ręce)*:
Do roboty, do roboty,
Kucharze, pomywaczki,
Kuchciki, do roboty!
Podczas tego wołania wbiegają z jednej strony kucharze i kuchciki, z drugiej kucharki i pomywaczki i ustawiają się wokół pomocnika; między pomywaczkami znajduje się królewna.

KUCHARZE *(grubym głosem)*:
Oto jesteśmy!

KUCHARKI *(altem)*:
Oto jesteśmy!

KUCHCIKI *(mezzosopranem)*:
Oto jesteśmy!

POMYWACZKI *(bardzo cienkim sopranem)*:
Oto jesteśmy!

POMOCNIK *(rozdając robotę)*:
Ty co żywo Warz bigosy
Skocz po piwo, Sprawiaj ryby
Dosiu, Zosiu, Wyparz grzyby,
Basiu, Stasiu, Katarzyna,
Skub indyczki, Przynieś wina,
I perliczki, Oczyść ptaki.
Przypraw sosy,

(Podczas tych słów pomocnika wszyscy się rozchodzą do roboty, z wyjątkiem królewny i pomywaczki Basi).

POMOCNIK *(do królewny i Basi)*:
Skrob ziemniaki.
(Odchodzi w głąb kuchni, dwóch kuchcików przynosi kosz z kartoflami, który stawiają z boku sceny wraz z miską wody. Królewna i Basia przysuwają niskie stołeczki i siadają koło kosza).

KRÓLEWNA:
A więc to są ziemniaki?

BASIA:
Myślałby kto, żeś nigdy ziemniaków nie widziała... Ale nie czas na żarty teraz, moja
Kasiu, obierajmy kartofle, bo nie zdążymy na czas i pan pomocnik będzie się gniewał. *(Zaczyna obierać kartofle i rzucać je do wody).*

KRÓLEWNA *(ogląda kartofel, później nożyk, bierze nóż najpierw do lewej ręki, próbuje obierać, kiwa głową, przygląda się chwilę Basi, przekłada nóż do prawej ręki, wreszcie zaczyna obierać tak grubo, że się z kartofla nic nie zostaje, wtedy mówi)*:
Basiu!

BASIA:
A czego?

KRÓLEWNA:
Nic mi się z kartofla nie zostało.

BASIA:
Pokaż... Co za głupie figle! Myślałby kto, żeś nigdy kartofla nie obierała!

KRÓLEWNA:
Bo nie obierałam.

BASIA:
At, wolne żarty! Któż u was w domu kartofle obierał?

KRÓLEWNA:

Chyba że nie ja! Służba na to była. *(Spostrzegając się, zmieszana)*: To jest... jakże... nie tak chciałam powiedzieć... ot, po prostu jadaliśmy kartofle z łupinami... Tak, tak, z łupinami, przypominam sobie teraz... Przecież to szkoda tyle kartofli wyrzucać, zjeść można.

BASIA:

Świnie, z przeproszeniem, kartofle z łupinami jedzą, nie ludzie... Ale obieraj, obieraj, bo sama nie zdążę...

KRÓLEWNA:

Zdążysz, zdążysz, postaraj się tylko...

BASIA:

Nie zdążę i nie chcę zdążyć wcale. Jak nam kazano razem robić, to nie na to, żeby jedna siedziała z założonymi rękoma jak królewna, a druga sama pracowała. Weźmiesz się ty do roboty? Tak, czy nie?

KRÓLEWNA:

Ależ wezmę, jeszcze czas, wcześnie bardzo. Niezdrowo się tak męczyć od samego rana.

BASIA:

A ty, leniuchu jeden, dostaniesz ty za swoje *(woła)*: Panie pomocniku! Panie pomocniku!

POMOCNIK *(przychodząc)*:

Co się stało?

BASIA:

Kasia nie chce kartofli obierać.

KRÓLEWNA *(dygając)*:

Przepraszam pana pomocnika, ale godziłam się do zmywania, a nie do obierania kartofli.

POMOCNIK:

Tak? Nie godziłaś się do obierania kartofli? Patrzcie ją? To ty pewnie jesteś nowa pomywaczka, która już tyle szkód narobiła. Potrzebna ty nam tu jesteś jak psu piąta noga! Nie wiadomo dlaczego cię pan kuchmistrz trzyma. Ale jeśli panna pomywaczka niełaska-

wa obierać kartofle, to tu są drzwi... Może sobie pójść, skąd przyszła.

KRÓLEWNA *(dygając)*:
Dziękuję panu pomocnikowi.

POMOCNIK:
Nie ma za co... Będziesz obierała kartofle? Tak, czy nie?

KRÓLEWNA:
Nie, bo nie umiem.

POMOCNIK *(zdziwiony)*:
Nie umiesz obierać kartofli?

BASIA:
A tak, opowiadała jakieś głupstwa, że u nich na wsi kartofli nie obierają.

POMOCNIK:
A co mnie to obchodzi, jakie chamskie zwyczaje na waszej chamskiej wsi panują. Tu jest kuchnia królewska, zrozumiane? I tu trzeba słuchać rozkazów, zrozumiane? I kartofle obierać, gdy każą, zrozumiane?
(Wchodzi sam pan kuchmistrz).

KUCHMISTRZ:
Co to za hałasy?

POMOCNIK:
Nowa pomywaczka nie chce kartofli obierać.

KUCHMISTRZ:
Ależ, Kasiu, jakże można. Przyjąłem cię ze względu na twoją chrzestną, trzymałem cię ze względu na twoją chrzestną, nie zważałem, że zbiłaś cały serwis niedzielny.

KRÓLEWNA:
O, przepraszam, nie cały, został jeden talerz i pokrywa od wazy.

POMOCNIK:
Tak odpowiadać panu kuchmistrzowi, tak odpowiadać samemu panu kuchmistrzowi...

KUCHMISTRZ *(do pomocnika)*:
Proszę nie przerywać, ja teraz mówię. *(Do królewny)*: Co chciałem powiedzieć... Aha... Nie zważałem, że zbiłaś cały serwis odświętny i że ani jedno naczynie, które wyszło z rąk twoich, nie było należycie wymyte.

KRÓLEWNA:
O, przepraszam, wielki półmisek był doskonale wyczyszczony. Pies Filutek prześlicznie go wylizał.
(Szmer oburzenia wśród kucharzy, kucharek, kuchcików i pomywaczek, którzy zebrali się wokół mówiących).

POMOCNIK:
Tak odpowiadać panu kuchmistrzowi, tak odpowiadać samemu panu kuchmistrzowi!

BARDZO GRUBA KUCHARKA:
Niesłychane! Niesłychane!

BARDZO GRUBA KUCHARKA:
Oburzające, oburzające!

BASIA:
Powinna być przykładnie ukarana.

POMOCNIK:
O tak, gdyby posiedziała ze trzy dni o chlebie i wodzie.

BARDZO GRUBA KUCHARKA:
I dostała jeszcze kijem.

BARDZO GRUBA KUCHARKA:
I musiała klęczeć na grochu po cztery godziny dziennie.

KUCHMISTRZ:
Moi państwo, moi państwo, uspokójcie się! Odpowiedź Kasi sprzeciwia się oczywiście należnemu mnie uszanowaniu i koniecznej subordynacji i zdradza, że tak z przeproszeniem powiem, jej niskie po-

chodzenie i brak wyższej dworskiej ogłady. Ale cóż to biedne dziecko winne, że wyrosło między, że tak z przeproszeniem powiem, chłopstwem, i w kuchni królewskiej zachować się nie umie... To my nauką i przykładem, a przede wszystkim cierpliwością powinniśmy...

POMOCNIK *(przerywając)*:
Pan kuchmistrz zwykle tyle cierpliwości nie ma.

KUCHMISTRZ:
Co to pana obchodzi, panie pomocniku, niech pan nie wtrąca się w nie swoje sprawy, panie pomocniku. Nie lubię, gdy kto mi robi uwagi, panie pomocniku!

POMOCNIK:
Nic mnie to nie obchodzi, panie kuchmistrzu, do niczego się nie wtrącam, panie kuchmistrzu, nie robię uwag, panie kuchmistrzu.

KUCHMISTRZ:
Bardzo dobrze, panie pomocniku. Gdzie jest spis potraw na wesele królewicza?

POMOCNIK:
A co będzie z pomywaczką Kasią?

KUCHMISTRZ:
Niech pana o to głowa nie boli. Gdzie jest spis potraw na wesele królewicza Gwoździka i królewny Jagódki?

POMOCNIK:
Nie ułożony jeszcze.

KUCHMISTRZ:
Nie ułożony? Co to znaczy, panie pomocniku? Czy nie otrzymał pan wczoraj wyraźnego rozkazu...

POMOCNIK:
Otrzymałem, a więc co z tego... Mam dość czasu do układania spisu potraw na wesele, które odbędzie się nie wiadomo kiedy i nie wiadomo gdzie, jeśli się w ogóle odbędzie.

KRÓLEWNA:
Powiedzcie mi, błagam, dlaczego wesele królewicza się nie odbędzie?...

KUCHMISTRZ:
Nasz królewicz nie chce się żenić z królewną Jagódką i uciekł z pałacu, żeby się z nią nie spotkać.

KRÓLEWNA *(klaszcząc w dłonie)*:
Ach, to doskonale, wyśmienicie!

KUCHMISTRZ *(zdziwiony)*:
Doskonale?

KRÓLEWNA:
Bo królewna także nie chce poślubić królewicza Gwoździka.

KUCHMISTRZ:
Skąd to wiesz?

POMOCNIK *(zjadliwie)*:
Przecież królewna Jagódka nikogo innego niż pomywaczkę Kasię na powiernicę wybrać nie mogła. *(Do królewny)*: Oczywiście, znasz królewnę doskonale?

KRÓLEWNA:
Doskonale, nie doskonale, ale rozmawiałam z królewną w lesie trzy dni temu.

KUCHMISTRZ:
Jakże królewna?
Czy jest powiewna?

BASIA:
Bardzo łaskawa?

JEDEN Z KUCHCIKÓW:
Wesoła, żwawa?

BARDZO GRUBA KUCHARKA:
Co powiedziała?

BARDZO GRUBA KUCHARKA:
Jak wyglądała?

WSZYSCY:
Opowiedz nam, opowiedz nam!

KRÓLEWNA:
A więc od czego mam zacząć opowiadanie?

JEDEN Z KUCHCIKÓW:
Czy naprawdę tak piękna, jak mówią...

KRÓLEWNA:
Zapewne... Dość powiedzieć, że do mnie podobna.

POMOCNIK:
Co, do ciebie?

BARDZO GRUBA KUCHARKA:
Co, do ciebie? *(Prawie jednocześnie*

BARDZO GRUBA KUCHARKA:
Co, do ciebie? *różnymi głosami)*

KUCHCIK:
Co, do ciebie?

BASIA:
Co, do ciebie? Patrzcie ją!

KRÓLEWNA:
Właśnie do mnie, moi państwo, chociaż wam się to nie podoba. Zresztą wszystko zależy od ubrania... Gdybym miała na sobie suknię czerwoną, złotem wyszywaną, i kapelusz ciężki od złota, nie wątpię, że każdy z was wziąłby mnie za królewnę i byłby szczęśliwy, gdyby mógł mi rękę ucałować, nawet pan pomocnik, który spogląda na mnie zjadliwym spojrzeniem.

POMOCNIK *(pieniąc się ze złości)*:
Ja ciebie w rękę pocałować, ciebie...Choćbyś sto sukien miała i sto kapeluszy ze złota, to zawsze zostaniesz ordynarną chamką.

KUCHMISTRZ:
Panie pomocniku, miarkuj się w wyrażeniach, nie zapominaj, że jesteś w królewskiej kuchni w mojej obecności... A ty, Kasiu, nie zadzieraj tak nosa do góry i nie bądź zbyt dobrego o sobie mniemania. Muszę przyznać, że jak na pomywaczkę jesteś wcale nieszpetna. *(Przygląda się jej).* Niejeden byłby może zdania, żeś ładna, nawet bardzo ładna... zresztą piękna z ciebie dziewczyna i kwita! Ale to nie powód do tej wielkiej zarozumiałości, jaką wykazałaś porównując się do królewny Jagódki, która będzie kiedyś królową, podczas gdy ty zostaniesz najwyżej... *(urywa zaambarasowany).*

KRÓLEWNA:
Czym, panie kuchmistrzu?

KUCHMISTRZ:
No, nie wiem, nie wiem... *(do innych)*: Dalej do roboty! Pół dnia schodzi na gadaniu...
(Wszyscy się rozchodzą, z wyjątkiem pomocnika i królewny).

KUCHMISTRZ *(do królewny)*:
Gdzie jest spis potraw, który przyrzekłaś ułożyć na śniadanie dla miłościwie nam panującego króla Ćwieczka?

KRÓLEWNA *(podając mu papier)*:
Proszę.

KUCHMISTRZ:
Czytaj, moje dziecko.

KRÓLEWNA:
A więc entrée: Ogonki mysie w miodzie.

KUCHMISTRZ:
Ależ świetnie, moja Kasiu, po prostu świetnie... Potrawa oryginalna, świeża, niezwykła w smaku.

KRÓLEWNA *(czyta dalej)*:
Ryba: kotlety wielorybie na tranie.

KUCHMISTRZ:
Pomysł wprost genialny...

POMOCNIK:
Wieloryb nie jest rybą...

KUCHMISTRZ:
Nie gadaj pan głupstw. *(Do królewny)*: Czytaj dalej, moje dziecko.

KRÓLEWNA *(czyta)*:
Szynka z dzika, szpikowana żołędziami, kaktusy marynowane w occie.

KUCHMISTRZ:
Potrawa niezmiernie pikantna.

POMOCNIK:
W dosłownym tego znaczeniu, całe usta sobie nią pokłuć można.

KUCHMISTRZ:
Dość, panie pomocniku, czarna zazdrość przemawia przez pana, panie pomocniku. *(Bierze papier z ręki królewny i podaje go pomocnikowi)*. Oto spis potraw na dzisiejsze śniadanie: ogonki mysie w miodzie, kotlety wielorybie na tranie, szynka z dzika, szpikowana żołędziami, i kaktusy.

POMOCNIK *(drąc papier)*:
Nie przypilnuję tego śniadania, nie chcę z tym mieć nic do czynienia. Myślałem dotychczas, że pracuję w kuchni królewskiej, a teraz widzę, że jestem w karczmie, gdzie pierwsza lepsza dziewczyna wiejska może rządzić się jak szara gęś. Usłucham każdego rozkazu wydanego przez pana kuchmistrza, Ale nie przez Kasię, pomywaczkę. Nigdy! Wolę umrzeć, wolę posadę stracić, wolę otrzymać naganę z ust miłościwie nam panującego króla Ćwieczka.

KUCHMISTRZ:
Nie unoś się, panie pomocniku, idź do swoich zajęć, bo ja rozkazuję ci przygotować śniadanie... Ja, sam pan kuchmistrz. *(Pomocnik podnosi podarty papier)*. Widzę, że przychodzisz do rozumu... A teraz usuń pan ludzi z tej kuchni, chcę w najściślejszej tajemnicy przeprowadzić pewną próbę kulinarną.

POMOCNIK:
Zastosuję się do rozkazu pana kuchmistrza.

No, a teraz, jak się zdarzy, Chyłkiem, milczkiem i cichaczem,
Czy kto czyści, czy kto warzy, Z miską, rondlem, pogrzebaczem,
Z tym, z czym stoi, z tym, co trzyma
Każdy niech na górę dyma.
Kucharze, kuchciki, kucharki i pomywaczki skaczą po scenie, łapią naczynia i tańcząc wychodzą jeden za
drugim, pozostają kuchmistrz, pomocnik i królewna.

POMOCNIK *(kłania się)*:
A teraz żegnam pana kuchmistrza. *(Kuchmistrz kiwa głową, pomocnik idzie ku drzwiom).*

KRÓLEWNA *(dygając)*:
A teraz żegnam pana kuchmistrza.

KUCHMISTRZ:
Nie, poczekaj, Kasiu, pragnę skorzystać z twoich głębokich wiadomości kulinarnych...

POMOCNIK *(wybuchając śmiechem)*:
Wiadomości kulinarne Kasi, pomywaczki, ha, ha, ha! Głębokie wiadomości kulinarne Kasi pomywaczki. *(Wychodzi śmiejąc się...).*

KUCHMISTRZ:
No, nareszcie, Kasiu!

KRÓLEWNA:
Tak, panie kuchmistrzu.

KUCHMISTRZ:
Chciałbym pomówić z tobą, Kasiu. Twoja chrzestna matka mówiła mi, że jesteś zaręczona...

KRÓLEWNA *(zdziwiona)*:
Ja? Z kim?

KUCHMISTRZ:
Ach, nie udawaj... Z wójtowym synem, Jasiem.

KRÓLEWNA:
A tak... z Jasiem. Oczywiście, panie kuchmistrzu...

(Jakiś okropnie zamorusany człowiek z kłodą drzewa na ramieniu wszedł przed chwilą niezauważony przez nikogo, teraz rzuca kłodę na ziemię, wyciąga topór zza pasa i zaczyna rąbać).

KUCHMISTRZ:
Co to znaczy?

CZŁOWIEK:
Pan pomocnik kazał mi drewek narąbać.

KUCHMISTRZ:
Tu?

CZŁOWIEK:
A bo ja wiem? Kazał mi wyjść z kuchni, ja też wyszedłem.

KUCHMISTRZ:
Na podwórze idź rąbać, niedołęgo, nie tutaj.

CZŁOWIEK:
Już idę. *(Zabiera się powoli i idzie ku drzwiom w głębi, przez które wychodzi).*

KUCHMISTRZ *(który szedł za nim, we drzwiach)*:
Ażebyś nosa tu więcej nie śmiał pokazać. *(Zamyka drzwi; do królewny)*: Więc twój narzeczony?

KRÓLEWNA:
Nie mam już narzeczonego, mój Jasio już mnie nie chce.

KUCHMISTRZ:
I bardzo cię to martwi?

KRÓLEWNA:
Ani trochę.

KUCHMISTRZ:
Świetnie, doskonale... Ten nędzny chłop, który pogardził swoim szczęściem, nie był ciebie godzien. Warta jesteś lepszego losu.

KRÓLEWNA:
Bez wątpienia... Jestem w każdym razie warta męża, który by mnie kochał.

KUCHMISTRZ:
Bardzoś misternie to powiedziała. Widać, że twoja chrzestna nie poskąpiła ci dobrej edukacji. Kasiu, gdyby się znalazł ktoś, który cię kocha, człowiek stateczny, zajmujący urząd poważny i odpowiedzialny, mogący ci zapewnić stanowisko, o jakim nigdy nie marzyłaś...

KRÓLEWNA:
Może pójdę teraz do swojej roboty?

KUCHMISTRZ *(biorąc ją za rękę)*:
O, nie!
(Człowiek zamorusany, z naręczem drzewa na ramieniu, wszedł znowu i czeka; w tej chwili podchodzi do kuchmistrza i potrąca go tak niezręcznie, że kuchmistrz pada na ziemię. Człowiek wypuszcza drzewo na kuchmistrza i siada na nim).

CZŁOWIEK *(ocierając sobie pot z czoła rękawem)*:
A tom się zmęczył, panienko.

KUCHMISTRZ *(wierzga nogami i krzyczy)*:
Wstań, zbóju, dusisz mnie.

CZŁOWIEK *(rozglądając się)*:
Nijak coś krzyczy.

KUCHARZ *(szczypiąc go w nogę)*:
Rusz się nareszcie!

CZŁOWIEK *(łapiąc go za nogę)*:
Coś mnie ukąsiło.

KRÓLEWNA *(surowo)*:
Wstańcie, człowieku.

CZŁOWIEK:
A bo co?

KRÓLEWNA *(tupiąc nogą)*:
Bo ja tak każę i kwita.

CZŁOWIEK *(wstając)*:
Tak, to co innego. *(Ogląda się).* Patrzcie, a ja przez nieuwagę siedziałem na panu kuchmistrzu... O la Boga, o la Boga! Jakże ja pana kuchmistrza obraziłem.

KUCHMISTRZ *(leżąc na ziemi)*:
Nie obraziłeś mnie wcale. Ludzie tacy jak ty mnie obrazić nie mogą... Jesteś, wyższy ponad nich. *(Próbuje niezręcznie wstać).* Dalej, pomóż mi wstać... *(Człowiek stawia go na nogi; do królewny, która mu pomaga)*: Daj pokój, moje dziecko, zmęczysz się.

CZŁOWIEK:
O Jezu, jak się pan kuchmistrz osmolił, muszę pana kuchmistrza otrzepać trochę. *(Bierze kawałek drzewa i zaczyna go bić).*

KUCHMISTRZ:
Och, och, ratunku, pomocy!

KRÓLEWNA *(chwytając człowieka za rękę)*:
Co to znaczy, ty niegodziwy człowieku!

CZŁOWIEK:
Ano nic, osmolił się pan kuchmistrz.

KRÓLEWNA *(zabierając mu kijek)*:
Dość tego, nie pozwalam na takie żarty niemądre, jeśli to w ogóle żarty... Odejdź stąd natychmiast i nie pokazuj mi się na oczy.

CZŁOWIEK:
A bo co?

KRÓLEWNA *(tupiąc nogą)*:
Bo ja tak każę i kwita.

CZŁOWIEK:
Tak to co innego. *(Kłania się i wychodzi).*

KUCHMISTRZ:

Co za gbur nieokrzesany, ale dałaś sobie radę z nim doskonale... O Kasiu, im dłużej ci się przyglądam, tym bardziej mi się podobasz i tym jaśniej widzę, że godna jesteś wielkiego zaszczytu, jaki ci wyrządzić zamierzam...

KRÓLEWNA:

Panie kuchmistrzu!

KUCHMISTRZ:

Czy rozumiesz różnicę między kuchmistrzem i pomywaczką, między zwyczajną dziewczyną wiejską, jak ty, a człowiekiem piastującym wysoki urząd dworski i państwowy, jak ja...? czy odczuwasz niezgłębioną przepaść, dzielącą mnie od ciebie...? A jednak ja pragnę mimo wszystko podnieść cię ku sobie, dzielić z tobą spływające na mnie zaszczyty... jednym słowem, pojąć cię za żonę. *(Królewna odwraca się ze śmiechem).* Nic mi nie odpowiadasz, Kasiu?

KRÓLEWNA *(dusząc się od śmiechu)*:

Nie mogę mówić ze wzruszenia.

KUCHMISTRZ:

Bardzo zrozumiałe, moje dziecko, bardzo zrozumiałe. Pragnąłbym, aby ślub nasz odbył się jak najprędzej.

KRÓLEWNA:

Nie! Nie, panie kuchmistrzu... nie śmiem podnieść oczu tak wysoko. *(Wbiega sługa).*

SŁUGA:

Panie kuchmistrzu, panie kuchmistrzu!

KUCHMISTRZ:

Co się stało?

SŁUGA:

Pan pomocnik kazał nowemu parobkowi wpuścić świeżo przywiezione ryby do sadzawki i poprowadzić oswojone jelenie królewicza Gwoździka na przechadzkę, a on wpuścił jelenie do sadzawki i ciągnie ryby na sznurze po trawnikach.

KUCHMISTRZ:

Okropność! Gdzie ten zbrodniarz?... Jelenie królewicza... Gdzie ten nędznik! Najrzadsze ryby przeznaczone na wesele... Końmi go szarpać, posiekać na kawałki! Usmażyć w gorącym oleju! Co ja zrobię, skąd ja ryby wezmę na wesele królewicza?

KRÓLEWNA:

Uspokój się, panie kuchmistrzu, przecież to wesele nie odbędzie się wcale.

KUCHMISTRZ:

To wszystko jedno!... W każdy razie jestem zbeszczeszczony, unicestwiony, zgubiony... Przynieście mi moją szpadę, żebym się nią przebił.

KRÓLEWNA:

Ale może ryby są jeszcze do uratowania, a pan kuchmistrz traci czas na lamenty...

KUCHMISTRZ:

Dobrze mówisz, Kasiu, doskonale... Już biegnę do ogrodu. Bądź zdrowa! Pomów ze swoją chrzestną dziś wieczorem o naszym ślubie.

KRÓLEWNA:

Dobrze, panie kuchmistrzu. *(Kuchmistrz wychodzi ze sługą).* Obawiam się, że będę musiała zrobić zawód panu kuchmistrzowi. Biedny pan kuchmistrz, ale, mój Boże, jaki śmieszny... Hm, a co my dalej poczniemy, królewno Jagódko... Patrzcie, inkaust i pióro, których pan kuchmistrz zapomniał, i papier. Przede wszystkim napiszę list. *(Siada przy stole i pisze. Błazen wskakuje przez okno).*

BŁAZEN:

Pst, królewno Jagódko!

KRÓLEWNA *(oglądając się)*:

To ty, błazenku, chodź no tu. *(Błazen zbliża się).* Jeszcze bliżej. *(Błazen staje koło niej. Królewna chwyta go za ucho i ciągnie).*

BŁAZEN:

Aj, aj, aj!

KRÓLEWNA:
To, żebyś pamiętał, że jestem pomywaczką Kasią, a nie królewną Jagódką. A teraz siadaj i czekaj.

BŁAZEN *(siadając na stole)*:
Na co?

KRÓLEWNA:
Na listy, które piszę.

BŁAZEN:
A do kogo te listy?

KRÓLEWNA:
Po pierwsze, do mego łaskawego ojca-króla. *(Daje mu list).*

BŁAZEN:
Bardzo rozsądnie.

KRÓLEWNA:
Po wtóre, do mego narzeczonego, królewicza Gwoździka.

BŁAZEN:
Słusznie, słusznie...

KRÓLEWNA:
Chcesz posłuchać?

BŁAZEN:
Nadstawiam miłościwie przez ciebie naderwane ucho.

KRÓLEWNA *(czyta)*:
Piszę do ciebie, Gwoździku dostojny,
Żebyś powrócił tu i był spokojny...

BŁAZEN:
Królewicz wyjechał?

KRÓLEWNA:
Tak, bo się ze mną żenić nie chce.

BŁAZEN:
Nie chce się z tobą żenić, ależ to niesłychane, oburzające! Taką zniewagę tylko krwią zmyć można... I ty się z tego śmiejesz?

KRÓLEWNA:
Jestem zachwycona podobnym obrotem sprawy. Słuchaj dalej.

BŁAZEN:
Słucham.

KRÓLEWNA:
Gdzie stanęłam... Aha...
Żebyś powrócił tu i był spokojny,
Żebyś daleką swoją skrócił drogę,
Bo ja twą żoną ni chcę być, ni mogę,
A więc się dobrze i szczęśliwie zdarza,
Że nie chcesz stanąć ze mną u ołtarza.
Służę, choć trudno powiedzieć dlaczego,
Za pomywaczkę w domu ojca twego,
A wiejskie dziewczę siaduje przy stole
Pośród dam dworu i gra moją rolę.
Mój królewiczu, powracaj bez lęku,
Bo kiedy list ten będziesz trzymał w ręku,
Będę już tego małżonką szczęśliwą,
Kto mnie miłością ukochał prawdziwą.

BŁAZEN:
To nieprawda!

KRÓLEWNA:
Najprawdziwsza prawda... Oto trzeci list najważniejszy, najpilniejszy, najdroższy... Wręczysz go dziś przed wieczorem memu wiernemu rycerzowi...

BŁAZEN:
Którego pragniesz poślubić?

KRÓLEWNA:
Tak, z całego serca i z całej duszy.

BŁAZEN:
To nie uchodzi.

KRÓLEWNA:
Czemu?

BŁAZEN:
Dałaś słowo królewiczowi Gwoździkowi.

KRÓLEWNA:
Królewicz pierwszy złamał śluby, jestem wolna.

BŁAZEN:
Nie możesz wziąć, królewno, zwykłego rycerza za męża...

KRÓLEWNA:
Dla mnie jest on więcej niż królem.

BŁAZEN:
Ale co powie twój ojciec?

KRÓLEWNA:
Mój ojciec mi wybaczy, gdy zobaczy dzielność mego rycerza i moje szczęście. Mój słodki, mój kochany, mój złoty błazenku, oddaj ten list.

BŁAZEN:
Dobrze... ale komu?

KRÓLEWNA:
Ach, komu? O, poznasz go łatwo, błazenku,
Po męskiej postawie, po sile, po wdzięku,
Po ruchach szlachetnych i pełnych swobody,
Po słowach łagodnych, po głosie, jak miody,
Po wszystkich przymiotach i cnotach rycerza,
Po oku, co w serce jak grotem uderza.
Idź śmiało do niego z pisaniem w swym ręku
I zaraz go poznasz, zobaczysz, błazenku.

BŁAZEN:
O, wątpię. Adres niepewny... Gdzie go szukać zresztą?

KRÓLEWNA:
Mój błazenku, mam głębokie zaufanie do twojej mądrości i przebiegłości. Przypuszczam jednak, że znajdziesz rycerza gdzieś w pobliżu kuchni królewskiej.

CZŁOWIEK *(który wszedł przed chwilą, zbliżając się)*:
Albo w kuchni królewskiej.

KRÓLEWNA:
Ach, to wy, panie rycerzu? Nie poznałam was.

RYCERZ *(do błazna)*:
Daj list, błazenku, bo przypuszczam, że pisany był do mnie.

BŁAZEN:
Skąd ta pewność?

RYCERZ:
Słyszałem, komu Kasia oddać go kazała.

BŁAZEN:
Już to zbytkiem skromności nie grzeszysz, panie rycerzu.

RYCERZ:
Nie, błaźnie, odzwyczaiłem się od skromności w młodym wieku i dotychczas braku jej nie odczułem zbyt boleśnie. Ale daj list...

BŁAZEN:
(do królewny): Czy ma go wręczyć?

KRÓLEWNA:
Nie.

RYCERZ:
Czemu, Kasiu?

KRÓLEWNA:
Zachowałeś się niegodziwie względem biednego pana kuchmistrza, Tak rycerz, którego wybrałam, nie postępuje, o nie... Dla niego list jest przeznaczony, nie dla ciebie.

RYCERZ:
O droga Kasiu, wybacz... Nie mogłem strawić myśli, że ta fasa łoju...

KRÓLEWNA *(przerywając)*:
Coraz lepiej... Tak się w mojej obecności nie mówi.

RYCERZ:
A więc nie mogłem strawić myśli, że sam pan kuchmistrz śmiał podnieść oczy ku tobie.

KRÓLEWNA:
Zniżyć, chcesz powiedzieć, zniżyć... Co by pan kuchmistrz powiedział, gdyby cię usłyszał? Będzie to wszak dla mnie zaszczyt nie lada zostać zostać panią kuchmistrzową.

RYCERZ:
Ty go nie poślubisz!

KRÓLEWNA:
Kto wie? Muszę mu przecież wynagrodzić kije, które dostał przeze mnie i ukarać pewnego rycerza, zbyt skorego do postępków zgoła nierycerskich.

RYCERZ:
Nie czyń mi tej krzywdy, Kasiu! Ty żoną tego kuchty! Wróć raczej do swojego Jasia!

KRÓLEWNA *(siada, zakrywa twarz rękoma i udaje, że płacze)*:
Ach, ach, ach! Jątrzysz niezabliźnioną ranę mego serca... Mój Jasio mnie nie chce.

RYCERZ *(drżącym głosem)*:
To nie żarty?

KRÓLEWNA:
Niestety!

RYCERZ:
Ale z jakiego powodu?

KRÓLEWNA:
Nie kocha mnie.

RYCERZ:
To niemożliwe, Kasiu, każdy cię kochać musi.

KRÓLEWNA:
Serce nie sługa... Mój Jasio mnie nie kocha.

RYCERZ:
A więc co uczynisz?

KRÓLEWNA:
Nie wiem, to jest wiem doskonale, wyjdę za mąż.

RYCERZ:
Za kogo?

KRÓLEWNA:
Oczywiście, za tego, kto mnie chce.

RYCERZ *(z radością)*:
Za mnie, naprawdę, za mnie!

KRÓLEWNA:
Powiem, jak błazen, nie grzeszysz, panie, skromnością, mogą być inni.

RYCERZ:
Nie, nie. Po cóż byś pisała do mnie? Chcesz mnie poślubić, Kasiu, co za szczęście... Powiedz, że się zgodzisz zostać moją żoną i że mnie choć trochę, troszeczkę kochasz.

KRÓLEWNA:
Teraz, rycerzu, dowiedz się ode mnie:
Od pierwszej chwili kocham cię tajemnie.
Daj mi twą rękę *(wkłada mu pierścień)*, chcę być kochająca
i wierna tobie, aż do dni mych końca.
Chcę być ci żoną, chcę być przyjacielem,
Żyć twoim bólem i twoim weselem.
Chcę, by tak losy były nasze skute,
By cię nie przeżyć ani o minutę,
By razem zamknąć ma zawsze powieki,
I w jednym grobie spoczywać na wieki!

RYCERZ *(klęka i całuje jej rękę)*:
O Kasiu moja! Śnię, czy jestem w niebie?
Jam twej miłości niegodzien, ni ciebie.
Ale z dniem każdym dołożę starania,
By się stać godnym twojego kochania.

KRÓLEWNA *(do błazna)*:
Daj mi list. *(Czyta)*:
Gdybyś, rycerzu, mógł mi szczerze
Powtórzyć to, coś mówił wprzód,
To kiedy księżyc zamku wieżę
Srebrną światłością swą ubierze,
Czekam cię u kuchennych wrót.
Uciekać stąd chęć we mnie płonie,
Więc gdy księżyca błyśnie biel,
Gdy niebo w blasku gwiazd zatonie,
Śmiało ci wówczas podam dłonie
I wskażę drogi naszej cel.
(Do siebie): A zatem dokąd chcesz się udać, Kasiu?

BŁAZEN:
Do ojca po błogosławieństwo.

KRÓLEWNA:
Nie wtrącaj się, błazenku, do nie swoich rzeczy.

RYCERZ:
Błazen ma słuszność. Pojedziemy do twojego ojca po błogosławieństwo, a później...

KRÓLEWNA:
Nie pojedziemy.

RYCERZ:
Ależ czemu?

KRÓLEWNA *(tupiąc nogą)*:
Bo ja nie chcę i kwita.

RYCERZ:
Tak to co innego. Więc dokąd mam cię zawieźć?

KRÓLEWNA:
Przy końcu lasu, na skraju błoni,
Gdzie słowik nocą swe pieśni dzwoni,
Gdzie leśne wonie wiatr niesie,
Stoi kapliczka stara i krzywa,
Co dla podróżnych schronieniem bywa,

Gdy noc ich zaskoczy w lesie.
Patrzy schylona w fale rzeczułki,
Pod dachem gniazda lepią jaskółki,
A rozłożysty dąb stary,
Który króluje wszelkiemu drzewu,
Pełen ptasiego szmeru i śpiewu,
Roztacza nad nią konary.
W tej to kapliczce, nad brzegiem wody
Odprawia modły mnich siwobrody,
Świętością tchnie jego lico.
Nikt nie zna jego młodości losów,
Może to święty spłynął z niebiosów,
By trzymać straż nad kaplicą.
Do niego idźmy w głębokie knieje,
Błogosławieństwo niech na nas zleje,
Niech ręce nam zwiąże stułą.
On w czystość pragnień naszych uwierzy,
Bo jego serce, jak wieść się szerzy,
Wiele cierpiało i czuło.

BŁAZEN:
Aj, Kasiu, Kasiu, tak nie uchodzi!

KRÓLEWNA:
Nie gderz, gdero... Przyjdź dziś wieczorem do bramy, to cię zabierzemy ze sobą.

BŁAZEN:
Nie, dziękuję... Nie mam czasu.

KRÓLEWNA:
A co masz do roboty?

BŁAZEN:
Zapomniałaś, że winienem jeszcze dwa listy odnieść.

RYCERZ:
Listy? Co za listy?

KRÓLEWNA:
Powiem ci o nich po drodze. *(Do błazna)*: Rób, jak chcesz, ale to nic pilnego. *(Do rycerza)*: Mości rycerzu! *(Idą ku drzwiom).*

BŁAZEN:
Nic pilnego? Mylisz się, królewno Jagódko, listy są nader pilne i dostawię je bardzo prędko. Co prawda, nie królowi i królewiczowi Gwoździkowi, ale komuś. Kto nie da ci popełnić szaleństwa, królewno Jagódko. *(Patrząc na królewnę, która w głębi żegna się z rycerzem)*: Nie przypuszczam, że tych dwoje spotka się dziś przy wrotach pałacowych, bo królewna strzela, a błazen listy nosi.

AKT IV

Pokój w pałacu. Kasia siedzi przy gotowalni przed lustrem, ochmistrzyni i panny dworskie stoją wokół niej, garderobiana czesze ją.

KASIA:
Znowu mnie ciągniesz za włosy. Bądź ostrożna!

GARDEROBIANA:
Przepraszam waszą królewską wysokość, staram się jak mogę.

KASIA:
A tak, starasz się! Z całej siły ciągniesz grzebień swymi chamskimi łapami.

PANNY DWORSKIE:
Oooo!

OCHMISTRZYNI *(kłaniając się)*:
Wiemy, wasza królewska wysokość, że na dworze króla, twego ojca, panuje zachwycająca swoboda słowa, ale prosimy cię, zrób nam tę łaskę i racz zastosować się do naszych zwyczajów.

KASIA:
A bo co?

OCHMISTRZYNI:
Wyrażenie: chamskie łapy...

KASIA:
Dobrze, dobrze... *(po chwili)*: Powiedziałam już raz, że nie chcę, żeby mnie czesały i ubierały zwyczajne dziewczyny służące, jeno same panienki, hrabianki i księżniczki.

OCHMISTRZYNI:
Ale, wasza królewska wysokość, żadna z panien dworskich nie umie czesać.

KASIA:
To niech się nauczą! *(Do garderobianej)*: Czy skończysz nareszcie?

GARDEROBIANA:
W tej chwili, wasza królewska wysokość, jeszcze tylko półkoronę przypnę. *(Przypina jej diadem).*

KASIA *(odwracając się)*:
Aj! *(Uderza ją).*

PANNY DWORSKIE:
Oooo!

OCHMISTRZYNI *(dygając)*:
Wiemy, wasza królewska wysokość, że na dworze króla, twego ojca, panuje zachwycająca swoboda zachowania się, ale prosimy cię, zrób nam tę łaskę i racz zastosować się do naszych zwyczajów.

KASIA:
A bo co?

OCHMISTRZYNI:
Panie z miłościwie a łaskawie nam panującej rodziny królewskiej garderobianych swoich zwykle nie biły.

KASIA:
Robiły bardzo głupio. Na co jestem królewną, jeżeli mi nawet garderobianej uderzyć nie wolno? Suknię, prędzej!

HRABIANKA POPYCHAJ:
Którą, wasza królewska wysokość?

KASIA:
Złotą. W złotej sukni najbardziej wyglądam jak królewna.

HRABIANKA *(woła)*:
Złotą suknię dla królewny!

SŁUŻĄCA *(wbiega z suknią złotą, którą podaje z ukłonem pannie dworskiej)*:
Złota suknia dla królewny!

PANNA DWORSKA *(kłaniając się hrabiance)*:
Złota suknia dla królewny!

HRABIANKA *(kłaniając się bardzo głęboko przed Kasią)*:
Złota suknia dla waszej królewskiej wysokości.
KASIA:
Dalej, nakładaj! *(Hrabianka zarzuca Kasi suknię).* Oj, niezdaro, niezdaro, myślałby kto, że masz palce z masła.
HRABIANKA *(ledwie mogąc mówić ze wzburzenia)*:
Wasza królewska wysokość!

KASIA:
No, dobrze, dobrze. Nie gadaj tyle, bo tego nie lubię. *(Wyciągając ręce z rozczapierzonymi palcami)*: Pierścionki! *(Panny wkładają jej pierścionki).* Pantofelki! *(Hrabianka klaszcze w ręce, zjawia się służąca z pantofelkami).*

SŁUŻĄCA *(kłaniając się pannie dworskiej)*:
Złote pantofelki dla królewny.

PANNA DWORSKA *(kłaniając się hrabiance)*:
Złote pantofelki dla królewny.

HRABIANKA *(z głębokim ukłonem, do Kasi)*: Złote pantofelki dla waszej królewskiej wysokości.

KASIA *(siadając i wyciągając nogę)*:
Nakładaj.

HRABIANKA:
Ależ to do moich obowiązków nie należy.

KASIA:
Ale od dziś będzie należało do twoich obowiązków!

HRABIANKA:
Nigdy!

OCHMISTRZYNI:
Hrabianko Popychaj, jak śmiesz sprzeciwiać się rozkazowi królewny?

HRABIANKA:
Znam ja niezgorzej od ciebie, księżno, wszystkie przepisy ceremoniału. Nie włożę pantofli królewnie! Ubliżyłoby wszystkim moim przodkom i tym, którzy byli, i tym, którzy będą...

OCHMISTRZYNI *(do Kasi)*:
Może kto inny włoży pantofelki waszej królewskiej wysokości? Ja jestem gotowa...

KASIA:
Nie, nikt inny, tylko ona. *(Do hrabianki)*: No, będzie?

HRABIANKA:
Nie.

KASIA:
To idź sobie panna i nie wracaj więcej, przyjmę kogo innego do posługi.

HRABIANKA:
Wasza królewska wysokość!.. Co za wyrok! Wasza królewska wysokość zechce mi zostawić trochę czasu... Muszę się przyzwyczaić do tej myśli... Ja w końcu ustąpię naturalnie. Myślałam, że wasza królewska wysokość żartuje... W tej chwili wkładam pantofelki. *(Klęka i wkłada Kasi pantofle).*

KASIA:
Tak się należało od razu. *(Wstaje i mizdrząc się przed lustrem śpiewa. Wchodzi sługa).*

SŁUGA *(kłaniając się)*:
Śniadanie dla jej królewskiej wysokości królewny Jagódki podane.

OCHMISTRZYNI *(kłaniając się do Kasi)*:
Śniadanie dla waszej królewskiej wysokości podane.

KASIA:
Już idę. *(Panny ustawiają się w szpaler po cztery z każdej strony, na końcu dwaj paziowie. Kasia wystawiając ręce mówi)*: Całujta

ręce. *(Przechodzi między nimi, panny, dygając, całują jej ręce, paziowie czynią to samo, następnie podchwytują ogon u sukni Kasi i wychodzą za nią; panny parami idą za nimi. Na scenie pozostają jedynie hrabianka Popychaj i ochmistrzyni. Służba usuwa gotowalnię. Wchodzą paziowie niosąc stoliki, obrusy, serwety, naczynia rozmaite, dzbany, talerze, miski itp. Tańcząc okrążają scenę i wychodzą przeciwległymi drzwiami).*

OCHMISTRZYNI *(do hrabianki)*:
Zechce pani iść spełniać swoje obowiązki przy śniadaniu królewny.

HRABIANKA:
Nigdy!

OCHMISTRZYNI:
Czy mam zrozumieć, że pani składa urząd pierwszej damy dworskiej królewny Jagódki?

HRABIANKA:
O, bynajmniej, bynajmniej, pozwoli pani tylko, że zbiorę siły... *(pada na krzesełko. Wchodzą król i kanclerz).*

KANCLERZ:
Ach, księżna ochmistrzyni i hrabianka Popychaj! Doskonale, właśnie jego królewska mość chciałby pomówić z paniami.

OCHMISTRZYNI:
Ależ śniadanie królewny Jagódki.

KRÓL:
Może poczekać, zostań księżno.

OCHMISTRZYNI *(dygając)*:
Tak to co innego.

KANCLERZ:
Co pani myśli o królewnie Jagódce i jej zachowaniu się?

OCHMISTRZYNI:
Na podobne pytanie mogę odpowiedzieć tylko miłościwemu panu mojemu, królowi Ćwieczkowi.

KRÓL:

Aj, na miłość boską, księżno, wiemy, że się znasz na ceremoniałach, etykiecie i stu tysiącach przepisów dworu chińskiego, ale teraz odpowiadaj panu kanclerzowi.

OCHMISTRZYNI:

A więc królewna Jagódka jest więcej majestatyczna niż ujmująca w obejściu. W zupełnie uzasadnionym poczuciu swego wysokiego rodu i stanowiska wymaga usług i hołdów czasami nawet nieco uciążliwych.

HRABIANKA:

Powiedz raczej, że nas traktuje jak ostatnie sługi, szczególniej mnie, hrabiankę Popychaj, która liczy sto dwadzieścia pokoleń szlacheckich w rodzie.

KANCLERZ *(do ochmistrzyni)*:

A nie zauważyła szanowna pani nic, co by mogło potwierdzić moje przypuszczenie, że osoba , która do nas przybyła jako królewna Jagódka, jest garderobianą lub służącą królewny...

OCHMISTRZYNI:

Panie kanclerzu, powiedziałam ci już raz, że Agata, księżna na Oślich Głowach, rozróżni prawdziwą królewnę na pierwszy rzut oka, czy pan naprawdę mniema, że przyjmujemy i gościmy garderobianą królewny?

KANCLERZ:

O nie, mam poważne powody do przypuszczenia, że jest to zwyczajna dziewczyna wiejska.

(Hrabianka wydała westchnienie i pada na sofę).

OCHMISTRZYNI:

Nie jestem usposobiona do żartów, panie kanclerzu, i dość mam tej rozmowy. *(Dygając, do króla)*: Wasza królewska mość, czy wolno mi się oddalić?

KRÓL:

A idź sobie pani z Bogiem. *(Ochmistrzyni kłania się i wychodzi).* Od tej nic się nie dowiemy... Hrabianko Popychaj! *(Ogląda się).* Co to, zemdlała?

(Krzyk i hałas. Wbiega Kasia, za nią ochmistrzyni, panny dworskie, służba).

KASIA:
To nie do wytrzymania! Chcieliście mnie otruć czy zamorzyć. Piękne śniadanie! Najpierw ogonki mysie w miodzie... Jak świat światem, nikt nic podobnego w naszej wsi nie jadł!

OCHMISTRZYNI:
Ale wasza królewska wysokość...

KASIA:
Nie przerywaj, kiedy ja mówię... Później jakieś tam kotlety wielorybie na kranie...

OCHMISTRZYNI:
Na tranie, wasza królewska wysokość...

KASIA:
Wszystko jedno... Zjadłam i tę obrzydliwość, nawet szynkę z dzika nadziewaną żołędziami przełknęłam, chociaż nie jestem, z przeproszeniem, świnią...

PANNY:
Oooo...

KANCLERZ:
Słyszy król?

KASIA:
Ale przy tych kaktusach czy traktusach *(Do ochmistrzyni)*: Jakże tam...

OCHMISTRZYNI:
Kaktusach.

KASIA:
A tak, kaktusach w occie całą cierpliwość straciłam... Przecież to paskudztwo tak mi pokłuło gębę...

KANCLERZ:
Słyszy król?

KRÓL:
Słyszę.

KASIA:
Ale ja tego nie daruję! Na śmierć wszystkich zaćwiczyć każę, i moje panny zgrabne, i tego przeklętego kuchtę, który mi podobną potrawę przysłał.

KANCLERZ *(zbliżając się do Kasi i kłaniając głęboko)*:
Jego królewska mość, król Ćwieczek chce z tobą mówić, pani.

KASIA:
Król, gdzie król, już idę. *(Zbliża się do króla i dyga).* Wasza królewska mość.

KRÓL:
Dzień dobry ci, królewno Jagódko!

KANCLERZ *(do dworu)*:
Zechcą się panie oddalić, król Ćwieczek chce na osobności porozmawiać z królewną.

OCHMISTRZYNI:
Odejdę tylko na wyraźny rozkaz mego króla i pana.

KRÓL:
A idź sobie pani, przecież tu idzie o coś ważniejszego niż wasze kłanianie się i skakanie.
(Ochmistrzyni kłania się bardzo nisko królowi, mniej nisko Kasi, kiwa głową kanclerzowi i wychodzi. Za nią wychodzą w ten sam sposób panny dworskie, hrabianka Popychaj wychodzi ostatnia chwiejnym krokiem i ze zbolałą miną, ledwo jest w stanie złożyć ukłony. Służba usuwa się przez drzwi w głębi).

KRÓL:
Nareszcie! *(Do kanclerza)*: Rozmów się tam.

KANCLERZ:
Siadaj, Kasiu.

KASIA *(drgnęła, spogląda chwilę przerażonym wzrokiem na kanclerza)*:

Kasiu? Do kogo mówicie, panie? Jestem jej królewską wysokością, królewską wysokością, królewną Jagódką.

KANCLERZ *(kłaniając się)*:

A więc zechce wasza królewska wysokość usiąść, gdyż mamy jej ważne nowiny do zakomunikowania. *(Kasia siada)*. A więc królewicz Gwoździk odniósł zupełne zwycięstwo nad wrogiem i za trzy dni będzie w stolicy. Czy nie chcesz, pani, przeczytać tymczasem listu królewicza? Prosimy pokornie o głośne przeczytanie tego listu.

KASIA *(czyta)*:

Drogi królewiczu Gwoździku... To list do królewicza Goździka.

KANCLERZ:

Wasza królewska wysokość raczy czytać dalej...

KASIA *(czyta)*:

Piszę do ciebie, Gwoździku dostojny,
Żebyś powrócił tu i był spokojny,
Żebyś daleką swoją skrócił drogę,
Bo ja twą żoną ni chcę być, ni mogę.
A więc się dobrze i szczęśliwie zdarza,
Że nie chcesz ze mną stanąć do ołtarza.
Służę, choć trudno powiedzieć dlaczego
Za pomywaczkę w domu ojca twego,
A wiejskie dziewczę siaduje przy stole,
Pośród dam dworu i gra moją rolę.
(Przerywa wzburzona): Co to znaczy?

KANCLERZ:

Właśnie chcieliśmy o to zapytać waszej królewskiej wysokości.

KASIA:

Kłamstwo, oszczerstwo niegodne! Kto przyniósł ten list?

KANCLERZ:

Pewien zielono ubrany, długouchy jegomość, mieniący się błaznem królewny Jagódki.

KASIA *(zmieszana)*:

Błazen! Ach! *(Po chwili)*: Rozumiem, wygnany z mego domu sługa chce się zemścić na mnie... Ale że król Ćwieczek i wy, panie, daliście wiarę jego słowom, dziwi mnie niepomiernie. Ja dziewczyną wiejską? Spójrzcie na mnie, czy nie jestem od stóp do głów królewną? *(Wstaje i śpiewa)*:

Jaką ja mam rączkę białą,
Jaką ja mam nóżkę małą.
Wierzcie ludzie, że na pewno
Jestem Jagódką królewną.
Jaka jestem cienka w pasie,
Jaką suknię wdziałam na się.
Niechaj patrzy, kto nie wierzy,
Jak to na mnie ślicznie leży,
Jak ja umiem ślicznie chodzić,
Żeby królowi dogodzić.
Jak umiem pochylić głowy,
Żeby dogodzić królowi.
Jak się umiem kłaniać nisko
(bo królewskie mam nazwisko).
Wierzcie, ludzie, że na pewno
Jestem Jagódką królewną.

KRÓL:

Ma doprawdy słuszność, dajmy spokój.

KANCLERZ:

Powierzył mi król tę sprawę, tak czy nie?

KRÓL:

No tak.

KANCLERZ:

W takim razie niech król nie wtrąca się do nie swoich rzeczy. *(Do Kasi)*: Królewno Jagódko, tak jak wasza królewska wysokość przed chwilą, nie zachowuje się królewna, lecz...

KASIA *(przerywając)*:

Mylisz się, panie kanclerzu, moje obejście jest prawdziwie królewskie... Zawołajmy ochmistrzynię, ona najlepiej rozstrzygnie, czy nie zachowuję się tak, jak wysokiemu memu stanowisku przystoi.

KANCLERZ:

Ochmistrzyni! A uchowaj mię Boże od niej... Zresztą po co nam ona? Poślę po prostu gońca na dwór króla, twego ojca, z prośbą, żeby przybył tu jakiś zaufany sługa, znający dobrze królewnę Jagódkę.

KASIA:

Nie, panie... Odeślesz mnie na dwór króla, mego ojca... Nie chcę tu zostawać dłużej, gdzie mnie podejrzewają o kłamstwo, o oszustwo, gdzie śmią brać mnie za pomywaczkę, za dziewczynę wiejską. *(Kłaniając się głęboko przed królem)*: Żądam powozu, żebym mogła opuścić ten niegościnny dwór.

KRÓL *(do kanclerza)*:

Daj spokój, wplączesz nas w jakąś awanturę.

KANCLERZ:

Powierzył mi król tę sprawę? A więc niech się król nie wtrąca do nie swoich rzeczy. *(Do Kasi)*: Niepotrzebnie się wasza królewska wysokość tak unosi, nie ma przecież mowy, żeby posyłać kogokolwiek na dwór króla, twego ojca. Nie odjeżdżaj więc, prosimy cię bardzo.

KASIA *(po chwili)*:

Dobrze, zostanę.

KANCLERZ:

Aha, dziękujemy bardzo. Zresztą, może nas wasza królewska wysokość bardzo łatwo przekonać, że jest królewną Jagódką.

KASIA:

W jaki sposób?

KANCLERZ:

Słyszałem, że królewna Jagódka umie doskonale przyrządzać kluski kartoflane na słoninie, a ponieważ miłościwie nam panujący król Ćwieczek namiętnie lubi tę potrawę, więc ośmielam się prosić panią o przyrządzenie tej potrawy. Ucieszysz tym serce króla.

KRÓL:

Chyba żołądek. *(Kanclerz obraca się i patrzy na niego groźnie).* Przepraszam, już nie będę, daję na to królewskie słowo.

KANCLERZ *(patrzy na niego chwilę, kiwając głową, później odwraca się do Kasi)*:

Ucieszysz tym serce króla, a jednocześnie przekonasz nas, że jesteś królewną Jagódką, o której niebywałej umiejętności robienia klusek kartoflanych ze słoniną doszły nas słuchy aż tu... Czy wykonasz naszą prośbę, pani?

KASIA:

Nie.

KANCLERZ:

W takim razie każę natychmiast zaprowadzić cię do więzienia... Jesteś oczywiście oszustką, jeżeli obawiasz się próby.

KASIA:

Wasza dostojność żartuje.

KANCLERZ:

Bynajmniej... Hola, straż!... *(Wchodzi kilku zbrojnych).*

KASIA *(drżąc)*:

Ja, ja ugotuję już te kluski...

KANCLERZ:

Ale żeby były dobrze zrobione, bo inaczej więzienie.

KASIA:

Przecież królewny nie umieją gotować.

KANCLERZ:

Królewna Jagódka stanowi pod tym względem wyjątek, wiemy o tym. *(Do króla)*: Prawda, wasza królewska mość?..

KRÓL:

Prawda, prawda.

KANCLERZ *(do Kasi)*:

A więc wasza królewska wysokość...

KASIA:

Powiedziałam już, że kluski ugotuję jak będę umiała najlepiej.

KANCLERZ *(do straży)*:
Odejdźcie i przyprowadźcie z kuchni królewskiej pomywaczkę Kasię z koszem kartofli. *(Straż wychodzi).*

KASIA:
Ale dlaczego akurat Kasię... Mogłaby inna dziewczyna przynieść kartofle.

KANCLERZ:
To jest jedyna, której imię znam, dlatego jej przyjść kazałem... A teraz chyba nie warto zmieniać rozkazu.

KASIA:
Warto, warto, poślij pan kogo do kuchni, albo ja każę pójść do pana kuchmistrza... To drobnostka. Mało się tu służby kręci bez roboty? *(Wchodzi królewna pod strażą; jeden ze strażników stawia kosz z kartoflami, a koło kosza miskę wody i niziutki stołeczek).*

KRÓLEWNA:
Dzień dobry panom... *(spostrzega Kasię).* A, królewna Jagódka! Jakże się wasza królewska wysokość czuje od czasu, gdy jest królewną Jagódką?

KASIA:
Milcz, bezczelna chamko!

KRÓLEWNA:
To już tak... *(składając Kasi ceremonialny ukłon dworski)*: Przepraszam najpokorniej waszą królewską wysokość... Ale po co mnie wezwano?

KASIA:
Nie wiem, pan kanclerz sobie życzył tego *(wskazuje kanclerza)*, i król Ćwieczek. *(Królewna składa głęboki ukłon przed królem).*

KANCLERZ *(do królewny)*:
Prosta ciekawość, moja Kasiu, prosta ciekawość... mam nadzieję, że jej nam za złe nie weźmiesz. *(Do Kasi)*: Może wasza królewska wysokość zacznie skrobać kartofle?

KASIA:
W tej sukni! To się powalam.

KANCLERZ:
Mniejsza z tym... Czekamy. *(Kasia z westchnieniem siada na stołeczku, zawija rękawy i zaczyna skrobać kartofle).*

KANCLERZ *(do królewny)*:
A ty, Kasiu, nie pomożesz królewnie Jagódce przy skrobaniu kartofli?

KRÓLEWNA:
Jej królewska wysokość tak to sprawnie robi, że się bez mojej pomocy obejdzie.

KASIA:
Pomagaj, prędzej pójdzie.

KRÓLEWNA *(wzrusza ramionami).*

KASIA:
Czy nie słyszałaś, że ci kazałam skrobać kartofle?

KRÓLEWNA:
Słyszałam. Co z tego?

KANCLERZ:
Rozkaz królewny spełnić trzeba.

KRÓLEWNA:
Nie zawsze i nie koniecznie.

KASIA *(zrywając się)*:
To nie do zniesienia.

KANCLERZ:
Wasza królewska wysokość zechce skrobać kartofle. *(Kasia siada. Do królewny)*: A gdyby rozkaz wyszedł od samego króla?

KRÓLEWNA:
W takim razie ukłoniłabym się bardzo głęboko i powiedziała, że kartofli skrobać nie umiem.

KRÓL:
Okropność! I takie pomywaczki przyjmują do mojej kuchni?

KRÓLEWNA:
Oburzające!... Ale to dłużej trwać nie może; od dziś wieczór ustępuję z odpowiedzialnego stanowiska pomywaczki królewskiej.

KANCLERZ:
Aha, od dziś wieczór, a to dlaczego wasza królewska wysokość?

KRÓLEWNA *(zimno i wyniośle)*:
Wybaczy wasza dostojność, jestem pomywaczką Kasią.

KANCLERZ:
Nie przeczę, ale tym tonem odpowiadać umiałaby tylko królewna Jagódka.

KRÓLEWNA:
Nie jestem nią.

KANCLERZ:
Naprawdę... A jednak jedna z was, moje panie, jest królewną Jagódką.

KRÓLEWNA:
Skąd pewność, że nie ona? *(Pokazuje na Kasię).*

KANCLERZ *(do królewny)*:
Wasza królewska wysokość spojrzy: czy jest królewna na świecie, która by tak umiała skrobać kartofle, jak ona?

KRÓLEWNA:
Rzeczywiście, nawet moja towarzyszka Basia lepiej by nie potrafiła.

KASIA *(zrywając się wściekła)*:
Jednak jestem królewną Jagódką i poślę do mojego ojca, który nie daruje mojej krzywdy i obrazy...

KANCLERZ:
I pójdziesz do więzienia, na Boga, za swoje śmiałe oszustwo.

KRÓLEWNA:
Za pozwoleniem, panie kanclerzu, nie dopuszczę, żeby była ukarana, bo winną jestem tylko ja i tylko ja... Przez mój żart niewczesny i z mojego rozkazu odgrywała rolę królewny Jagódki. Miało to co

prawda trwać tylko chwilę, lecz jeśli ona, ulegając pokusie, chciała naprawdę zostać przez oszustwo żoną królewicza, to tym cięższą wyrządziłam jej krzywdę, którą muszę i chcę naprawić.

KANCLERZ:
Nie rozumiem cię, pani.

KRÓLEWNA *(do króla)*:
Ale liczę, że wasza królewska mość mnie zrozumie.

KRÓL:
Bez wątpienia, królewno... Oddaję ją w twoje ręce, bo wiem, że nikt lepiej tego nie rozwiąże. Kanclerzu... *(odchodzi z nim na stronę).*

KRÓLEWNA:
Wybacz mi, Kasiu!

KASIA:
Nie, nie wybaczę... Królewnie się może zdaje, że Bóg wie co dla mnie zrobiła, bo mię od więzienia wyprosiła... A mnie tam teraz wszystko jedno, co ze mną będzie, kiedy już nie pozostanę królewną. Niech mnie prowadzą do więzienia... Wszystko jedno.

KRÓLEWNA:
Czy to tak przyjemnie być królewną?

KASIA:
Alboż to królewna nie wie? Strasznie przyjemnie. Wszyscy posługują, wszyscy się kłaniają, wszyscy rękę całują. A ja siedzę, nie ruszam się wcale, okiem mrugnę, już biegną, palcem kiwnę, już skaczą, zaśmieję się, wszyscy się śmieją, zasmucę się, wszystkim łzy płyną.

KRÓLEWNA:
Ale to by ci się w końcu znudziło.

KASIA:
Nie znudziłoby się... Albo królewnie kiedy nudno?

KRÓLEWNA:
Bardzo często... Zresztą musiałabyś poślubić królewicza, którego nie kochasz.

KASIA:
Już bym go pokochała.

KRÓLEWNA:
A twój Jasio?

KASIA:
Mój Jasio miły i ja go nawet bardzo lubię, ale co królewicz to nie Jasio.

KRÓLEWNA:
Przecież królewicza poślubić nie możesz.

KASIA:
Teraz wiem, że nie... Ale myślałam: jak mnie królewicz zobaczy, to tak pokocha, że mnie poślubi, choć ja prosta dziewczyna, a nie królewna... A teraz wszystko na nic... Co ja teraz zrobię, co ja zrobię nieszczęśliwa? *(Rzuca się na sofę i płacze).*

KRÓLEWNA:
Chciałaś zostać pomywaczką królewską...

KASIA:
To trzy dni temu, a teraz za nic na świecie, za nic na świecie.

KRÓLEWNA:
Posłuchaj, kuchmistrz chciał się żenić ze mną... Zdaje mi się, że jesteśmy podobne do siebie... Może i ciebie zechce.

KASIA:
Ale czy on mnie weźmie za żonę zamiast ciebie. Niby my tam podobne, a jednak jakie różne... Zresztą dość królewno...Choćby on mnie chciał, ja go nie chcę. Nie zostanę tu na dworze jako kuchmistrzowa, gdy myślałam, że będę królewną, nie, nie!

KRÓLEWNA:
To wróć na wieś.

KASIA:
Na wieś... Żeby ze mnie kpili i wyśmiewali się?

KRÓLEWNA:
A czy się z ciebie wyśmiewać będą, gdy przyjedziesz na wieś w tym stroju w złotej karocy i opowiesz, że przez trzy dni odgrywałaś rolę królewny w pałacu królewskim i że królewna Jagódka podarowała ci swoją suknię i swoje pierścionki, i przybędzie na twoje wesele z Jasiem?

KASIA:
Naprawdę?

KRÓLEWNA:
Naprawdę. Pomyśl, Kasiu, że będziesz mogła opowiadać swoim przyjaciółkom o pałacu i o księżniczkach i hrabiankach, które ci na klęczkach usługiwały.

KASIA:
O tak, doskonale. Kiedy mogę jechać?

KRÓLEWNA:
Choćby dziś...

KASIA *(po chwili)*:
Nie, dziękuję królewnie... Nie przyjmę ani sukni, ani pierścionków, ani powozu, nie wezmę nic, co nie moje... Źle postąpiłam. Chciałam wszystkich okłamać i oszukać; na karę zasługuję, nie na nagrodę. Niech mi wasza królewska wysokość da moją suknię, a weźmie swoje stroje.

KRÓLEWNA:
Dobrze, Kasiu. Ale pozwolisz chyba, że na twój ślub przyjadę.

KASIA:
O ile mnie mój Jasio będzie chciał jeszcze, gdy się dowie, jaka niegodziwa ze mnie dziewczyna.

KRÓLEWNA:
Będzie cię chciał, nie bój się, przecież prawdziwie cię kocha. A teraz idź, moja Kasiu, i poczekaj na mnie w drugiej komnacie. Zaraz przyjdę do ciebie...

KASIA:
Dobrze... A czy królewna da mi rękę do pocałowania?

KRÓLEWNA:
Nie, Kasiu, ale ucałuję cię serdecznie. *(Obejmuje ją i całuje).*

KASIA:
Dziękuję. *(Kłania się i wychodzi).*

KRÓLEWNA *(zbliżając się do króla i kłaniając się)*:
A teraz pozwoli wasza królewska mość, że i ja się oddalę...

KANCLERZ:
W takim razie zawołam dwór twój, pani.

KRÓLEWNA:
O nie, obejdę się bez dworu... Jestem i pozostanę tu na zamku pomywaczką Kasią.

KANCLERZ:
A dziś wieczorem opuścisz pani pałac w towarzystwie jakiegoś błędnego rycerza, któregoś wybrała sobie za męża.

KRÓLEWNA:
Tak, panie.

KRÓL:
Ależ my nigdy na to nie pozwolimy... Jesteś narzeczoną królewicza Gwoździka.

KRÓLEWNA:
Nie, wasza królewska wysokość, królewicz nie chce mnie poślubić.

KANCLERZ:
Czy słyszała to wasza królewska wysokość z ust królewicza Gwoździka, czy króla Ćwieczka?

KRÓLEWNA:
Nie, oczywiście, ale cały dwór mówi o tym.

KANCLERZ:
Albo raczej cała kuchnia królewska... Nie, wasza królewska wysokość, plotki, które doszły uszu pomywaczki Kasi, nie mogą mieć wpływu na postępowanie królewny Jagódki.

KRÓL:
Tak, moja droga, nic się nie zmieniło, jesteś narzeczoną mego syna i wesele wasze odbędzie się, skoro tylko Gwoździk wróci z wyprawy.

KRÓLEWNA:
To znaczy wtedy, gdy wam się uda złowić go i zmusić do małżeństwa ze mną.

KRÓL:
Zmusić go do małżeństwa z tobą, pani, co za herezje! Na jedno spojrzenie twoich oczu padnie na kolana i będzie błagał o twoją rękę.

KRÓLEWNA *(kłaniając się)*:
Dziękuję waszej królewskiej mości, ale niestety, nie bardzo wierzę. Sądzę, że królewicz kocha inną i dlatego nie chciał i nie chce pojąć mnie za żonę, a ja mogłabym dziś zaślubić kogoś innego jako mego ukochanego, któremu miłość swą przyrzekłam.

KANCLERZ:
Pomyśl, pani, że jest to błędny rycerz, może nawet nie szlachetnego rodu.

KRÓLEWNA:
Cóż z tego, gdy jego serce jest szlachetne.

KANCLERZ:
Ale może nawet piędzi ziemi nie posiada na własność, może jest biedny.

KRÓLEWNA:
Dla mnie jest bogaty, bo posiada wszystkie zalety, które powinny zdobić męża.

KRÓL:
Czy aby to prawda, królewno, miłość bywa ślepa.

KRÓLEWNA:
Błogosławione niech będą moje ślepe oczy, które mi tyle szczęścia dają.

KRÓL:
Ale co powie twój król-ojciec na to małżeństwo?

KRÓLEWNA:
Nie wiem... Może mi przebaczy.

KANCLERZ:
Nie będzie miał nic do przebaczenia, bo nic z tego małżeństwa nie wyjdzie... Wasza królewska wysokość uda się teraz do swych apartamentów, a szczęśliwy wybraniec posiedzi tak długo o chlebie i wodzie, aż mu się odechce podnosić oczu tak wysoko.

KRÓLEWNA *(zrywając się)*:
Nie pozwalam!

KRÓL:
Dość, kanclerzu, posuwasz się za daleko...

KANCLERZ:
Powierzył mi król tę sprawę, tak czy nie?

KRÓL:
Powierzyłem, ale teraz sam ją doprowadzę do końca i nie wtrącaj się do nie swoich rzeczy! Jagódko, ten nicpoń i hunewot Gwoździk nie wart takiej żony, jak ty, i dobrze mu tak, że go nie chcesz... Nie mogę jednak pozwolić, żebyś uciekła z obcym rycerzem po kryjomu i wzięła z nim ślub w jakimś kościółku przydrożnym. To nie uchodzi, królewno Jagódko. To nie uchodzi. Zostaniesz teraz pod moim dachem. A do twego ojca napiszemy list, ty i ja, z prośbą, żeby zezwolił na twoje szczęście i przysłał swoje błogosławieństwo. Czy tak nie będzie lepiej?

KRÓLEWNA:
Zawstydza mnie dobroć waszej królewskiej mości, ale co się stanie tymczasem z moim ukochanym?

KRÓL:
Będzie również moim gościem.

KANCLERZ *(który rozmawiał na stronie ze sługą)*:
Straż już schwytała rycerza, czekał na królewnę przed wrotami.

KRÓL:
Wprowadzić go natychmiast. *(Do królewny)*: Wybacz, moje dziecko, jeśli może doznał jakiej krzywdy. *(Straż wprowadza rycerza)*. Patrz-

cie, Gwoździk... *(Królewna usuwa się w głąb sceny).* Zaprawdę, miłość jest ślepa, nigdy bym nie przypuszczał, że królewna jego miała na myśli.

KANCLERZ:
Ani ja. *(Kłaniając się).* Wasza królewska wysokość... *(Do straży):* Rozwiązać jego królewską wysokość.

GWOŹDZIK:
Dzień dobry... Trzeba przyznać, że w tym kraju niezbyt przyzwoicie obchodzą się z następcą tronu!

KANCLERZ:
O, wasza królewska wysokość... któż mógł przypuszczać, że następca tronu włóczy się koło drzwi kuchni królewskiej.

GWOŹDZIK:
Mniejsza z tym. A teraz oświadczam, że chociaż złowiliście mnie podstępem, nie ożenię się z królewną Jagódką, jeno z pomywaczką Kasią.

KRÓL *(podskakując na krześle):*
Z pomywaczką...

GWOŹDZIK:
Tak z pomywaczką, choćby ojciec skakał do sufitu, a kanclerz do dachu.

KANCLERZ *(ciągnąc króla za płaszcz, szeptem):*
Niech się król zgodzi.

KRÓL:
Jak to! *(Kanclerz daje mu znaki).* Aha, rozumiem. *(Głośno):* A więc, moje dziecko, zgadzam się chętnie na twoje małżeństwo z pomywaczką.

GWOŹDZIK *(zdziwiony):*
Zgadzasz się na moje małżeństwo z Kasią, a kanclerz?

KANCLERZ:
Nie ośmieliłbym się nigdy sprzeciwić woli mego miłościwego pana, króla Ćwieczka...

GWOŹDZIK:
Nie wierzę wam. Coś uknuliście przeciw mnie, nie ulega wątpliwości. Ale mniejsza z tym, jeśli tylko będę mógł poślubić Kasię. *(Po chwili)*: A teraz, mój kochany ojcze, dziękuję ci stokrotnie.

KRÓLEWNA *(zbliżając się do kanclerza)*:
Zechce mi wasza dostojność przedstawić mego narzeczonego.

GWOŹDZIK *(odwracając się, radośnie)*:
Kasia!

KANCLERZ:
Nie, jej królewska wysokość, królewna Jagódka.

GWOŹDZIK:
To ty?

KRÓLEWNA:
Tak, to ja.

GWOŹDZIK:
Od razu powiedziałem sobie, że mnie nabierają...

KRÓL:
Albo z tobą można inaczej, uparciuchu? A teraz podziękuj mi jeszcze raz, ucałuj swoją narzeczoną i...

GWOŹDZIK *(zbliżając się do królewny)*:
Czy wolno?

KRÓLEWNA:
O, nie tak prędko... Wasza królewska wysokość przecież jest zaręczony z pomywaczką Kasią, a nie z królewną Jagódką... Proszę uklęknąć...

GWOŹDZIK:
(klękając): Już klęczę...

KRÓLEWNA:
I powtórzyć za mną: Królewno Jagódko, proszę cię o przebaczenie za to, żem się z tobą żenić nie chciał, i błagam o twoją rękę.

GWOŹDZIK:
Królewno Jagódko, proszę cię o przebaczenie za to, żem się z tobą żenić nie chciał, i błagam o twoją rękę... A teraz zostaniesz moją żoną?..

KRÓLEWNA:
Nie wiem, muszę się namyślić, wątpię bardzo...

KANCLERZ:
Ale my nie wątpimy... Przecież przy dwóch wiarygodnych świadkach wasza królewska wysokość zeznała, że jest to najgorętszym życzeniem jej serca...

KRÓLEWNA *(grożąc palcem)*:
Kanclerzu, kanclerzu, tak mówić do mnie wolno tylko memu zielonemu błazenkowi... Widocznie wasza dostojność żywi szaloną ambicję objęcia po nim urzędu.

GWOŹDZIK *(zrywając się z klęczek)*:
Wszystko jedno, czy mnie chce, czy nie chce, muszę ją pocałować za to, że tak szpetnie przymówiła kanclerzowi. *(Obejmuje ją i całuje).* Najsłodsza, najlepsza, najukochańsza...

KRÓLEWNA *(obejmuje go i całuje)*:
Mój waleczny rycerzu!

KRÓL *(po chwili, do królewny)*:
Moje drogie dziecko, nie mogę pochwalać twego wyboru, bo mój Gwoździk wielki nicpoń, ale nie będę odradzał ci tego małżeństwa, bo tak pragnę cię mieć za synową... Ach, Jagódko, cieszę się niewymownie, że będzie choć jedna osoba w naszej rodzinie, która potrafi od czasu do czasu odpowiedzieć kanclerzowi tak, jak na to zasługuje.

GWOŹDZIK:
Tak, kanclerzu, teraz strzeż się, Jagódka da sobie radę z tobą... Zapłaci ci za wszystko, co od ciebie wycierpiałem.

KANCLERZ:
Za co wasza królewska wysokość ma żal do mnie? Czy za to, że nalegałem na jego małżeństwo z królewną Jagódką?...

GWOŹDZIK:
Nie, w tym wypadku wspaniałomyślnie ci przebaczam.

NOTA BIBLIOGRAFICZNA

Podstawą do obecnego wydania były:

Yseult o Białych Dłoniach, „Chimera" 1905, t. 9, s. 401-413;

Zburzenie Tyru, Kraków 1906, Nakładem Warszawskiego Koła Wydawniczego. Warszawa, Skład główny księgarni E. Wende i spółka;

Fleur-de-Lys, „Panteon" [Paryż] 1908, nr 2, s. 143-160;

Pastorale, „Sfinks" 1909, t. 5, s. 444-453;

Wielki król. Dramat w 3 aktach, Warszawa 1933, Skład główny „Dom Książki Polskiej";

Przygoda Kasi. Baśń dramatyczna w 4 aktach, „W słońcu" 1920, nr 1-4, 6-11, 18-21; 1921, nr 12-13, 15-20; 1922, nr 1-2.

SPIS TREŚCI

Wstęp (Marian Lewko) 5
YSEULT O BIAŁYCH DŁONIACH 23
ZBURZENIE TYRU 39
FLEUR-DE-LYS 93
PASTORALE 119
WIELKI KRÓL. Dramat w 3 aktach 175
PRZYGODA KASI. Baśń dramatyczna w 4 aktach 263
Nota bibliograficzna 356

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

2004.05.06

b16255884

O Amelii Hertzównie (1878-1942) niewiele dotąd napisano. Ta utalentowana autorka była doktorem chemii i wybitnym egiptologiem. Jej prace naukowe drukowane były w specjalistycznych zagranicznych czasopismach. Chciała jednak być uznawana jako autorka dramatów i zabiegała o ich wystawienie na scenie. W latach 1905-1918 wydała drukiem cztery dramaty: *Yseult o Białych Dłoniach*, *Zburzenie Tyru*, *Fleur-de-Lys*, *Pastorale*, *Wielki król*. Nie zdobyła jednak popularności w okresie Młodej Polski i jest nieznana do dzisiaj. Dorobek sceniczny Hertzówny jest jednak bardzo samodzielny i interesujący. Tworzyła sztuki metafizyczne, głęboko osadzone w Biblii i historii powszechnej.

WYDAWNICTWO KUL

ISBN 83-7363-134-8

Biblioteka Narodowa
Warszawa
300010008539 88